

NOWY BESTSELLER WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY

CYKL
ISAAC BELL

CLIVE CUSSLER

JUSTIN SCOTT

NOŻOWNIK


AMBER

Clive Cussler

Justin Scott

Nożownik

Przekład: Maciej Pintara

Tytuł oryginału: The Cutthroat

Cykl: Isaac Bell - Tom 10



OSOBY

AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA VAN DORN

ISAAC BELL - główny śledczy

JOSEPH VAN DORN - „Boss”

HARRY WARREN - szef brygady antygangowej u Van Dorna, urodzony jako Salvatore Guaragna, alias Quinn, broadwayowski maszynista teatralny, powiernik Isaaca Bella

GRADY FORRER - szef działu badań

ARCHIBALD ANGELL ABBOTT IV - nowojorski arystokrata, były aktor, najlepszy przyjaciel Isaaca Bella od czasu ich meczu bokserskiego w college'u

HELEN MILLS - protegowana Isaaca Bella, córka brygadiera Armii Stanów Zjednoczonych G. Tannenbauma Millsa, pierwsza kobieta detektyw w agencji

JAMES DASHWOOD - snajper, protegowany Isaaca Bella

EDDIE „KANSAS CITY” EDWARDS - specjalista od ochrony kolei

WALT „TEKSAS” HATFIELD - były strażnik Teksasu i prywatny detektyw u Van Dorna, który został filmowym kowbojem w westernach

SCUDDER SMITH - były dziennikarz, który udaje nietrzeźwego reportera „New York Evening Sun”

EDDIE TOBIN - specjalista od zwalczania piractwa portowego z brygady antygangowej

SZEFOWIE BIUR TERENOWYCH VAN DORNA

HORACE BRONSON - San Francisco

TIM HOLIAN - Los Angeles

CHARLIE POST – Denver

JERRY SEDGWICK - Cincinnati

NOWOJORCZYCY

KAPITAN „NIEPRZEKUPNY MIKE” COLIGNEY - komendant 19. komisariatu policji nowojorskiej dla Tenderloin i dzielnicy teatralnej

NICK SAYERS - przystojny właściciel rezydencji Gaj, burdelu znanego jako „tenderloński Ritz”

SKINNER - stutrzynastokilowy odźwierny w „tenderlońskim Ritzu”

NEIL NYREN - dobroduszny stręczyciel, właściciel perfumerii na dworcu Grand Central

GOFERZY - gangsterzy z West Side

ADOLPH KLAUBER - krytyk teatralny „New York Timesa”

PANI SHINE - właścicielka pensjonatu dla aktorów, gospodyni Anny Waterbury

HEATHER i Lou - tancerze mieszkający u pani Shine

ZESPÓŁ TEATRALNY WYSTAWIAJĄCY SZTUKĘ *DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE*

JACKSON BARRETT - aktor impresario, bożyszczko kobiet i scenarzysta, który gra na zmianę tytułowe role doktora Jekylla i pana Hyde’a w swojej współczesnionej wersji melodramatu na podstawie noweli Roberta Louisa Stevensona

JOHN BUCHANAN - aktor impresario, bożyszczko kobiet i „biznesowy mózg” zespołu teatralnego Barretta i Buchanana, gra tytułowe role Jekylla i Hyde’a na zmianę z Jacksonem Barrettem, jego prawie bliźniakiem.

ISABELLA COOK - „wspaniała i uwielbiana”, czołowa broadwayowska aktorka, gra piękną dziedziczkę Gabriellę Utterson

HENRY BOOKER YOUNG - długoletni, cierpliwy inspicjent u Barretta i Buchanana

RZECZNIK PRASOWY

JEFF i JOE DEEVEROWIE - bogaci bracia, sponsorzy spektakli na Broadwayu

PANNA GOLD - aktorka dublerka, nakręca sprzedaż biletów

RICK L. COX - dramaturg, rozgoryczony autor widmo

ZESPÓŁ TEATRALNY WYSTAWIAJĄCY SZTUKĘ
ALIAS JIMMY VALENTINE

PAN VIETOR – gwiazdor

DOUGLAS LOCKWOOD - gra detektywa Doyle'a

LUCY BALANT - aktorka dublerka, współlokatorka Anny Waterbury w pensjonacie dla aktorów pani Shine

NED STEWART - główny stolarz

INSPICJENT

ANGLIA

JOEL WALLACE - szef londyńskiego biura terenowego Van Dorna

INSPEKTOR SCOTLAND YARDU

DETEKTYWI I KONSTABLE SCOTLAND YARDU - aktywni zawodowo i emerytowani

NIGEL ROBERTS - emerytowany detektyw Scotland Yardu, kustosz Brytyjskiego Muzeum Ślusarstwa

DAVY COLLINS - fryzjer z własnym zakładem w Whitechapel

WAYNE BARLOWE - londyński rysownik gazetowy

LONDYŃSKA EMILY - uzależniona od laudanum mieszkanka Manchesteru, kluczowy świadek

LORD STRONĘ - Brytyjski Wywiad Wojskowy, Biuro Tajnej Służby

ABBINGTON-WESTLAKE - Admiralicja Brytyjska, Wywiad Marynarki Wojennej, Wydział Zagraniczny

REGINALD - szpieg

JAMES MAPES - aktor, członek klubu Garrick

GRANGER - bezlitosny krytyk

DOLLY - chórzystka z West Endu, nowa przyjaciółka detektywa Joela Wallace'a

MATKA DOLLY - kiedyś tancerka w *Tra-la-la Tosca*

FILMOWCY

MARION MORGAN BELL - od roku żona Isaaca Bella, jego ukochana powierniczka, znana reżyserka filmowa

PANI RENNEGAL - pełna energii realizatorka oświetlenia

PAN DAVIDSON – kamerzysta

KELLAN - asystent Davidsona

PAN BLITZER - kamerzysta

POSTACI EPIZODYCZNE

MEDICK - aktor impresario, wcześniejszy właściciel praw do wystawiania sztuki *Doktor Jekyll i pan Hyde* podczas tournée

RUFUS S. OPPENHEIM - szef Syndykatu Teatralnego, mąż Isabelli Cook

PRESTON WHITEWAY - wydawca prasowy z San Francisco i szef Marion Morgan Bell w wytwórni kronik filmowych Świat Obrazów

KUX - małomówny konduktor w prywatnym wagonie Isaaca Bella

WUJ ANDY RUBENOFF - bankier z Wall Street, który przeniósł się do Hollywood

HAZEL BRADFORD - pilotka samolotu „Latający billboard”

JIMMY RICHARDS, MARVYN GORDON i MOLLY - „szczury portowe” ze Staten Island

KORONERZY, ich asystenci, dozorczy przy wejściach dla aktorów, pomocnicy inspicjentów, maszyniści sceny, dziennikarze,

dziennikarki, ochroniarze, maszynista parowozu i palacz, detektywi praktykanci Van Dorna

NIEWINNI

ANNA GENEVIEVE PAPE - zafascynowana teatrem osiemnastolatka, która uciekła z domu, żeby zostać aktorką. Pseudonim sceniczny: Anna Waterbury

WILLIAM LATHROP PAPE - ojciec Anny, przemysłowiec z Waterbury

LILLIAN LENT - bostońska prostytutka

MARY BETH WINTHROP - sopranistka chóru kościelnego w Springfield, Massachusetts

BEATRICE EDMOND - tancerka wodewilowa w Cincinnati

NIEZLICZONE KOBIETY - aktorki, prostytutki, robotnice, dziewczyny z sal tanecznych na Zachodzie, żona lekarza, żona bankiera, bibliotekarka i inne

PROLOG

Nowy Jork, jesień 1910

Medick nie żyje!

Jackson Barrett wpadł do garderoby Johna Buchanana z butelką koniaku, którą trzymali na premiery i pochlebne recenzje.

Buchanan czernił sobie twarz do dzisiejszej roli Otella; Barrett grał Jaga. Rzucił kredkę do charakteryzacji i wykrzyknął radośnie:

– To najlepsza wiadomość od roku!

Nie miał nic do Medicka. Tamten solidny aktor nieoczekiwanie się wzbogacił dzięki podwójnej roli tytułowej doktora Jekylla i pana Hyde'a z noweli Roberta Louisa Stevensona w starej adaptacji Mansfielda i Sullivana. Ale po jego nagłej śmierci została żyła złota i planowali ją zdobyć dzięki uwspółcześnionej wersji *Jekylla i Hyde'a*, która zarobi pieniądze na Broadwayu i umożliwi najbardziej dochodowe tournée po kraju od czasu *Ben Hura*.

Stuknęli się kieliszkami i wykrzyknęli toasty.

– Barrett i Buchanan...

– Przedstawiają...

– *Doktora Jekylla i pana Hyde'a!*

Ledwo zwilżyli usta koniakiem. Zbyt ciężko pracowali jako szefowie swojego zespołu teatralnego, żeby pić, i wstrzemięźliwość pozwalała im zachować młodzieńczość. Wysocy i barczyści - „postawni” napisał krytyk „New York Sun” i Buchanan przypiął to nad swoim lustrem - poruszali się na scenie jak trzydziestoletni sportowcy, a nie czterdziestoparolatki. Jackson Barrett miał jasne włosy, John Buchanan - jego prawie bliźniak - nieco ciemniejsze, bardziej piaskowe niż złociste loki Barretta. Obaj byli gwiazdoram, spojrzenia ich niebieskich oczu podbijały serca kobiet w ostatnim rzędzie najwyższego balkonu. Mężowie tych dam uważali Barretta i Buchanana za równych gości, którym można ufać.

– Zastanawiałem się... - zaczął Barrett.

– To zawsze zły znak - przerwał mu Buchanan.

– Co ty na to, żebyśmy stale zamieniali się rolami - niech zgadują, kto jest kim. Pierwszego wieczoru ja będę Jekyll'em, a...

– Następnego będziesz Hyde'em. Bilety będą się sprzedawały i może nawet się nie wypalisz.

– Będą się sprzedawały jeszcze lepiej, jeśli zdołamy namówić Isabellę Cook do powrotu na scenę.

– Rufus Oppenheim nigdy jej na to nie pozwoli.

Mąż Isabelli Cook miał pakiet kontrolny w Syndykacie Teatralnym, który trzymał w garści siedemset czołowych teatrów w kraju. Nie można było odbywać tournée pierwszą klasą bez syndykatu Rufusa Oppenheima i przeplacało się za ten przywilej.

– Dlaczego najpiękniejsza aktorka na Broadwayu wyszła za wypisz wymaluj łysego niedźwiedzia z cygarem?

– Dla pieniędzy.

– Nie pojechałaby z nami, nawet gdyby Oppenheim jej pozwolił - powiedział Buchanan. - W *Jekyllu i Hydezie* nie ma wystarczająco dużej roli dla „wspaniałej i uwielbianej” Isabelli.

– Właściwie to pomajstrowałem przy rękopisie - przyznał się Barrett.

– To znaczy? - zapytał ostro Buchanan, niezadowolony.

– Napisałem nową rolę dla „wspaniałej i uwielbianej”. To piękna dziewczeczka Gabriella Utterson, główna postać w intrydze. Gabriella zastawia sidła na naszego przystojnego młodego Jekylla. Publiczność widzi złego Hyde'a a jej oczami i boi się o nią.

Buchanan natychmiast zrozumiał. Jego współnik się pośpieszył, jak zwykle, ale zastąpienie nudnego narratora Roberta Louisa Stevensona piękną aktorką pierwszoplanową było doskonałym pomysłem.

– Są jakieś inne zmiany, o których powinienem wiedzieć?

– Dodałem coś wystrzałowego - odrzekł Barrett.

– Czyli?

– Samolot.

– Samolot?! A ile on będzie kosztował?

Spierali się o wydatki, odkąd otworzyli swój pierwszy teatr na Dwudziestej Dziewiątej ulicy.

– Inspicjent z Casino mówi, że kończą wystawiać *On przybył z Milwaukee*. Praktycznie dadzą nam swój dwupłąt za darmo, jeśli zapłacimy za zabranie go z teatru. A na razie lepiej ćwicz szermierkę. Pokażemy im pojedynek, którego nigdy nie zapomną.

– Sztuka z samolotem będzie za nowoczesna na szermierkę.

– Elikser transformacyjny wywołuje u Jekylla halucynacje. Jekyll i Hyde staczają urojony pojedynek.

– Są razem na scenie?

– Genialne, prawda? - spytał Barrett. - Dobro i zło walczą o duszę jednego i drugiego.

– Jest jeszcze coś wystrzałowego?

– Hyde ucieka metrem przed wrzeszczącym na Times Square tłumem.

– Akcja *Jekylla i Hyde'a* rozgrywa się w Londynie.

– Londyn jest już niemodny. Przeniosłem ją do Nowego Jorku. Jekyll mieszka w drapaczu chmur.

Buchanan się obawiał, że scenografia do ucieczki metrem będzie kosztowała majątek. Tyle że nowojorskie metro nie było złym pomysłem, biorąc pod uwagę teorię Webera i Fieldsa, że do publiczności bardziej przemawia znajome, „realistyczne” otoczenie. Byłoby zabawnie. Mogą zrobić z tego melodramat?

– Na tournée wytniemy metro.

– Nie zbywaj mnie tym swoim wycinaniem! - odparował Barrett.

– Będziemy wieźli sześćdziesiąt osób - zauważył chłodno Buchanan.

Poczerwienieli, zacisnęli zęby i zaczęli się kłócić.

– Melodramat przynosi zyski! Nie dlatego wystawiamy tego cholernego *Otella*?

– Cięcia oszczędzają pieniądze, żebyśmy mogli je zarabiać.

– Filmy wypierają sztuki, a publiczność teatralna uwielbia wodewil.

– Twoje wydatki nas wykończą.

– Do diabła z kosztami! Bez spektaklu leżymy.

Ich inspicjent zajrzał do pokoju i położył palec na ustach.

– Sponsorzy - szepnął.

– Dziękujemy, panie Young. Niech pan ich przyśle.

Wspólnicy uśmiechnęli się ciepło wyłącznie dla swoich gości.

Joe i Jeff Deaverowie, prawie tak wysocy jak Barrett i Buchanan - i znacznie grubszy niż w czasach, gdy w college'u grali w futbol - mieli dostać w spadku po matce fabryki lokomotyw, a po ojcu odziedziczyli słabość do girlasek. W pelerynach i cylindrach, kręcący laskami i pachnący perfumami blondynek, które zostawili w holu, mogli sfinansować *Jekylla i Hyde'a* jednym podpisem.

– Znakomite wycucie czasu! - zagrział Barrett.

– Ja myślę. Właśnie zostaliśmy poproszeni o wsparcie *Alias Jimmy Valentine*. Na Broadwayu i na tournée. Ściągnęli z Anglii Vietora, żeby zagrał Valentine'a. A Lockwood dostał rolę Doyle'a. Zamierzamy na tym zarobić.

– Nie tak szybko - odrzekł Barrett.

– Dlaczego?

– Nadarza się lepsza okazja - wyjaśnił Buchanan. - Biedny Medick nie żyje.

– Wasz *Jekyll* jest gotowy? - zapytał Jeff, mózg duetu.

Barrett przytaknął, co wzbudziło podejrzenia Buchanana, że „majstrowanie” jego wspólnika obejmowało prywatne negocjacje ze sponsorami.

– Możemy ruszać.

– Macie Isabellę Cook?

– Znajdziemy sposób.

– Jeśli włączycie ją do obsady, to darujemy sobie *Jimmy'ego Valentine'a* - obiecał Joe. - Prawda, Jeff? Vietor chce za dużo forsy tylko za to, że jest Anglikiem. A Lockwood zawsze pakuje chórzystki w kłopoty.

– Zaraz - powiedział Jeff. - Medick był młody. Co go uśmierciło?

– Podobno spadł ze schodów ewakuacyjnych. Z czwartego piętra.

– To wariactwo. Facet bał się wysokości. Mieliśmy go w naszym *Czarnym łotrze*. Pamiętasz, Joe? Nie mógł się zbliżyć do fosy orkiestrowej.

– Coś tu śmierdzi. Co on robił na schodach ewakuacyjnych?

– Uciekał tylnymi drzwiami od jakiejś damy - odparł Barrett - ścigany przez jej męża.

CZEŚĆ PIERWSZA

WIOSNA 1911 (PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ)

1.

Na pierwszym piętrze najlepszego nowojorskiego hotelu, Knickerbockera, na rogu Broadwayu i Czterdziestej Drugiej ulicy, główny śledczy Agencji Detektywistycznej Van Dorn obserwował nowego klienta przez judasza w drzwiach recepcji. Dział badań dostarczył krótkie dossier wyniosłego, zarozumiałego „króla mosiądzu” z Waterbury z majątkiem pięćdziesięciu milionów dolarów.

Isaac Bell ocenił, że fakty się zgadzają.

William Lathrop Pape wyglądał na nowobogackiego. Brzuchaty, po pięćdziesiątce, stał nieruchomo z dłońmi w rękawiczkach na złotej gałce laski. Garnitur i półbuty miał angielskie, kapelusz włoski. Nosił ciężki zegarek na tak grubym łańcuszku, że można byłoby nim przycumować jacht parowy, i świdrował zimnym spojrzeniem recepcjonistę, jakby młody detektyw był meblem.

Dział badań nie ustalił, do czego przemysłowiec potrzebuje prywatnych detektywów, ale bez względu na to, jakie Pape miał kłopoty, pociągnął za liczne sznurki, żeby spotkać się osobiście z Josephem Van Dornem, założycielem agencji. Jako że Van Dorn był w odległym o cztery tysiące osiemset kilometrów San Francisco, Isaac Bell musiał się zająć starym znajomym Bossa.

– Okej, daj go tu.

Praktykant obok Bella wybiegł.

Bell wszedł za biurko Van Dorna, odsunął na bok telefony lichtarzowe i membranę grafofonu, i położył na blacie swój notes i pióro wieczne. Wysoki, koło trzydziestki, szczupły i umięśniony, miał gęste jasne włosy, dostojne wąsy i niebieskie oczy o badawczym spojrzeniu. W ten ciepły wiosenny dzień włożył szyty na miarę biały lniany garnitur i biały

kapelusz z szerokim rondem i niską koroną, który rzucił na stojak Van Dorna. Jego zrobione na zamówienie buty z cielęcej skóry były mocno znoszone, ale dobrze zadbane. Wyglądał na skorego do uśmiechu, ale przenikliwy wzrok i ruchy pantery ostrzegały, żeby go nie prowokować.

Praktykant wprowadził Pape'a.

Isaac Bell podał mu rękę i poprosił go, żeby usiadł.

– Zostałem poinformowany - zaczął Pape, zanim praktykant wyszedł - że Van Dorn postara się tu być.

– Starał się, ale wcześniejsze zobowiązania zatrzymały go w San Francisco. Jestem jego głównym śledczym. Czym możemy służyć?

– Muszę znaleźć osobę, która zniknęła.

Bell wziął pióro.

– Niech pan mi opowie o niej.

Pape milczał tak długo, że Bell się zastanawiał, czy gość go usłyszał.

– Nazwisko tej osoby - powiedział.

– Pape! Anna Genevieve Pape - odrzekł Pape i znów zamilkł.

– Ktoś z pana rodziny? - spytał Bell. - Pańska żona?

– Oczywiście, że nie.

– Więc kto?

– Moja córka, na litość boską. Moja żona nigdy by...

Urwał.

– Ile lat ma pańska córka, panie Pape? - zapytał Bell.

– Osiemnaście.

– Kiedy pan ostatni raz widział Annę?

– Przy śniadaniu dwudziestego siódmego lutego.

– Często znikwała na długo?

– Oczywiście, że nie. Mieszka w domu, i tak będzie, dopóki nie wyjdzie za mąż.

– Jest zaręczona?

– Powiedziałem panu, że ma dopiero osiemnaście lat.

– Kiedy pan zgłosił jej zaginięcie? - spytał Bell, choć był pewien, że zna odpowiedź.

– Robię to teraz.

– Ale dziś jest dwudziesty czwarty marca, panie Pape. Dlaczego czekał pan tak długo, żeby wszcząć alarm?

– Czy to ważne?

– To pierwsze pytanie, jakie zada policja, kiedy się zorientują, że szukamy dziewczyny.

– Nie chcę angażować w to policji.

– Policja sama się w to zaangażuje, jeśli fakty będą wskazywały na możliwość przestępstwa - wytłumaczył swoim spokojnym barytonem Bell, jakby zwracał się do dziecka.

– To niewinna dziewczyna. Nie ma mowy o przestępstwie.

– Policja zawsze podejrzewa najgorsze. Dlaczego zwlekał pan tak długo z podniesieniem alarmu, skoro zniknięcie Anny nie jest czymś zwyczajnym?

Pape ścisnął mocniej laskę.

– Podejrzewałem, że uciekła do Nowego Jorku.

– Po co?

– Żeby zostać aktorką.

Isaac Bell stłumił uśmiech. Sytuacja stała się dużo jaśniejsza.

– Mogę spytać, dlaczego zwrócił się pan do naszej agencji teraz?

– Bo po kilku tygodniach powinna była wrócić do domu z podkulonym ogonem.

– Obawia się pan o jej bezpieczeństwo?

– Oczywiście.

– A mimo to czekał pan jeszcze tydzień po tamtych „kilku tygodniach”.

– Czekałem, aż Anna się opamięta. Jej matka wyperswadowała mi dalszą zwłokę... Niech pan posłucha, Bell. Ona zawsze była rozsądną dziewczyną. Od dziecka. Oczy szeroko otwarte. Nie jest lekkomyślna.

– Więc może pan uspokoić żonę, że dziewczyna o cechach Anny ma duże szanse zrobić karierę w teatrze.

Pape zeszywniał.

– Zhańbiłaby moją rodzinę.

– Zhańbiłaby?

– Takie zachowanie przyciąga uwagę prasy. Waterbury to nie Nowy Jork, panie Bell. To nie jest miasto rozpusty. Moja rodzina nie przeżyłaby tego, gdyby gazety się zorientowały, że dobrze urodzona Pape występuje na scenie.

– Każę komuś z naszych detektywów, kto zna dzielnicę teatralną, zająć się sprawą - odparł chłodno Bell. - Do widzenia, panie Pape.

– Zaraz!

– O co chodzi?

– Żądam, żeby pan osobiście prowadził poszukiwania, skoro Van Dorn nie może.

– Przydzielamy zadania zgodnie z rodzajami przestępstw. Pan Van Dorn i ja specjalizujemy się w tropieniu zabójców, gangsterów, rabusiów bankowych i porywaczy.

Aktualnie Bell nadzorował śledztwa w sprawach rabusiów pociągów, którzy wykolejali wagony depozytowe na Środkowym Zachodzie, rabusiów bankowych, którzy przekraczali autami granice stanów, włoskich gangów, którzy terroryzowali nowojorskie doki, chicagowskiego złodzieja klejnotów, który rozpruwał sejfy kochanek potentatów, i szantażystów, których ofiarami padali pasażerowie transatlantyków.

– Chwilowo zaginiona młoda dama to nie mój kierunek działania. Chyba że pan sugeruje porwanie?

Pape zamrugął. Przyzwyczajony, że pracownicy wykonują jego polecenia i spełniają jego zachcianki, wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie, oczywiście, że nie. Sprawdziłem na stacji. Kupiła bilet na pociąg do Nowego Jorku... Bell, pan chyba nie rozumie.

– Ależ rozumiem. Byłem niewiele starszy od Anny, gdy wbrew mojemu ojcu zostałem detektywem, zamiast pójść w jego ślady i zająć się bankowością.

– Bankowością? W jakim banku?

– American States.

– Popełnił pan błąd - odrzekł Pape. - Bankowiec w American States to zajęcie z przyszłością, dużo bardziej opłacalne niż praca prywatnego detektywa. Niech pan skorzysta z mojej rady: jest pan jeszcze dość młody, żeby to zmienić. Niech pan zostawi tę robotę tajniaka i poprosi ojca, żeby przekonał swojego szefa, że warto dać panu posadę.

– On jest szefem - odparł Bell. - To jego bank.

– American States? Zaraz, Bell... Pański ojciec to Ebenezer Bell?

– Wspomniałem o nim, żeby pana zapewnić, że rozumiem Annę. Ona chce czegoś innego. Pańska córka i ja oboje zawiedliśmy naszych ojców... Ma pan przypadkiem jej fotografię?

Pape wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę i dał Bellowi kodakowskie zdjęcie dzieci podczas przedstawienia teatralnego na jakimś obozie letnim. Jasnowłosa Anna miała pełną wyrazu twarz cherubinka. Fotografia nie pokazywała, czy dziewczyna jest rozsądna, i Bell znów stłumił uśmiech na myśl, że to może oznaka jej aktorskiego talentu.

– Szekspir - wyjaśnił Pape.

Bell skinął głową, zaabsorbowany wspomnieniami, które wywołało zdjęcie.

– *Sen nocy letniej*.

– Skąd pan wie?

– Kazali mi grać Oberona, kiedy zrobiłem się za wysoki na Puka. Anna to ładna dziewczyna. Ile tu ma lat?

Pape wymamrotał coś, czego Bell nie zrozumiał. Podniósł wzrok znad fotografii.

– Słucham?

Król mosiądzu miał łzy w oczach.

– A jeśli się mylę? - wyszeptał.

– To znaczy?

– A jeśli stało się z nią coś strasznego?

– Do tego miasta co dzień przyjeżdżają młode kobiety - odpowiedział łagodnie Bell. - W końcu znajdują to, czego szukają, albo wracają do domu. Ale tak czy inaczej ogromna większość z nich żyje, bogaci się, jest szczęśliwa. Nie martwiłbym się na zapas. Znajdziemy pańską córkę.

2.

Osiemnastoletnia Anna Waterbury czytała na głos „Variety” Lucy Balant, swojej współlokatorce w pensjonacie dla aktorów pani Shine. Gromadziły pięciocentówki na kupno tygodnika rozrywkowego i - jak znak z niebios, pomyślała Anna - nagłówek oznajmiał, że Barrett i Buchanan ruszają swoim prywatnym pociągiem w trasę po kraju z nowym *Doktorem Jekylllem i panem Hyde'em*.

– „Jackson Barrett i John Buchanan - bożyszczka kobiet, którzy czynią melodramat emocjonującym niczym bitwa drednotów - będą się zamieniali tytułowymi rolami tak, jak to robili na Broadwayu. Akcja skupia się wokół walki dobra ze złem w tym samym człowieku. Isabella Cook gra naiwnie zakochaną, dręczoną przez Hyde'a. Aktorka wraca na scenę po dwuletniej przerwie, podczas której wyszła za mąż i została wdową po szefie Syndykatu Teatralnego, Rufusie S. Oppenheimie, gdy ten utonął na skutek eksplozji jego jachtu”.

– Mogę zdradzić ci tajemnicę? - szepnęła Anna.

Lucy czytała nad jej ramieniem oferty pracy.

– Zobacz! Dublerka potrzebna od zaraz na stałe. Musi być wysoka, młoda, doświadczona i dobrze ubrana. Wymagany rozsądek, prezencja i talent. Długi sezon. Wynagrodzenie... „Wysoka” to jakiego wzrostu?

– To tajemnica - powiedziała Anna.

– Co?

– Musisz obiecać, że nigdy nikomu tego nie powtórzysz.

– Okej, obiecuję.

– Pewien mężczyzna chce mnie przygotować do przesłuchania do roli w wielkim przeboju.

– To nauczyciel?

– Nie! Lepiej. Producent. Z Broadwayu. Zna kogoś w zespole teatralnym, który wystawia wielki przebój.

Przyjaciółka Anny zrobiła sceptyczną lub może zazdrosną minę.

– Zabrał cię do Rectora?

– Nie!

– Anno! Facet powinien przynajmniej zaprosić dziewczynę na beefa Wellingtona. Chodzi mi o to, co on chce za to „przygotowanie”? Dlaczego się śmiejesz?

– Bo jeszcze trzy tygodnie temu nie wiedziałabym, co to znaczy „beef Wellington”.

Anna Waterbury tak szybko nauczyła się tak dużo od przyjazdu do Nowego Jorku, że beef Wellington był z tego najmniej ważny.

– Jestem jedyną absolwentką w historii Szkoły dla Dziewcząt imienia Świętej Małgorzaty - powiedziała - która wie, że trzeba zapytać, czy oferta wyjazdu zawiera opłatę za pociąg.

Nie mówiąc o tym, że należało wiedzieć, kto zapewnia kostiumy. I unikać dyrektorów teatrów, którzy wyznaczają samych siebie na agentów przychodzących i odchodzących aktorek. I nigdy, przenigdy nie brać pracy w cyrku. Nie, żeby ktoś już zaproponował jej gdzieś jakąś pracę.

– Witamy na Broadwayu - odparowała Lucy.

Denerwowała się, bo czekała na wiadomość, czy dostała rolę dublerki w *Alias Jimmy Valentine*, wielkiej sensacji na podstawie opowiadania O. Henry'ego, co wymagało wyjazdu z zespołem do Filadelfii. Obie starały się o to, ale tylko Lucy wezwano na drugie przesłuchanie.

– Nie - odparła Anna. - On nie jest taki. To przemiły staruszek.

– Ile ma lat?

– Nie wiem... chyba tyle co mój ojciec. Utyka, chodzi o lasce. Poza tym jest żonaty. Nosi obrączkę. Nie ukrywa jej. Udziela mi mnóstwa cennych rad.

– Na przykład?

– Zostaw gwiazdorowi środek sceny i nie wchodź mu w drogę.

– Jak się nazywa?

– Nie mogę ci podać jego nazwiska. Kazał mi obiecać... Dlaczego? Bo obsada żywiłaby do mnie urazę, gdyby się dowiedzieli, że załatwił mi rolę.

– Co to za wielki przebój?

Anna jeszcze bardziej zniżyła głos i rozejrzała się dookoła, choć nikt więcej nie zmieściłby się w ich pokoiku.

– Ten! - Zamachała „Variety”. - *Jekyll i Hyde!* Wiosenne tournée! Ledwo mogę uwierzyć we własne szczęście.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i ich gospodyni otworzyła je zamaszycie z niezwykle ciepłym uśmiechem.

– Lucy Balant, masz gościa.

Obok pani Shine kręcił się z czapką w ręku pomocnik inspicjenta z teatru Wallacka.

– Inspicjent mówi, żeby się pani pakowała!

Lucy w kilka minut wyniosła się z pokoju.

– Powodzenia, Anno. Bez obaw. Następnym razem będzie twoja kolej.

Anna podeszła do wąskiego okna i wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć, jak Lucy truchta obok pomocnika inspicjenta. Czowała, że następnym razem rzeczywiście będzie jej kolej. Co robi, jeśli tamten miły starszy pan zaprosi ją na kolację do Rectora? W głębi serca wiedziała, że nie musi sobie na to odpowiadać, bo on tego nie zrobi. Naprawdę chce jej pomóc. Choć może po załatwieniu jej roli będzie chciał uczyć to z nią. W porządku. Jeśli przyprowadzi swoją żonę.

3.

WSZYSTKIE UBRANIA PO WYPRANIU JAK NOWE NASZA SPECJALNOŚĆ TO KOSTIUMY TEATRALNE

Isaac Bell wypadł z chińskiej pralni.

Chodnik blokował twarżel w płaszczu i meloniku.

– Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego główny śledczy prywatnej agencji detektywistycznej z biurami terenowymi we wszystkich miastach wartych tej nazwy i placówkami w Berlinie, Londynie i Paryżu osobiście szuka pewnej zaginionej młodej damy?

– Byłem ciekaw, kiedy się pojawisz, Mike. Twój tajniacy udawali, że nie widzą, jak wychodzę od Hammersteina drzwiami dla aktorów.

– Szkolę ich tak, żeby unikali zaskoczeń.

Kapitan „Nieprzekupny Mike” Coligney dowodził posterunkiem nowojorskiej policji w Tenderloin. W jego rewirze leżała duża część dzielnicy teatralnej i okolice hoteli i pensjonatów, gdzie mieszkali aktorzy. Bell współpracował z nim ściśle lata temu podczas sprawy Gangstera, ale działanie po tej samej stronie prawa pod zupełnie innymi kątami czyniło z nich tak sojuszników, jak rywali. Policjant tańczył tak, jak mu zagrali politycy, którzy rządzą Nowym Jorkiem. Prywatny detektyw nie miał zobowiązań wobec nikogo. Coligneya wspierało sześć tysięcy gliniarzy, Bell polegał na żelaznej gwarancji Agencji Van Dorn: „Nigdy się nie poddajemy! Nigdy!”

– Dawno cię nie widziałem - powiedział Coligney. - Gdzie się podziewałeś?

– Na zachodzie.

– Co cię przyniosło z powrotem?

Bell dał mu kopię fotografii Anny. Teraz, kiedy kapitan „zaangażował” policję, jak to ujął Pape, Bell zamierzał zwerbować dodatkowe siły.

– Słodki dzieciak - stwierdził Coligney. - Zapewne obiecująca aktorka, co wyjaśnia, dlaczego twój kumpel Archie Abbott przesiaduje w teatralnych knajpach. Arystokrata pan Archibald Abbott IV był aktorem, zanim ściągnąłeś go do waszej agencji.

Bell się nie odezwał.

– To może nawet wyjaśniać - ciągnął oschle kapitan - dlaczego brygada antygangowa Harry'ego Warrena puka do drzwi pensjonatów, choć nie wiem, czego przebrani za gangsterów detektywi zdołają się dowiedzieć od właścicielek pensjonatów. Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego ty osobiście węszysz. Ojciec tej panny to jakiś ważniak?

– Nie Rockefeller ani sędzia Congdon, ale gruba ryba. Prawda jest taka, że miałem parę luźniejszych dni i zrobiło mi się żal biedaka. Jest zarozumiały, zadufany w sobie i najbogatszy w Mosiężnym Mieście, ale Anna to jego jedyne dziecko i stało się dla mnie jasne, że on bardzo ją kocha.

– Zdziałałeś coś?

– Niewiele. Znalazłem inspicjenta, który przypomina sobie mgliście, że ją przesłuchiwał do jakiejś roli. Archie natrafił na jakiegoś pomocnika inspicjenta, który ją spławił. Harry zlokalizował pewną gospodynię, której się zdaje, że Anna szukała pokoju trzy czy cztery tygodnie temu. To by pasowało do daty, kiedy opuściła dom, ale jeśli tamta kobieta podała jej nazwisko, to Anna je zmieniła na pseudonim sceniczny.

– Jak Lillian Russell.

– Anna stała się „Waterbury”.

– Nostalgia.

Bell i Abbott obeszli szkoły tańca i muzyczne, i tanie jadłodajnie, gdzie żywili się młodzi początkujący aktorzy i starsi u schyłku kariery, i Bell odwiedzał teraz tanie pralnie w dzielnicy teatralnej. Pokazywali fotografię Anny gospodyniom, młodym aktorom i aktorkom, i stróżom wejść dla aktorów; kilku się zdawało, że ją rozpoznają. W ciasnej, zatłoczonej chórzystkami garderobie w Broadway Music Hall, Bell znalazł

dziewczynę, która rozpoznała ją na zdjęciu i pamiętała nazwisko Anna Waterbury. Nabrał więc pewności, że dziewczyna jest w Nowym Jorku, tylko wciąż nie miał pojęcia gdzie.

– Sprawdziłeś w szpitalach? - zapytał Coligney.

– Żadnej Pape ani Waterbury.

– A w kostnicy?

– Nie ma żadnej niezidentyfikowanej młodej kobiety, o której powinienem wiedzieć? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bell, choć wątpił, że jakaś jest.

Nie martwił się specjalnie o bezpieczeństwo Anny ani nie dziwił, że jeszcze jej nie zlokalizował. W nowojorskich teatrach wodewilowych i dramatycznych, w musicalach, burleskach i przedstawieniach objazdowych były tysiące ról dla aktorek.

– Godzinę temu nie było - odrzekł Coligney. - Miło cię znów widzieć, Isaac. A przy okazji, gratulacje. Słyszałem, że w końcu namówiłeś Marion Morgan, żeby za ciebie wyszła.

– Dziękuję. Jeśli na świecie jest jakiś szczęśliwszy człowiek, to jeszcze go nie spotkałem.

– Bóg jeden wie, co ona w tobie widzi.

– Mnie - odparł Bell z szerokim uśmiechem i uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

– Pozdrów ode mnie Joe'go Van Dorna.

– Mogę mu przekazać, że pomożesz?

Kapitan przytaknął.

– Przypnę zdjęcie Anny i każę moim sierżantom wspomnieć o niej na odprawie.

* * *

Dwa dni później coraz bardziej zaniepokojony Bell z braku innych możliwości wspiał się po frontowych stopniach ceglanej rezydencji w

słabo oświetlonej przecznicy w Tenderloin. Odźwierny miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył sto trzynaście kilogramów.

– Dobry wieczór panu. Dawno nie mieliśmy zaszczytu gościć pana.

– Dobry wieczór, Skinner. Powiesz panu Sayersowi, że chcę się z nim zobaczyć?

Odźwierny zaszeptał do rury głosowej.

Nick Sayers, przystojny właściciel burdelu Gaj - znanego jako „tenderloński Ritz” - kazał mu czekać dziesięć minut. Był w stroju wieczorowym i pachniał wodą kolońską z najwyższej półki.

– Pan Bell! Służbowo czy prywatnie, jeśli wolno spytać?

– Po informacje, Nick. Chodźmy do twojego gabinetu.

Sayers poprowadził go szerokimi schodami na górę do bogato urządzonego pokoju. Usiadł za biurkiem i wskazał Bellowi krzesło. Bell zauważył szklaną gablotkę pełną ceramicznych figurynek erotycznych.

– Zostałem kolekcjonerem - oznajmił Sayers, promieniejąc dumą. - Okazuje się, że nie każdy garncarz w Staffordshire produkuje posążki spanieli... O jakie informacje chodzi?

– Kto werbuje dziewczyny na dworcu Grand Central?

– Nie Gaj.

– Wiem, że nie ty osobiście, Nick. Kto to robi dla ciebie? Kto zwabia w zasadzkę ładne wiejskie dziewczyny, kiedy wysiadają z pociągu? Kto im obiecuje wygodne życie?

– Panie Bell, nigdy nie miałem potrzeby nikogo werbować. Naprawdę. Młode damy przychodzą do Gaju jako ochotniczki.

– Nick.

– Pokażę panu moje dziewczyny. Zobaczy pan na własne oczy, że mogłyby pracować wszędzie w Nowym Jorku. Pracują tutaj, bo chcą.

– Nick. Agencja Detektywistyczna Van Dorn nie powstała wczoraj. Tani alfonsi polują na biedne córki farmerów, które stać tylko na parowiec i tramwaj, na nabrzeżach promowych i przystankach. Przybytki wysokiej klasy, takie jak twój tenderloński Ritz, szukają na dworcach Pennsylvania

i Grand Central dziewczyn, które mogą sobie kupić bilet kolejowy, żeby uciec z domu. Szukam pewnej bogatej dziewczyny. Wiem, że przyjechała pociągiem. Wiem, że wysiadła na Grand Central, bo podróżowała z Connecticut. Chcę wiedzieć, kogo przesłuchać na Grand Central. I uprzedzam, że tracę cierpliwość.

– Cierpliwość? - Sayers się obruszył. - Isaac! Kiedyś ty pomogłeś mnie, a ja tobie. Jesteśmy kwita.

– „Isaac”, zamiast „panie Bell”? Wygląda na to, że opłacasz coraz ważniejszych ludzi w Tammany Hall.

– Tobie opłaciłoby się pamiętać, jak trzeba się dogadywać w tym mieście. Jak śmiesz nachodzić mnie w moim domu i grozić mi?

– Grozić?

Bell wstał, położył wielką dłoń na gablotce, przechylił ją do przodu i zrzucił na podłogę. Szkło się rozprysło, ceramika potłukła.

Sayers z niedowierzania zrobił gwałtowny wdech.

– Wiesz, ile to kosztowało?

– To nie była groźba - odparł Bell. - Kto zaczepia dziewczyny na Grand Central?

Sayers sięgnął po rurę głosową.

– Jeśli wezwiesz Skinnera, będziesz potrzebował nowego odźwiernego - ostrzegł Bell. - I to też nie jest groźba.

* * *

Stręczyciel Sayersa, który działał na Grand Central, nazywał się Nyren i miał na dworcu sklep z francuskimi perfumami, zamszowymi rękawiczkami i jedwabnymi apaszkami. Uprzejmy, z błyskiem w oku, elegancko ubrany i ostrzyżony, sprawiał wrażenie dobrodusznego nieżonatego wujka.

– Czym mogę panu służyć? Może coś dla młodej przyjaciółki?

– Nie mam młodej przyjaciółki.

Nyren mrugnął porozumiewawczo.

– To zanim będzie pan ją miał, może coś ładnego dla żony?

– Chcę porozmawiać na zapleczu ze wszystkimi pańskimi ludźmi, którzy zaczepiają wysiadające z pociągów dziewczyny i kierują je tutaj - odrzekł Isaac Bell.

Spojrzenie Nyrena stwardniało.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Jeśli nie przyszedł pan nic kupić, to proszę opuścić mój sklep.

– Najpierw chcę z panem porozmawiać, panie Nyren. Szukam tej dziewczyny.

Pokazał fotografię Anny.

Nyren udał, że się jej przygląda.

– Nadal nie wiem, o czym pan mówi, ale nigdy jej nie spotkałem. A mogę pana zapewnić, że nie zapominam ładnych twarzy - dodał z pożądliwą miną.

Wysoki detektyw wierzył mu.

– Popilnuję pana sklepu, kiedy będzie pan przywoływał swoich ludzi. Pojedynczo.

– Wezwę policjanta.

– Ja też - odparł Bell - i nie będzie to żaden z tutejszych, których pan przekupuje, tylko ich szef.

– Kim pan jest, do diabła?

– Przyjacielem rodziny tej młodej damy. Niech pan ich tu sprowadzi, już!

Trzech weszło do sklepu - pojedynczo jak kazał Bell. Byli młodzi i dobrze ubrani; nic dziwnego, że wystraszone dziewczyny dawały się nabierać na ich wytworne maniery i czarujące uśmiechy. Bell przywitał ich uprzejmie.

– Nie zamierzam wyeliminować was z interesu. Szukam pewnej młodej damy i będę wdzięczny za pomoc. Zapłacę.

– Ile?

– Sto dolarów - odpowiedział Bell, co równało się dwumiesięcznym zarobkom robotnika. - Widzieliście tę dziewczynę?

Dwóch pokręciło głowami, trzeci przytaknął.

– Pamiętam ją.

– Kiedy ją widziałeś?

– Niech pomyślę... Miesiąc temu. Może pięć tygodni.

Czas się zgadzał.

– Rozmawialiście? - spytał Bell.

– Próbowałem. Nie zareagowała.

– Jak to wyglądało?

– Minęła mnie, jakbym w ogóle nie istniał.

– Zaczepiał ją ktoś inny?

– Nie, tylko ja.

– Skąd wiesz?

– Wyszedłem za nią na ulicę.

– Naprawdę? W którą stronę poszła?

– Przecięła Czterdziestą Drugą.

– Na zachód?

– Tak.

– Gdzie za nią doszedłeś?

– Do Piątej Alei.

– Dlaczego nie dalej?

– Szła, jakby wiedziała, dokąd idzie. Albo wiedziała, czego chce. Więc pomyślałem, że z tą nic nie działam.

Bell milczał.

– Chce pan usłyszeć coś zabawnego? - zapytał burdelowy werbownik.

– Co takiego?

– Widziałem ją znowu w zeszłym tygodniu.

– Gdzie?

– Na Broadwayu. Spacerowała z jakimś starym elegantem. Powie mi pan, o co chodzi?

– Jak on wyglądał?

– Staro.

– Zgarbiony? Skurczony?

– Nie. Wysoki gość, jak pan.

– Jakiego koloru miał włosy?

– Siwe.

– Brodę?

– Nie, tylko wąsy.

– Jakiego koloru miał oczy?

– Nie wiem. Byłem za daleko. Mógłbym już iść? Mógłby mi pan dać tę setkę?

– Może mógłbym - odparł Bell. - Nazwałś go elegantem. Jak był ubrany?

– W kapelusz z szerokim rondem i pelerynę. Wyglądał jak z operetki. Miał nawet laskę ze złotą gałką.

– A pod peleryną frak?

– Nie, coś jak marynarkę.

– Marynarkę? - upewnił się Bell. - To trochę za nowoczesne na operetkę.

– Też tak pomyślałem. Może ta młoda dama zabrała go na zakupy.

Bell dał mu banknot studolarowy.

– Masz. Weź tydzień wolnego i daj spokój biednym dziewczynom.

– Jeśli ja ich nie zwerbuję, zrobi to ktoś inny.

* * *

Czterech mężczyzn szło za Bellem od Grand Central i dogoniło go po drugiej stronie Czterdziestej Czwartej ulicy. Szykownie ubrani, jak na tę okolicę, choć w trochę krzykliwych dwukolorowych półbutach, mogliby

być przyjezdnyimi handlowcami prosto z pociągu lub młodszymi agentami reklamowymi, gdyby nie ich skarpetki. Współczesne pokolenie członków ulicznego gangu Goferów najbardziej lubiło żółte. Wciąż mu towarzyszyli, gdy przecinał Piątą Aleję. Gliniarz kierujący ruchem spojrział na nich, ale miał pełne ręce roboty z oddzielaniem powozów od ciężarówek.

Bell nie sądził, żeby zaatakowali między Piątą a Szóstą Aleją. Na tym odcinku z warsztatami samochodowymi i powozowniami, Yale, nowojorskimi klubami jachtowym i harwardzkim, i hotelami Iroquois i Algonquin było za dużo ludzi. Na Szóstej Alei przeszedł szybko pod koleją nadziemną i zatrzymał się nagle w cieniu estakady plecami do słupa.

4.

Goferzy przepchnęli się przez przechodniów i zablokowali chodnik. Z bliska ich twarze z bliznami i powybijane zęby nie pozostawiały wątpliwości, co zamierzają. Z przyczyn, o które często się spierano w brygadzie antygangowej Van Dorna, zawsze mówił najniższy Gofer.

– Przyjaciel rodziny?

– Z drogi, chłopcy - odrzekł Bell.

Pozostali przysunęli się bliżej.

– Pan Uczynny?

– Przyjaciel rodziny.

– Nauczysz się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Najwyższy popełnił dwa błędy. Wysunął się naprzód i opuścił rękę, żeby wyciągnąć pałkę. Bell to wykorzystał i dwoma błyskawicznymi ciosami powalił gangstera na chodnik, rozkrwawiając mu nos. Lewym ramieniem osłonił podbródek i gotów do uderzenia prawą pięścią, cofnął się szybko.

– Ostatnia szansa, chłopcy. Z drogi.

Niski się roześmiał. Machnął ręką i pałka wysunęła się z jego rękawa w dłoń.

– Ostatnia szansa? Będziesz się bił z nami trzema?

– Nie w moim najlepszym garniturze.

Bell rozchylił marynarkę i odsłonił wygładzony od używania chwyt samopowtarzalnego kolta w kaburze pod pachą.

– Dwóch zastrzelę i powalczę z ostatnim.

Następnego dnia późnym popołudniem Bell poszedł do kostnicy Szpitala Bellevue, gdzie pokazał fotografię Anny niedawno wyznaczonemu asystentowi koronera.

– Nie mam żadnej Anny Pape ani Waterbury.

– A kogoś niezidentyfikowanego? - zapytał Bell.

Nowy asystent ciężko pracował, żeby zmodernizować przestarzałą instytucję, którą zbyt wiele lat kierowali wybierani, często niewykwalifikowani i czasem skorumpowani koronerzy. Jednym z usprawnień było założenie kartoteki zmarłych z ich zdjęciami. Mężczyzna przerzucił strony akt.

– Nie ma takiego dzieciaka - powiedział i Bell się z tym zgodził. - Ale zabawne, że pan pyta. Możemy mieć później młodą kobietę. To wygląda na zabójstwo. Jeden z szefów sam tam pojechał.

– Gdzie?

– Do Tenderloin.

Bell poprosił o adres, przejechał tramwajem Trzydziestą Czwartą ulicę i doszedł szybko Ósmą Aleją do Dwudziestej Dziewiątej Zachodniej ulicy. Kapitan Mike Coligney stał przed czynszową rudera. Rozmawiał z koronerem, którego Bell nie znał osobiście, i ignorował wykrzykiwane zza policyjnego kordonu pytania reporterów. Bell przeszedł obok, wymienił spojrzenia z Coligneyem i zaczekał połowę kwartału dalej, aż urzędnik odjedzie marmonem.

– Przykro mi, Isaac - powitał go ponuro Coligney - to może być ta twoja dziewczyna.

– Kto ją znalazł?

– Aktor, który tu mieszka, twierdzi, że wrócił do domu po miesiącu na Środkowym Zachodzie. Przysięga, że jej nie znał. Zatrzymaliśmy go i sprawdzamy to, ale wydaje się dość pewne, że wyjechał z Pittsburgha dopiero dziś rano, bo odwołano przedstawienie, w którym grał. A ona nie żyje od co najmniej doby.

Krzyki reporterów nasiliły się. Po władczym spojrzeniu Coligneya jego mundurowi gliniarze odsunęli ich dalej w głąb ulicy.

– Mam sześć córek - zwrócił się do Bella. - Nie będę snuł sprośnych spekulacji na temat dziecka z dobrego domu. Nie jest tak, że ona była jakąś pechową prostytutką.

– Sąsiedzi coś słyszeli? - spytał Bell.

– Ani w mieszkaniu, ani na korytarzu, ani w sieni. Domyślamy się, że ona przyszła o własnych siłach. A w takim razie znała zabójcę.

– Chyba że ją przyniósł.

– Nie mamy na to świadków. Nie, to wygląda na sprawę osobistą. Brutalną zbrodnię w szale zazdrości.

– Mogę ją zobaczyć? - zapytał Bell.

Coligney się zawahał.

– Świeże spojrzenie może tylko pomóc - powiedział Bell.

– Napiszesz mi raport.

– Oczywiście. Dzięki, Mike.

Coligney uniósł ostrzegawczo rękę.

– Chyba nie muszę ci mówić, żebyś niczego nie dotykał? Ale żebyś wiedział, zanim tam wejdiesz, ona została zaszlachtowana.

5.

Bell stał bez ruchu i patrzył, gdzie i w jakim stanie jest każda rzecz w pokoju. Sztuki Szekspira na półce obok fotela; popiersia i ryciny aktorów: Booth, Mansfield, Irvinga i Jeffersona; fotografie pierwszoplanowych

aktorek, podpisane i oprawione; szklana szkatułka z programami - potwierdzenie alibi aktora, podobnie jak przedziurkowany bilet kolejowy, który pokazał detektywom kapitana Coligneya. Był to bardziej dom niż wynajmowany pokój, i wszystko pozostawiono we wzorowym porządku - zasłony zaciągnięte, łóżko pościelone, szafa ubraniowa zamknięta. Cienka warstwa kurzu pokrywała blaty i pajęczyna wisiała między popiersiami, ale gospodyni lub sąsiad musieli podlewać geranium, bo nie uszło podczas miesięcznej nieobecności aktora. Okna były szczelnie zamknięte i Bell się domyślał, że w powietrzu unosiłaby się woń stęchlizny, gdyby nie zapach krwi. Zabójca z pewnością wiedział, że mieszkanie jest puste. Aktor miał szczęście, że jego przedstawienia nie odwołano dzień wcześniej, bo też by nie żył.

Leżała na plecach na łóżku w do połowy zdjętym płaszczu. Ręce trzymała wzdłuż boków, dłonie miała otwarte, jedną w rękawiczce, drugą gołą. Nie widniały na nich skaleczenia; nie broniła się przed nożem. Na jej twarzy też nie było skaleczeń ani krwiałków, ale spuchła i zsiniała. Z wyдутymi po śmierci policzkami przypominała cherubinka na fotografii, którą jej zrobiono w wieku piętnastu lat.

Krąg poziomych krwiałków wokół szyi biegł równolegle do głębokiego przecięcia gardła, które omal nie pozbawiło jej głowy. Brak skaleczeń na rękach, zsiniała skóra i krwiaki wzbudziły w Bellu nadzieję, że zabójca ją udusił, zanim użył noża.

Wysoki detektyw w końcu się ruszył i wszedł głębiej do pokoju.

Krew wsiąkała w jej płaszcz i narzutę na łóżko, ale nie opryskała wezglowia ani ścian, co upewniło Bella, że jej serce przestało bić, zanim tętnice zostały przecięte. Na jej ramionach i nogach naliczył dziesięć półkolistych ran; miały różną długość, ale wszystkie były płytkie i bardzo mało krwawiły. Zdziwiony i zaciekawiony, narysował je w swoim notesie.

Obejrzał jej paznokcie. Dwa były złamane, ale zaskoczył go brak krwi i zdartego naskórka pod nimi, co powinien znaleźć, gdyby podrapała nadgarstki zabójcy, walcząc o życie. Bo musiała walczyć, choćby w ostatniej chwili. Jeden z jej obcasów został częściowo odłamany od podeszwy buta, kiedy kopała w podłogę lub słupek łóżka.

Bell był skłonny zgodzić się z gliniarzami, że przyszła do mieszkania dobrowolnie, ale nie na schadzkę. Nawet pomijając zaślepienie kochającego ojca, nie sądził, żeby wiek Anny, jej wychowanie pod kloszem i pragnienie odniesienia sukcesu w teatrze skłoniły ją do związania się z kimś tak szybko po opuszczeniu domu.

Gliniarze przywiązywali dużą wagę do brutalności ataku, oceniając to jako szalą zazdrości. Albo wściekłość z powodu odrzucenia, pomyślał Bell. Był zdania, że mogła zostać zwabiona do mieszkania pod jakimś pretekstem, który nie miał nic wspólnego ze schadzką. Ale wiedział, że kiedy przyjdzie mu zawiadomić jej ojca o losie jego córki, będzie chciał złagodzić cios, choćby w najmniejszym stopniu.

Gdybym tylko znalazł ją w porę, pomyślał.

* * *

– Zostań tu - polecił kapitan Coligney na widok miny Bella i uniósł wielką dłoń, którą mógłby zatrzymać pociąg towarowy. Bell zbiegł po frontowych stopniach, minął go i skierował się w stronę Broadwayu i Times Square.

– Zostaw go nam! - krzyknął Coligney. - Dopadniemy go!

– Ja zrobię to pierwszy.

Piętnaście minut po wyjściu z domu, gdzie zamordowano Annę, pochylał się nad biurkiem krytyka teatralnego „New York Timesa”.

– Panie Klauber, nazywam się Isaac Bell. Nasz wspólny znajomy, Walter Hawley, przedstawił nas sobie w Amen Corner krótko przed swoją śmiercią.

Walter L. Hawley był głównym reporterem politycznym „Evening Sun”.

– Bell? A, tak. - Adolph Klauber zaciągał z akcentem z Louisville w Kentucky. - Z branży ubezpieczeniowej, o ile sobie przypominam. O co chodzi, panie Bell? Wygląda pan na zdenerwowanego.

– Za kilka minut - odrzekł Bell - zatelefonują do pana aktorzy, żeby panu powiedzieć, że młoda aktorka nazwiskiem Anna Waterbury mieszkała w ich pensjonacie. Jest mi potrzebny adres.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Panna Waterbury właśnie została zamordowana.

– C... co? - wykrztusił Klauber.

Grymas wściekłości wykrzywił przystojną twarz wysokiego, potężnego mężczyzny, który pochylał się nad jego biurkiem. Klauber się wzdrygnął i przełknął z trudem ślinę w nagłym strachu o własne życie. Potem mina Bella się zmieniła jak u aktora na scenie, co krytyk widział wiele razy. Furię zastąpiła determinacja.

– Brutalny zabójca zamordował biedną dziewczynę w tak potworny sposób, że gazety będą drukowały dodatki nadzwyczajne - powiedział Bell lodowatym tonem. - Założę się, że jakiś aktor, który wie, gdzie ona mieszkała, zatelefonuje do pana. Jej sąsiedzi pomogą mi zidentyfikować zbrodniarza.

– Dlaczego zatelefonują do mnie?

– Bo zanim został pan krytykiem, był pan aktorem, panie Klauber. Do kogo by pan zatelefonował, gdyby starał się pan o miejsce w teatrze? Na policję? Czy do sławnego krytyka, który był aktorem i dlatego jest życzliwy ludziom z branży?

– Mam nadzieję... nie, jestem pewien, że nie byłbym tak prostacko ambitny.

– Zapomina pan o upokorzeniach, rozczarowaniach i ubóstwie. Z tego, co widziałem w ostatnich dniach, życie w teatrze jest trudne i łatwo się pogubić.

– Cóż, każdy musi z czegoś żyć - przyznał Klauber.

Jego telefon zadzwonił.

* * *

Bell wbiegł po frontowych stopniach pensjonatu Anny Waterbury - dwóch połączonych ze sobą, podniszczonych, dziewiętnastowiecznych domów miejskich w połowie przecznicy Broadwayu. Wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli jeszcze przez pięć minut nie zjawią się tu gliniarze i reporterzy. Drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem, zanim zdążył zapukać. Dwoje tancerzy wodewilowych, kobieta w zwojach jedwabiu i mężczyzna w białym krawacie, wyglądało na zawiedzionych.

– Pan nie jest panem Klauberem.

– On mnie przysłał - skłamał Bell. - Potrzebujemy waszej pomocy. Jak się nazywacie?

– Heather i Lou - odrzekła kobieta, nadzwyczaj piękna długowłosa brunetka.

– Dobrze znaliście Annę?

– Spotykaliśmy ją tylko przy kolacji - powiedziała Heather.

– Pamiętacie, kiedy ostatni raz ją widzieliście?

– Wczoraj. Nie wróciła na noc do domu.

– Wyszła z kimś?

– Nie, sama.

Za tancerzami pojawiła się ich gospodyni, pani Shine, krągła kobieta o podejrzliwym spojrzeniu i zmęczonej twarzy. Przestraszyła się, kiedy Bell zapytał ją, czy знаła Annę, i oświadczyła, że prowadzi porządny dom i nie odpowiada za to, co jej lokatorzy robią poza nim.

– Miała chłopaka?

Gospodyni skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie tutaj.

– Czy ktoś z pani pozostałych lokatorów może wiedzieć, czy miała chłopaka?

– Tylko Lucy Balant. Mieszkały razem.

– Mogę porozmawiać z Lucy?

- Jeśli wybierze się pan do Filadelfii - odparła gospodyni.
- Lucy jest dublerką w *Jimmy Valentine* - wyjaśniło jedno z tancerzy.
- O, mój Boże - jęknęła gospodyni. - Zobaczcie!

Z jednej strony zbliżał się oddział policji, z drugiej tłum dziennikarzy. Mundurowi szli za tajniakami. Reporterzy wykrzykiwali pytania.

* * *

Bell wrócił szybko do Knickerbockera. Wysłał telegraficzne instrukcje do biura terenowego w Filadelfii i kilku innych w kraju, wydał rozkazy wszystkim detektywom w pokoju i popędził na dworzec Grand Central, gdzie złapał pociąg do Waterbury w Connecticut.

Dojechał do Mosiężnego Miasta w niecałe dwie i pół godziny, ale gazety go ubiegły. Nikt nie odebrał telefonu, kiedy zadzwonił ze stacji kolejowej, i gdy dotarł do domu Pape'a, dwupiętrowej ceglanej rezydencji z kamiennymi wieżyczkami po bokach, zastał reporterów przed zakończonym kolcami parkanem.

Oprych w czarnym płaszczu i fedorze pilnował bramy, dwóch innych strzegło drzwi wejściowych. Bell przypuszczał, że to gliniarze ze spółki mosiędzowej Pape'a. Ukrył w dłoni odznakę vandornowca, żeby reporterzy nie zauważyli błysku złota.

– Pan Pape jest naszym stałym klientem. Jeśli zechce się ze mną zobaczyć, niech mnie wpuści tylnymi drzwiami.

Usłyszał uprzejme „Proszę tu zaczekać”, czego się spodziewał. Prywatni gliniarze traktowali vandornowców w rękawiczkach w nadziei, że agencja będzie o tym pamiętała podczas następnego naboru do sekcji usług ochroniarskich. Facet szybko wrócił.

– Niech pan pójdzie za róg. Jeden z chłopaków wpuści pana boczną bramą.

Bell został zaprowadzony do wejścia dla służby. Lokaj w liberii poprowadził go przez dom i ogromny salon, gdzie dominowały organy piszczałkowe. Zapukał do drzwi biblioteki, która służyła Pape'owi za domowe biuro, i zostawił Bella ze zrozpaczonym ojcem.

- Mogę tylko powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. Obiecuję, że nie spoczniemy, dopóki nie postawimy zabójcy przed sądem.
- Żyłaby, gdyby pan ją znalazł.

6.

Bell kupił nowojorskie gazety od gazeciarza, który wbiegł do pociągu na stacji w Bridgeport. Wszystkie podawały - pod dyktando kapitana Coligneya, Bell był tego pewien - że niewinna młoda kobieta z dobrej rodziny została zwabiona lub zaprowadzona siłą do pokoju, gdzie ją zamordowano. Nikt nie brał pod uwagę ewentualności, że Anna mogła znać swojego zabójcę.

Z braku sprośnych szczegółów gazety wróciły do wypróbowanego porównania ze zbrodniami sprzed lat. W 1888 roku, prawie ćwierć wieku temu, seria morderstw w Londynie była sensacją po obu stronach Atlantyku. W 1911 roku reporterzy rutynowo pisali o podobieństwie tamtych zabójstw do każdego niewyjaśnionego ataku nożowego na kobietę.

Policjanci prowadzący śledztwo w sprawie zamordowania Anny Pape podejrzewają zbrodnieca podobnego do Kuby Rozpruwacza, którego przerażające zbrodnie w londyńskiej dzielnicy Whitechapel wstrząsnęły światem.

– Gliniarze uważają, że zrobił to jej chłopak - powiedział Bell do pośpiesznie zorganizowanego oddziału jego najlepszych dostępnych detektywów. Do nieobecnych w mieście zatelegrafował, żeby zameldowali się w Nowym Jorku, ale że na początek wystarczą mu ci.

– Ja też tak myślę. Albo przynajmniej ktoś, kogo znała i komu ufała. Na razie nie ma dowodu, że nie poszła do mieszkania dobrowolnie. A sposób jej zamordowania sugeruje szal z zazdrości. Nie mamy nikogo, kto widział jej przyście do mieszkania, ani nikogo, kto widział, że ją przyniesiono,

przywleczono lub wprowadzono siłą do budynku. Zobaczyliby to? Być może, ale gwarancji nie ma, zwłaszcza że to była późna noc.

– Żadnego śladu kropli nasennych? - zapytał rudowłosy Archie Abbott.

– Autopsji dokonał asystent koronera, co oznacza, że została przeprowadzona naukowo. Wodzian chloralu szybko ulega metabolizmowi, ale nie wykrył też alkoholu w treści jej żołądka.

Detektywi skinęli głowami ze zrozumieniem. Alkohol zabijał smak i zapach wodzianu chloralu, więc mogli śmiało przyjąć, że morderca nie podał ofierze kropli nasennych w drinku.

– Chloroform? - spytał Harry Warren, szpakowaty szef brygady antygangowej, jeden z najbliższych powierników Bella.

– Asystent koronera wyjaśnił mi, że zapach już by uleciał w momencie znalezienia jej ciała. Oczywiście nie wahałem zwłok. Ale autopsja ujawniła coś niezwykłego. Dziewczynie złamano kark. Do tego potrzeba bardzo silnych rąk. Anna była drobna, ale to wskazuje, że musimy szukać wielkiego mięśniaka, który nie zna własnej siły. Niemniej jednak, panowie, konieczne jest ustalenie, czy poszła tam z własnej woli, i czy знаła zabójcę, czy też zaatakował ją ktoś obcy. Jeśli to była sprawa osobista, dowiemy się jego nazwiska. Jeśli to nie była sprawa osobista, to jakiś brutalny morderca grasuje w mieście i może znów zabić. Tak czy inaczej, chcę go posadzić na krześle elektrycznym.

– Dlaczego miałyby pójść z kimś, kto nie był jej chłopakiem? - zapytał młody detektyw jeszcze na okresie próbnym.

– W nadziei - odrzekł Bell.

– Na co? Że on zostanie jej chłopakiem?

Wywołało to uśmiechy, które zniknęły, gdy Bell odparł lodowato:

– Anna chciała być aktorką. Miała nadzieję, że dostanie rolę w jakiejś sztuce.

* * *

Lucy Balant wróciła do swojego obskurnego hotelu, wykończona. Nigdy w życiu nie była tak zmęczona. Nie wypowiedziała jeszcze ani słowa w *Alias Jimmy Valentine*, nie postawiła nogi na scenie, z wyjątkiem przesłuchania jej przez inspicjenta do ról, do których się przygotowywała. Ale to nie znaczyło, że nie pracowała. Zakwaterowali ją, żywili i płacili jej, a w zamian zespół teatralny żądał, żeby robiła to, co było potrzebne. Dobrze szyła, więc pomagała garderobianej. Długie dni zaczynały się bardzo wcześnie rano. Reperowała kostiumy, prała je w staromodnej pralni teatralnej, wykręcała w wyżymaczkę i wbiegała po sześciu kondygnacjach schodów na dach, żeby je rozwiesić na sznurach do bielizny, a potem prasowała na wpół mokre.

Wspięła się po schodach do swojego pokoju, zamknęła drzwi i oparła o nie, żeby mieć chwilę ciszy i spokoju w ciemności. Spędzali w Filadelfii ostatnią noc, potem jechali do Bostonu, gdzie może wreszcie któraś ze stałych aktorek zachoruje albo odejdzie, lub spadnie ze sceny i złamie sobie kark.

– Lucy?

Podskoczyła, serce podeszło jej do gardła. Wysoka postać stała w mroku między łóżkiem a szafą ubraniową.

– Nie bój się.

Kobięcy głos, na szczęście.

Czarnowłosa kobieta po dwudziestce weszła w światło, które wpadało przez okno.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Jak się tu dostałaś?

– Wpuściłam się sama.

Lucy nadal waliło serce.

– Zaryglowałam drzwi, kiedy wychodziłam.

– Otworzyłam zamek wytrychem. Nazywam się Helen...

– Wytrychem? Włamałaś się do mojego pokoju? Co ty mówisz? Co tu robisz?

– Muszę z tobą porozmawiać. Nazywam się Helen Mills. Jestem detektywem z Agencji Van Dorn. Nie masz powodu się bać.

– Boję się. Co robisz w moim pokoju?

Mills niedawno awansowała na pełnoprawnego detektywa. Po ukończeniu college'u została pierwszą kobietą w Agencji Van Dorn. Szybka w planowaniu i jeszcze szybsza w działaniu, dopiero poniewczasie uświadomiła sobie, jak by zareagowała na miejscu Lucy. Co ona lub jakakolwiek inna samotna kobieta poczułaby, gdyby się okazało, że drzwi do jej pokoju hotelowego nie chronią go tak, jak myślała?

– Przepraszam. Ta sprawa jest tak ważna, że zapomniałam o dobrych manierach.

– Jeśli w ogóle je masz. I co to za sprawa? Dlaczego po prostu nie zaczekałaś w holu? Mogłaś też poszukać mnie w teatrze.

– Przepraszam - powtórzyła Helen. - Ale chciałam, żebyś poświęciła mi całą swoją uwagę.

– Słucham. O co chodzi?

– Mam straszną wiadomość i potrzebuję twojej pomocy. Twoja współlokatorka Anna nie żyje.

– Co?! Nie! Nic jej nie było, kiedy wyjeżdżałam z Nowego Jorku.

– Została zamordowana.

Lucy zatoczyła się do tyłu, wpadła na łóżko i kolana ugięły się pod nią.

– O, nie, ona...

– Muszę zadać ci kilka pytań. Twoje odpowiedzi mogłyby nam pomóc znaleźć jej zabójcę. Na pewno jesteś przygnębiona.

– A jak ty byś się czuła?

– Byłabym bardzo przygnębiona...

– Co to znaczy, że została zamordowana? Co się stało? Kto to zrobił?

– Jeszcze nie wiemy. Jeśli zdołasz odpowiedzieć na moje pytanie, pomożesz nam go znaleźć.

– Ale dlaczego? To nie ma sensu. Ona była naprawdę miłą dziewczyną. Nikogo by nie skrzywdziła. - Wciąż w płaszczu Lucy usiadła na łóżku, kręcąc głową. - Miała przesłuchanie do mojej roli. Gdyby ona ją dostała, a nie ja, toby teraz żyła.

– Miała chłopaka?

– Nie.

– Powiedziałałaby ci, gdyby miała?

– Wiedziałabym o tym - odrzekła Lucy. - Obchodziło ją tylko dostanie roli. Tylko tego chciała. Dlatego uciekła z domu, a nie wyglądało mi na to, że miała tam źle. Myślę, że miała cudowny dom.

– Spotykała się z kimś, kto miał nadzieję zostać jej chłopakiem?

– Nikogo takiego nie widziałam.

– Mogła pójść z kimś do mieszkania?

– Wątpię - odparła Lucy. - Była Panną Niewinną. Zdziwiłabym się, gdyby kiedykolwiek pocałowała jakiegoś chłopca.

– Ale z jakiegoś powodu poszła do mieszkania z mężczyzną - zauważyła Helen.

– Sama?

– Najwyraźniej.

– Muszę powiedzieć, że to niespodzianka. Duża niespodzianka... Chyba że...

– Co?

– Nie, to niemożliwe. Był za stary.

– Kto? - zapytała Helen.

– Pewien producent z Broadwayu. Przygotowywał ją do przesłuchań w teatrze.

– Możesz go opisać?

– Nie, nigdy go nie widziałam. Mówiła mi tylko o nim.

– Ile miał lat?

– Powiedziała tylko „stary.” Utykał. Zdaje się, że chodził o lasce. I był żonaty. A przynajmniej nosił obrączkę. Ona naprawdę uważała, że on jej pomoże dostać rolę.

– Miała przesłuchanie?

– Nie wiem. On podobno znał kogoś ważnego w teatrze. Była pewna, że zagra.

– Mówiła, w jakiej sztuce?

– *Doktor Jekyll i pan Hyde*. Podczas wiosennego tournée. Barrett i Buchanan ruszają z tym w trasę.

* * *

Bell się spodziewał, że Helen Mills przyśle telegraficzny meldunek. Zamiast tego, poszła prosto na stację Broad Street i przyjechała pociągiem do Nowego Jorku. W drodze z dworca Pennsylvania do śródmieścia wstąpiła do teatru Almeida, gdzie grano sztukę *Doktor Jekyll i pan Hyde*, zanim wyruszono z nią w trasę, a potem popędziła do biura terenowego Van Dorna w Knickerbockerze.

Bell właśnie wydawał rozkazy i detektywi szybko wychodzili. Normalnie powitaliby ją serdecznie, ale tego wieczoru tylko ponuro kiwali jej głowami. Bell wysłał Harry'ego Warrena do miasta i naradzał się cicho z Archiem Abbottem, swoim najlepszym przyjacielem od czasu, gdy boksowali w college'u. Archie był aktorem, zanim jego należąca do wyższych sfer matka zażądała, żeby rzucił scenę, więc znał tajniki show-biznesu.

W końcu Bell przywołał gestem Helen.

Praktykowała u niego i została jego protegowaną. Pan Van Dorn oddelegował ją do Filadelfii, żeby nabrała większego doświadczenia. Nie widziała Bella od miesiący i natychmiast rzuciła jej się w oczy jego posępna, jakby wyciosana z granitu twarz. Wymieniła szybkie spojrzenia z Archiem, który potwierdził skinieniem głowy, że Bell jest głęboko wstrząśnięty morderstwem Anny Waterbury. Przeszła od razu do rzeczy.

– Znalazłam Lucy Balant.

– Depesza zaoszczędziłaby czas.

– Depesze potrafią być mylące. Uznałam tę sprawę za tak ważną, że postanowiłam osobiście złożyć meldunek.

Bell uniósł brew i zrobił znaczącą minę. Helen zawsze bardzo zależało, żeby być w samym środku akcji. Niezła cecha u detektywa. Przynajmniej w połączeniu ze zdrowym rozsądkiem.

– Mów - odrzekł. - Melduj.

Powtórzyła Bellowi, co usłyszała.

– Wydaje mi się, że kluczowy jest wiek tamtego producenta - zakończyła. - Za stary, żeby mieć siłę zabić?

– Młodzi każdego uważają za starego - odparł Bell. - Ludzie w średnim wieku rozpoznają swoich rówieśników. A dla starego każdy jest młody. Anna miała dopiero osiemnaście lat.

– W tak młodym wieku - wtrącił się Archie Abbott - mogła uwierzyć mężczyźnie, który twierdził, że może załatwić jej rolę.

– Z tego wszystkiego, co wiemy - powiedział Bell - on może mieć tylko trzydzieści pięć lat i utykać dlatego, że został postrzelony na wojnie hiszpańsko-amerykańskiej albo potrącony przez tramwaj.

– Wybrał odpowiednią sztukę, żeby zwabić biedną dziewczynę - zauważył Archie. - *Jekyll i Hyde* to sensacja pełna nowoczesnych efektów scenicznych. Barrett i Buchanan obłowią się na tym tournée.

– Widziałam to z moim ojcem - odrzekła Helen. - Kobiety na widowni mdlały.

– Kto grał Hyde'a? Barrett czy Bu...

– Helen! - przerwał im Bell. - Zanim wrócisz do Filadelfii, idź do Almeidy i zapytaj, czy Annę Waterbury przesłuchano do roli w *Doktorze Jekyllu i panu Hydezie*.

– Wpadłam tam w drodze tutaj - pochwaliła się Helen. - Mają próby do jakiejś nowej sztuki. *Doktor Jekyll i pan Hyde* pojechała już do Bostonu... Mam się wybrać do Bostonu?

– Nie, zadeszuję do tamtejszego biura. - Bell przywołał praktykanta, który podbiegł do jego biurka. Bell wręczył mu kopię zdjęcia Anny. - Zanieś to na Grand Central. Wyślij to nocną pocztą do Bostonu. Migiem! - Odwrócił się do Helen. - Chłopcy w Bostonie dostaną to rano... O co chodzi?

– Rozmowa z Lucy coś mi uświadomiła - powiedziała Helen. - Jeśli morderca nie był chłopakiem Anny, ani nawet jej nie znał, to co się stanie z następną dziewczyną, którą złapie samą?

7.

– Podasz mi swoje imię, panienko?

Większość dziewczyn w branży wymyślała sobie imiona. Ale Lillian Lent uznała, że skoro ujawnia wszystko za dwa dolary, to po co ukrywać imię, jeśli przyjazne zachowanie wobec porządnego gościa może jej przynieść dolca lub dwa napiwku. Ten gość, w staromodnej pelerynie i o lasce, miał dobre maniery - zdjął cylinder. Patrzył jej nawet prosto w oczy, jakby pamiętał, że rozmawia z ludzką istotą. Mógł ją rozczarować, ale była gotowa się założyć, że będzie hojny. Toteż zadarła głowę - bo górował nad nią - odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się tak szeroko, jak tylko mogła bez pokazywania spróchniałych zębów.

– Lillian.

– Co za piękne imię. Pasuje do ciebie.

– Bardzo panu dziękuję.

– A jak brzmi twoje nazwisko?

– Lent.

– Lillian Lent. Jedno i drugie na tę samą literę. Bardzo ładnie. Pasuje do ciebie. Kiedy przyjechałaś do Bostonu, Lillian Lent?

– Skąd pan wie, że nie jestem z Bostonu?

– Masz akcent z Maine.

– A, tak. Chyba tak. Jestem tu od jakichś trzech miesięcy. Może od czterech.

– Dorastałaś na farmie?

– Ziemniaczanej. Teraz pan wie, dlaczego przyjechałam do Bostonu.

– Przejdziemy się, Lillian?

Źle go oceniła. Myślała, że jak ma dobre maniery i drogie buty, to wyda pieniądze na pokój. Ale na dworze, w chłodną wiosenną noc, przynajmniej pójdzie szybko. Nie ma co do tego wątpliwości. Dała mu się poprowadzić w ciemność parku Common.

– Dobrze - odrzekła, wciąż mając nadzieję na napiwek.

* * *

Kiedy prywatny telegraf wystukiwał rozkazy głównego śledczego Bella, detektywi w biurze terenowym Van Dorna na szczycie bostońskiego dworca kolejowego South Station ciągnęli zapałki. Kto zostanie na gospodarstwie? Kto przeprowadzi przesłuchania w teatrze pełnym aktorek i girlasek?

James Dashwood nauczył się magicznych sztuczek i celnego strzelania od swojej matki, która była snajperką w Cyrku Dzikiego Zachodu Buffalo Billa.

Ukrył w dłoni długą zapałkę, zanim pociągnęli.

* * *

Jezdnię i chodniki blokowały kolejowe wozy spedycyjne w oczekiwaniu na wjazd w uliczkę między dwoma teatrami. Pracownicy obsługi sceny i woźnice rozładowywali je pod wielkim afiszem, który zapowiadał:

JUTRO WIECZOREM

ALIAS JIMMY VALENTINE

PROSTO Z NOWEGO JORKU I FILADELFI

„NAJLEPSZE OPOWIADANIE O. HENRY’EGO
PRZEBOJEM SCENICZNYM” - „VARIETY”

Omijając konie i łajno, Dashwood przeszedł pod następnym wielkim afiszem, który obwieszczał:

JACKSON BARRETT & JOHN BUCHANAN
PRZEDSTAWIAJĄ.
DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE
PROSTO Z BROADWAYU
SZCZYT TECHNICZNEGO REALIZMU
DWA SENSACYJNE EFEKTY SCENICZNE

Minął informację w okienku kasowym:

BILETY NA PREMIERĘ WYPRZEDANE

Wszedł do holu, gdzie dowiedział się od jakiegoś mężczyzny, który przygotowywał wizytę krytyka teatralnego z „Globe” i podlizywał mu się, że nie ma żadnych girlasek; *Doktor Jekyll i pan Hyde* to nie musical. Ale energiczny chłopak, który załatwiał sobie pozwolenie na wypożyczenie lornetek teatralnych, zapewnił go, że jest mnóstwo aktorek.

– Szukam informacji o dziewczynie, która była przesłuchiwana do roli w Nowym Jorku. Kogo mam zapytać?

– Inspicjenta. Pana Younga.

– Gdzie on jest?

– Prowadzi próbę.

– Po co? Myślałem, że już grali w Nowym Jorku.

– Zmniejszamy dekoracje z Broadwayu, żeby się zmieściły na scenie w Bostonie. Gdyby aktorzy nie mieli próby, przebiliby kulisy i wpadli do fosy orkiestrowej.

– Jakiej fosy orkiestrowej? To nie musical.

Chłopak popatrzył na Dashwooda jak na świeżo przybyłego imigranta.

– Ale muzyka jest potrzebna. Musi być podkład muzyczny. Jak inaczej mamy przedstawiać kolejne sceny i podgrzewać atmosferę?

Młody detektyw wśliznął się na pustą widownię i czekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do półmroku. Rzędy miejsc były wolne. Zobaczył tylko dwóch barczystych dziwaków w jedwabnych cylindrach i chudego gościa z potarganymi długimi włosami i postrzępioną brodą.

Dashwood ruszył cicho naprzód i usiadł, gdy znalazł się tak blisko sceny, że mógł rozróżnić twarze.

Piękne aktorki grały role duszonych.

– Ty - szepnął do chłopaka od lornetek teatralnych, który przyszedł z naręczem programów - dlaczego duszą je obaj faceci?

– Pan Barrett i pan Buchanan zamieniają się rolami doktora Jekylla i pana Hyde'a. Obaj muszą grać złoczyńcę i bohatera.

Jackson Barrett i John Buchanan rzeczywiście wyglądali bardzo podobnie - tak bardzo, że mogli uchodzić za braci. Byli postawni, pełni wigoru, po czterdziestce, i przystojni jak model w reklamie dopinanych kołnierzyków, choć nie wtedy, kiedy dusili kobiety. Światła na scenie przygasły i jeden z nich całkowicie zmienił postawę i wyraz twarzy. Zgarbiony, pan Hyde w jakiś tajemniczy sposób stał się niższy i silniejszy, i nie pozostawiał wątpliwości, że szybko rozprawi się z dziewczynami.

– Kim są ci bogaci faceci?

– Sponsorami.

– Czyli?

– Inwestują w nas. Nazywają się Deaver. To chodzące worki pieniędzy.

– A tamten potargany gość to kto?

Chłopak spojrzał tam, gdzie Dashwood wskazał głową. Spochmurniał.

– Mąciwoda.

Dashwood przyjrzał mu się bliżej. „Mąciwoda” okazał się młodszy, niż sugerował jego wygląd - był tuż po czterdziestce.

– Co on tu robi?

– Wkradł się tutaj, jak pan.

Kobieta wrzasnęła.

Krzyk przerażenia sprawił, że Dashwood gwałtownie odwrócił głowę. Kobieta nie była na scenie, lecz gdzieś w półmroku widowni. Detektyw zerwał się z miejsca i pobiegł na pomoc, wyciągając pistolet spod marynarki. Kobieta znów wrzasnęła. Zobaczył ją za rzędami pustych miejsc. Wstrząsana konwulsjami, zachwiała się, chwyciła za pierś i upadła w przejściu.

– Panno Gold! - zagrział głos ze sceny.

Pan Hyde wyprostował się do pełnego wzrostu Johna Buchanana. Mdlejąca ofiara wstała.

– Tak, panie Buchanan?

– Jeden przeszywający wrzask wystarczy, panno Gold.

– Przepraszam, panie Buchanan. Myślałam, że ten moment wymaga...

Jackson Barrett wystąpił naprzód i przerwał jej tak grzmącym tonem, jak jego wspólnik:

– Młoda damo, umieszczamy panią na widowni, gdzie ma pani „zemdleć ze strachu”, żeby uwiarygodnić pogłoski, że nasz przerażający pan Hyde doprowadzi bostońskie kobiety do utraty przytomności. „Moment wymaga”, żeby przekonała pani potencjalnych nabywców biletów, a nie przesadnie rozpraszała publiczność, która już kupiła bilety, żeby zobaczyć na scenie mnie, pana Buchanana i panią Cook.

– Tak jest, panie Barrett.

– Niech pani wraca na podłogę.

– Noszowi! - ryknął Buchanan. - Wchodźcie i wychodźcie szybko.

Aktorzy w białych strojach sanitariuszy szpitalnych i pielęgniarki pobiegli w głąb przejścia. Wtoczyli pannę Gold na nosze i zabrali ją, pielęgniarka truchtała obok i sprawdzała jej tętno.

Próba została wznowiona.

Pojawiła się zjawiskowo piękna aktorka i Dashwood rozpoznał sławną Isabellę Cook, której zdjęcia były we wszystkich czasopismach.

Wydawała się lśnić w świetle. Zgarbiony jak Hyde Buchanan wypadł z cienia i ryknął na nią. Zanim zdążyła się cofnąć, zaniedbany długowłosy mężczyzna zerwał się z miejsca.

– To moje słowa! - krzyknął. - Ja to napisałem.

Barrett i Buchanan podeszli ramię w ramię do krawędzi sceny i spojrzeli w światła.

– Kto tam jest?

– Ja to napisałem. Ukradliście moje słowa.

– Dobry Boże! - wykrzyknął Barrett. - To znowu ty, Cox! Wynocha, cholerny kłamco!

– Zabrać tego durnia z teatru - rozkazał Buchanan.

– Ja to napisałem. To moje słowa.

– Panie Ricku L. Cox, jesteś wariatem. Wynocha z naszego teatru!

Bileterzy przybiegli przejściem i wywlekli Coksa za drzwi.

– Panie Young! - odezwał się ostro Buchanan. - Jak on tu wszedł?

Young - inspicjent, jak już się zorientował Dashwood - podbiegł do nich, załamując ręce.

– Bardzo przepraszam. To się nie powtórzy.

– Lepiej, żeby nie.

– Cholerny wariat.

Inspicjent odwrócił się do gapiącej się obsady i obsługi sceny.

– Panie i panowie, możemy kontynuować, bo kurtyna idzie w górę za sześć godzin?

Próba trwała dalej.

Dashwood wyczytał w ukradzionym programie, że pełne nazwisko inspicjenta to Henry Booker Young. Prawie tak wysoki i przystojny, jak Barrett i Buchanan, chudy jak szczapa Young był w samej koszuli i kamizelce. Słuchał grających główne role i biegał do fosy orkiestrowej, żeby naradzić się z dyrygentem. W końcu wyszedł na widownię sprawdzić

oświetlenie, i kiedy wracał, Dashwood podążył za nim po stopniach na górę i przez drzwi obok sceny.

Za kulisami panował większy ruch niż na farmie w żniwa.

W wysokiej i wąskiej przestrzeni Dashwood zobaczył tłumy aktorów i pracowników obsługi sceny, dość liny, by postawić żagle na rejdowcu, i ekipę przeklinających stolarzy, którzy usiłowali zmontować połowę wagonu nowojorskiego metra. W górze, wśród urządzeń technicznych, wisiał naturalnej wielkości dwupłat - następny „sensacyjny efekt sceniczny”, jak domyślił się Dashwood. Obsługa zmagiała się z linami, żeby powstrzymać kołysanie samolotu, i Dashwood nagle zrozumiał, że iluzję w teatrze tworzy się ciężkimi przedmiotami.

Ukrył się w fałdach kurtyny i czekał, aż krzątania wokół inspicjenta ustanie.

– Lunch, panie i panowie - oznajmił w końcu Henry Young. - Wracamy do pracy za pół godziny.

Aktorzy, aktorki i pracownicy obsługi sceny rozeszli się i Dashwood został sam z Youngiem. Wszedł za nim na scenę i zamarł, zahipnotyzowany widownią. Miał wrażenie, że każde z tysiąca miejsc jest okiem i patrzy na niego.

Przesunął się daleko w bok i wpadł na stół z nożami i pałkami. Wyglądało to jak żniwo policyjnej obławy na gang uliczny. Ale kiedy wziął lśniący sztylet, okazało się, że jest zrobiony z pomalowanej na srebrno gumy.

– Niech pan to odłoży! - krzyknął nadbiegający inspicjent.

– Przepraszam...

Young wyrwał mu gumowy sztylet i z nabożeństwem położył go tam, gdzie był wcześniej.

– To stół rekwizytorski, młodzieńcze. Rekwizyty są ułożone w takiej kolejności, w jakiej będą je brali aktorzy. Nie wolno tu niczego dotykać. Kim pan jest? Co pan tutaj robi?

Dashwood wyprostował ramiona i stał się wyższy.

– Nazywam się James Dashwood i jestem detektywem z Agencji Van Dorn. Mogę zadać panu pytanie?

– Jakie?

– Przypomina pan sobie młodą aktorkę nazwiskiem Anna Waterbury, która była przesłuchiwana do jakiejś roli przed waszym wyjazdem z Nowego Jorku?

– Nie.

Dashwood pokazał mu zdjęcie Anny.

– Widział ją pan?

– Nie.

– Czy ktoś inny mógł ją przesłuchiwać do roli?

– Tylko ja to robię.

– Więc jest pan całkiem pewien, że nie widział pan tej aktorki?

– Tak. Wszystkie role kobiece i męskie zostały obsadzone na długo przed naszym wyjazdem z Nowego Jorku.

– W Nowym Jorku nie było żadnych przesłuchań?

– Żadnych. Pan wybaczy, młodzieńcze, ale za pięć i pół godziny mam premierę.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. - Dashwood wyciągnął rękę i kiedy ścisnął mocno dłoń inspicjenta, dodał: - Wie pan, wygląda pan znajomo.

Henry Young wyprężył się dumnie.

– Lata temu występowałem na deskach. Być może widział mnie pan w jakiejś sztuce.

Dashwood nie chciał go urazić, bo wtedy nie mógłby go pociągnąć za język, więc się nie przyznał, że rzadkie chwile wolnego czasu i swoje skromne środki przeznaczają na kino.

– Niestety, nie byłem w teatrze od czasów szkoły średniej.

– Miałem tournée po szkołach średnich... A teraz, młodzieńcze, jak wspominałem, dziś wieczorem odbędzie się bostońska premiera *Doktora*

Jekylla i pana Hyde'a, o ile w ciągu następnych pięciu godzin nie dojdzie do jakiejś katastrofy. Żegnam.

Dashwood zadeszował do Nowego Jorku:

Anny nie przeszłuchiowano do Jekylla

Potem zaczął grzebać w szufladach ze zbiorem listów gończych bostońskiego biura terenowego. Kiedy praktykował u Bella, nauczył się, jak wiele daje zapamiętywanie twarzy przestępców. Był pewien, że rozpoznał inspicjenta, i zastanawiał się, czy widział podobiznę Henry'ego Bookera Younga z ceną za jego głowę.

8.

Stara kobieta na spacerze z psem znalazła ciało Lillian Lent drugiego ranka po jej śmierci.

Nożownik, który ją zamordował, wmieszał się w obserwujący policyjnych detektywów, mundurowych gliniarzy i reporterów tłum i przysunął się blisko. Odkopnęli na bok jego pelerynę, którą tak troskliwie ją przykrył, i narzucili na nią poplamiony zupą obrus. To mówiło wszystko, co było do powiedzenia o tak zwanej ludzkiej przyzwoitości.

Odsunął się i poszedł w kierunku ławki, gdzie odebrał jej życie, zanim nagle musiał zawlec jej zwłoki głęboko w zarośla. Jakaś para na schadzce przeszkodziła mu w użyciu noża. Tego ranka nie mógł się oprzeć pokusie ponownego przeżycia atmosfery tamtej chwili.

Wiatr rozwiał liście pod ławką. Nożownik zobaczył nagle białą chusteczkę do nosa. Poklepał się po kieszeni, ale nawet z odległości dwudziestu kroków rozpoznał swoją własność po lśnieniu czystego jedwabiu. Białego jak śnieg, oprócz czerwieni jego wyhaftowanych inicjałów.

Przeszukał swój płaszcz, znalazł pół paczki papierosów, wytarł ją o podszewkę kieszeni, podszedł do ławki i przyklęknął, żeby podnieść chusteczkę.

– Co pan tam ma?

Spostrzegawczy gliniarz przyszedł za nim.

– Co pan trzyma?

– Zauważyłem coś, co mógł zgubić zabójca tej biednej dziewczyny - odrzekł Nożownik.

– Niech pan mi to da!

– Przypuszczam, że bostońscy policjanci czytali Marka Twaina.

– Co?

– *Pudd'nheada Wilsona*. Twain pisze tam o identyfikacji odcisków palców.

Wstał z paczką papierosów w swojej chusteczce i wyciągnął ją w stronę gliniarza.

– Niech pan tego nie dotyka! Niech pan mi da swój hełm. Wrzucę to do środka i wasi detektywi będą mogli wyjąć to w komisariacie, nie zamazując odcisków palców.

Gliniarz zdjął hełm i odwrócił go jak miskę. Nożownik wrzucił papierosy do środka.

– Dziękuję panu.

– Przynajmniej tyle może zrobić obywatel - odparł Nożownik. - Niech pan pamięta, żeby tego nie dotykać. Niech pan to zostawi ekspertom.

Schował chusteczkę do kieszeni i odszedł.

James Dashwood dostał telefon zamiejscowy od Bella.

– Czy Lillian Lent, tamta dziewczyna zabita w Common, miała poderżnięte gardło?

Dashwood się zastanawiał, skąd właściwie główny śledczy wie o morderstwie podrzędnej prostytutki trzysta dwadzieścia kilometrów od Nowego Jorku, ale nie zaskoczyło go to.

– Nie. Została tylko uduszona.

– Wiesz to na pewno, James?

– Widziałem ją w kostnicy na własne oczy, panie Bell. Została tylko uduszona.

– Nie okaleczona?

– Nie było krwi.

Dashwood słuchał syku drutów telefonicznych. Czekał w milczeniu, wiedząc, że główny śledczy nie będzie tracił czasu na pogawędkę, bo myśli.

– Jak się znalazłeś w kostnicy?

– Pomyślałem, że warto sprawdzić, czy coś łączy morderstwo Anny Waterbury w Nowym Jorku z tym tutaj. Rozmawiałem z koronerem. Potwierdził, że na ciele Lillian były tylko ślady duszenia.

Znów długa cisza.

– Obejrzałeś jej paznokcie? - spytał w końcu Bell.

– To jest dziwna sprawa. Nie podrapała go.

– Miała jakieś złamane paznokcie?

– Kilka, ale żaden nie wyglądał na świeżo złamany.

– Nie miała pod nimi skóry ani krwi?

– Nie.

– Mogła być w rękawiczkach?

– Nie stać by ją było na rękawiczki - odrzekł Dashwood. - Poza tym szybko umarła. Wygląda na to, że zabójca złamał jej kark.

– Jak? - zapytał Bell. - Ciosem?

– Nie. Koroner powiedział, że w czasie duszenia.

– Silny typ.

– Zapewne. Ale ona była drobna. Chuchro.

– Nie miała żadnych innych śladów na ciele? - dopytywał Bell.

– Żadnych ran.

– Dziękuję, James. To był strzał w ciemno. Przyślij mi pełny raport. Natychmiast.

Bell odwiesił słuchawkę, zerwał się z miejsca i zaczął spacerować po biurze. Mógł się przespacerować z Czterdziestej Drugiej ulicy do Battery i z powrotem, ale wszystkie tropy, jeśli można je było nazwać tropami, prowadziły donikąd. Z upływem czasu wydawało się coraz mniej prawdopodobne, że jego detektywi natrafią na świadka, który widział, jak Anna wchodziła z kimś do mieszkania, gdzie zginęła. Równie nieprawdopodobne było znalezienie kogoś - oprócz stręczyciela, którego już przesłuchał na Grand Central - kto widział ją gdzieś z jakimś mężczyzną podczas jej pobytu w Nowym Jorku.

Kazał telefoniście agencji połączyć go z biurem terenowym w Filadelfii.

– Helen, chcę, żebyś pojechała do Waterbury w Connecticut. Porozmawiaj z matką Anny. Dowiedz się, czy dziewczyna pisała pamiętnik. Jeśli tak, to przeczytaj go.

– Żeby sprawdzić, czy miała chłopaka, który mógł pojechać za nią do Nowego Jorku?

– Właśnie.

– Myślałam, że pan jest pewien, że nie miała.

– Nie jestem już niczego pewien, łącznie z tym, czy zabójstwo było sprawą osobistą. Wracamy do pytania, które zadajemy przy każdej zbrodni: kto miał motyw?

– Kto miał motyw? - zapytał Joseph Van Dorn.

– Jej chłopak, zawiedziony adorator albo jakiś wariat - odrzekł Bell.

– Innymi słowy - warknął Van Dorn - niczego się o nim nie dowiedziałeś.

Potęźnie zbudowany rudobrody założyciel Agencji Detektywistycznej Van Dorn był twardym Irlandczykiem w średnim wieku, który wyemigrował sam do Ameryki, kiedy miał czternaście lat. To, że teraz prosperował, Boss zawdzięczał tylko sobie. Za wrodzonym urokiem

osobistym i wesołością ukrywał ambicję i głęboką nienawiść do kryminalistów. Jego sposób bycia przyjaznego biznesmena zaskakiwał wielu przestępców, którzy nagle znajdowali się skuci twarzą w dół na podłodze, bo pozwolili zbliżyć się do siebie wielkiemu uśmiechniętemu dżentelmenowi.

Isaac Bell praktykował u Josepha Van Dorna. Boss pokazał synowi bankiera życie ludzi, o których mówił, że to „pozostałe dziewięćdziesiąt siedem procent ludzkości”, i wyszkolił uczelnianego mistrza boksterskiego w „sztuce męskiej obrony” stworzonej do wygrywania ulicznych walk pięściami, nożami i pistoletami. Powiedzenie, że Bell poszedłby za Van Dornem w ogień, nie oddałoby jego wdzięczności.

– W swoim raporcie piszesz, że jej ciało znaleźli tajniacy Mike’a Coligneya.

– Aktor, w którego mieszkaniu zamordowano tę dziewczynę, wezwał policję przez telefon swojej gospodyni.

– Tak jak powinien, bo to sprawa dla policji - powiedział ostro Van Dorn i jeszcze ostrzej zerknął na swojego głównego śledczego.

– Wezwał policję, bo nie mógł wiedzieć, że ojciec Anny Waterbury zatrudnił nas do odszukania jego córki - odparł Bell.

– Co przez to rozumiesz?

– Że klient w nas wierzył i ufał nam. Jesteśmy moralnie zobowiązani do znalezienia jej zabójcy.

Joseph Van Dorn pokręcił głową.

– Policja ma ludzi - mundurowych na patrolach, detektywów i swoich informatorów.

– A my mamy lepsze kwalifikacje do znalezienia winnego i oskarżenia go.

– To sprawa dla policji - powtórzył Van Dorn. - Zostaw to im. Znają tę okolicę.

– Wysłałem już Helen Mills do Waterbury, żeby za zgodą matki Anny przeczytała pamiętnik dziewczyny.

– Po co?

– Na wypadek - odrzekł Bell - gdyby zabójca nie mieszkał w tej okolicy.

9.

Kiedy chór kościelny w Springfield w Massachusetts ćwiczył do nabożeństwa wielkanocnego, wszyscy śpiewający nastawiali ucha, żeby usłyszeć sopran Mary Beth Winthrop:

– „Bramy podnieście swe szczyty,
Unieście się odwieczne podwoje...”

Tenory i basy odpowiadały:

– „Któż jest tym Królem Chwały?
Któż jest tym Królem Chwały?”

Mary Beth Winthrop wzniosła oczy ku rozie. Szybciej, pomodliła się. Z życiem.

Śpiew nabrał większego tempa, niż chórmistrz Fluecher dyrygował chłopcami, którzy powtarzali bez końca „Któż jest tym Królem Chwały?”

Szybciej, proszę.

Pan Fluecher usłyszał fałszywą nutę i przerwał próbę. Stukając knykciami w nuty, porównał ton głosu tenorów do zgrzytu wypadającego z szyn pociągu towarowego.

Pożar, pomyślała Mary Beth. Mały pożar w koszu na śmieci.

Dym wypędziłby ich z kościoła i w zamieszaniu nikt by nie zauważył, jak ona biegnie do teatru Shuberta. Zespół teatralny prosto z Bostonu i Nowego Jorku przez tydzień wystawiał w Springfield *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* i wyjeżdżał dziś do Albany. Ale przedtem Barrett i Buchanan musieli zastąpić kimś sopranistkę, która bez akompaniamentu śpiewała *Cudowną bożą łaskę* w scenie pogrzebu. Kawalek dwupłatu spadł na biedną dziewczynę i wspaniała okazja nadarzała się zaledwie pięć przecznic od kościoła Chrystusa.

Właśnie w tej chwili przesłuchiowano śpiewaczki do tej roli, a Mary Beth, która pięknie śpiewała - „wychodziłoby jej to nawet w fabryce lokomotyw”, jak twierdził pan Fluecher, kiedy stawiał ją za wzór innym - utknęła na próbie chóru. Mogła pokonać nie tylko każdą z nich; lecz również każdą dziewczynę w Springfield.

Może jej jasne włosy nie były tak długie i gęste, jak by chciała, ale to nie znaczyło, że są strąkowate. I wiedziała, że nie jest tak ładna jak dziewczyny, które gorzej śpiewają - nie z jej księżycowatą twarzą. Ale kiedy przyglądała się uważniej zdjęciom gwiazd na nutach i w czasopiśmie, miały twarze okrągłe jak talerze. Ten kształt przyciągał uwagę i określał ich głosy; uroda nie była ważna. Dostanie rolę. Jeśli nie będzie dalej tkwiła kościele.

Próba wreszcie się skończyła i Mary Beth pobiegła do teatru.

Widok ładowanych na wóz kawałków wagonu nowojorskiego metra powiedział jej, że się spóźniła. Wystawiający *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* zespół teatralny opuszczał miasto. Jego członkowie szli na stację kolejową, pracownicy obsługi sceny zabierali dekoracje, a dyrektor Shuberta dyrygował ludźmi na drabinach, którzy zmieniali wielki afisz:

JUTRO PO POŁUDNIU
ALIAS JIMMY VALENTINE
PROSTO Z NOWEGO JORKU I FILADELFI
„NAJLEPSZE OPOWIADANIE O. HENRY'EGO
PRZEBOJEM SCENICZNYM” - „VARIETY”

Mary Beth Winthrop odeszła, zrozpaczona, osunęła się na parkową ławkę i rozplakała. Nie zdążyła na przesłuchanie. Jakaś inna dziewczyna dostanie rolę.

– Wszystko w porządku, panienko?

Podniosła wzrok. Starszy mężczyzna o życzliwej twarzy pochylał się nad nią, oparty na lasce.

– Co się stało? - zapytał, i kiedy łzy popłynęły obficie z jej oczu, usiadł obok niej i zaoferował jej śnieżnobiałą chusteczkę do nosa z wyhaftowanymi czerwonymi inicjałami. - Proszę wytrzeć oczy.

Zrobiła to i pociągnęła nosem.

– Dziękuję panu.

– Możesz mi powiedzieć, panienko, co się stało? - spytał znowu i Mary Beth nagle zwierzyła się zupełnie obcemu ze wszystkich swoich nadziei i marzeń. Słuchał uważnie, kiwał głową i nie przerywał.

– Podasz mi swoje imię? - zapytał, kiedy skończyła.

– Mary Beth.

– Co za piękne imię. Pasuje do ciebie. Nie przejmuj się, Mary Beth. Dostaniesz drugą szansę.

– W Springfield? Nigdy. Taka okazja już się tutaj nie zdarzy. *Jekyll i Hyde* to była moja jedyna szansa na wyjazd stąd. Teraz będę musiała zostać w domu i wyjść za jakiegoś głupiego...

– Nie, nie, nie. Jeszcze dziś dostaniesz drugą szansę. Mówię poważnie.

– Jak to? Na rolę w *Jekyllu i Hyde*?

– Oczywiście.

– Ale oni już zabierają dekoracje. Wyjeżdżają.

– Załatwię to.

– Jest pan w ich zespole teatralnym?

Uśmiechnął się.

– Nie.

– Więc jak pan może to załatwić?

– Wiesz, kto to jest sponsor?

– Nie jestem pewna.

– W teatrze to jest ktoś, kto inwestuje pieniądze w spektakl - wyklada gotówkę. Więc nie, nie jestem członkiem zespołu, który wystawia *Jekylla i Hyde'a*. Ale oni uważają mnie za przyjaciela. Bardzo bliskiego. Teraz rozumiesz?

– Tak.

– Jesteś gotowa?

– Tak. Tak!

– To chodź ze mną.

Poprowadził ją do małego hotelu.

– Wejdziemy od tyłu. Inspicjent mieszka w oficynie, ale zależy mu na dyskrecji.

– Nie załadowuje pociągu?

– Zanim się tym zajmie, chce się pożegnać ze starą przyjaciółką, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale przed jego spotkaniem z nią, my - to znaczy ty - zaśpiewasz mu. Jesteś gotowa?

– Tak.

– Masz przy sobie nuty?

– Tutaj.

– Dobrze. To wchodzimy. Tylko musimy uważać, żeby nikt nas nie zobaczył. Bo on byłby bardzo niezadowolony, gdybyśmy niechcący go wydali. A chyba nie chciałabyś śpiewać komuś niezadowolonemu... A przy okazji, jeśli jesteś zaszokowana, to masz prawo być. Ale pamiętaj, proszę, że nie każdy w teatrze zachowuje się w ten sposób. Jest mnóstwo szczęśliwych w małżeństwie, wiernych aktorów - i nawet trochę marzących o scenie sponsorów.

Ściągnął rękawiczkę i pokazał jej obrączkę ślubną.

Mary Beth ścisnęła nuty i poszła za nim w głąb uliczki. Otworzył drzwi i wszedł pierwszy po wąskich tylnych schodach. Otworzył następne drzwi, zerknął na korytarz, położył palec na ustach i ruszył naprzód. Mary Beth trzymała się tuż za nim. Otworzył kluczem drzwi do pokoju, wśliznął się do środka i przywołał ją gestem. W małym pokoju ledwo mieściło się łóżko i kufer podróżny w miejscu, gdzie spodziewała się zobaczyć fotel.

Na kufrze leżała znajoma czerwono-biała tabliczka przywoławcza, którą wieszano się na drzwiach lub w oknie, żeby zasygnalizować woźnicy

Adams Express, że jest przesyłka do zabrania. Tabliczka częściowo zasłaniała adres na etykiecie wysyłkowej:

„...dale, Arizona, ranczo PPP, do rąk zarządcy terenu Petersa”.

Zamknął drzwi, cisnął laskę na łóżko i zrzucił pelerynę z ramion.

– Popatrz na mnie - powiedział.

Zdziwiona, podniosła wzrok i gwałtownie wstrzymała oddech. Nie zdawała sobie sprawy, jak zniewalające jest jego spojrzenie. Przeszywał ją niebieskimi oczami z siłą błyskawicy.

– Gdzie... - zaczęła.

Gdzie ten inspicjent? Znów zerknęła na etykietę wysyłkową. Rozpoznała nazwisko nadawcy, diakona z jej kościoła.

– Gdzie...

Strzelił palcami.

– Patrz na mnie!

Jego głos miał siłę jego spojrzenia i w tym przerażającym momencie uzmysłowiła sobie, że nie ma wyboru i musi go posłuchać. Kątem oka dostrzegła, jak jego ręce sięgają do jej twarzy.

Szybka i wysportowana młoda kobieta odruchowo zrobiła unik, odrzucając głowę do tyłu. Dopiero kiedy spróbowała krzyknąć i nie zdołała, uświadomiła sobie, że chodziło mu o to, żeby odsłoniła gardło.

* * *

Planowanie było w połowie sportem, w połowie przyjemnością z gry. Plan, oczekiwanie, nadzieja. I rozkoszowanie się tym, że nigdy nie złapią mistrza samodyscypliny i powściągliwości. Tym razem Nożownik ułożył tak staranny plan, jak przed zabójstwem Anny Waterbury w Nowym Jorku. Pozostało mu czekać. I mieć nadzieję, że pojawi się odpowiednia ofiara. I pojawiła się, błogosław ją Boże. W przeciwieństwie do Bostonu - gdzie wybrał Lillian w Common pod wpływem nagłego impulsu - w Springfield nikt mu nie przeszkodzi, żadni gżący się w ciemności

kochankowie, spacerowicze z psami ani gliniarze. Nie będzie niedokończonej roboty.

Pokój na końcu korytarza z tyłu budynku wynajął na tydzień i opłacił z góry. W hotelu po drugiej stronie uliczki mieszkali handlowcy, którzy wychodzili na cały dzień do pracy, spędzali pół nocy w saloonach i wracali tak zalani, że nie zauważyliby szlachtowania świni po sąsiedzku. Pokój miał łazienkę z głęboką porcelanową wanną, dłuższą niż wzrost dziewczyny.

10.

Woźnica wozu spedycyjnego przysięgał każdemu, kto chciał go słuchać, że jego konie umieją czytać, a przynajmniej rozpoznają kształt i kolory tabliczki przywoławczej Adamsa. Nigdy nie musiał ściągać lejców, żeby się zatrzymać, kiedy jego zaprzęg widział wiszący na klamce drzwi czerwono-biały prostokąt.

Ciężki kufer podróżny, który miał dotrzeć do Arizony, czekał na zabranie, przewóz został opłacony. Woźnica władował go z trudem do wozu i kontynuował objazd, dopóki nie zobaczył jednotonowej, elektrycznej, zasilanej z akumulatora Exide o dwudziestu ośmiu celach ciężarówki swojej firmy z napisem „Pojazd tylko do transportu przesyłek międzystanowych”.

Zatrzymał kierowcę i przeładowali kufer do Arizony.

– Ciężki.

Spojrzeli na adres zwrotny i roześmiali się.

– Bible.

Ciężarówka dostarczyła kufer na dworzec towarowy przy stacji kolejowej Union w Springfield, gdzie załadowano go do wagonu Adams Express w bostońskiej części pociągu pospiesznego Lake Shore Limited do Albany. W Albany skład rozdzielono i do Lake Shore doczepiono wagony osobowe do Chicago, a Adams Express dołączono do szybkiego

pociągu towarowego New York Central do St. Louis przez Buffalo, Cleveland i Indianapolis.

Szybki pociąg towarowy ciągnęły lokomotywy Mikado 2-8-2 specjalnie przystosowane do dużych prędkości na płaskiej linii kolejowej na poziomie wody. Co trzysta kilometrów miały być zastępowane parowozami ze świeżym zapasem wody i węgla. Ale pierwsza mikado nie dojechała za Herkimer w stanie Nowy Jork. Przy szybkości sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę została nagle skierowana w bok z głównej linii. Wypadła z szyn, zanim zaskoczony maszynista zdążył użyć hamulców pneumatycznych, i wraz z pięcioma wagonami towarowymi stoczyła się z nasypu do rzeki Mohawk.

Sekundy później na sąsiednim torze nadjechał pędzący sto trzydzieści kilometrów na godzinę osobowy ekspres 20th Century Limited kolei New York Central. Kiedy prawie zrównał się z pociągiem towarowym, wagon służbowy na końcu wykolejonego składu został wyrzucony z szyn na jego tor. Maszynista pędzącego ekspresu zobaczył przeszkodę w świetle swojego elektrycznego reflektora. Błyskawicznie uruchomił hamulce pneumatyczne, przerzucił stawidło na wsteczny bieg i pomodlił się.

* * *

Nieprzypadkowo w wagonie depozytowym 20th Century Limited jechał jeden z najlepszych detektywów Van Dorna, siwowłosa Eddie „Kansas City” Edwards. Isaac Bell kazał swoim czołowym specjalistom od ochrony kolei ścigać gang rabusiów pociągów i Edwards podróżował w tym celu na zachód za darmo. Vandornowcy byli mile widzianymi gośćmi w „ruchomych fortcach”, kiedy osobowe ekspresy przewoziły fortuny w złocie, klejnotach, obligacjach na okaziciela i banknotach. Nie mieli wygod - termos, worek pocztowy jako materac i brezentową torbę ze studolarówkami pod głowę - a sen przerywała konieczność wyciągania broni podczas postojów na stacjach, ale słynący ze skąpstwa Joseph Van Dorn nie lubił wydawać pieniędzy na bilety kolejowe. Chciał też, żeby

jego ludzie przebywali wśród strażników depozytów, którzy mieli najnowsze informacje o rabusiach kolejowych.

W momencie gdy hamulce i obracające się wstecz koła napędowe 20th Century Limited zatrzymały ze zgrzytem i łomotem pędzący ekspres, Edwards chwycił strzelbę do tłumienia zamieszek. Kierownik pociągu załomotał w zaryglowane drzwi.

– Towarowy się wykoleił.

Edwards wyskoczył na dwór z załogą ekspresu do pomocy, wciąż trzymając strzelbę, na wypadek gdyby to złodzieje spowodowali katastrofę. Przeczucie detektywa weterana potwierdził nagły ogień karabinowy i pistoletowy. Strażnik depozytu wrócił pędem chronić swój wagon. Eddie Edwards pobiegł w kierunku błysków z luf w ciemności.

Zorientował się, że trzech lub czterech rabusiów kolejowych ostrzeliwuje wykolejony pociąg i że pojedynczy strażnik ładunku odpowiada ogniem z przewróconego wagonu. Wycelował swoją strzelbę „pompkę” tam, gdzie jej pociski mogły najwięcej zdziałać i nacisnął spust. Rabusie kolejowi mieli przewagę liczebną, a ich karabiny większy zasięg. Detektyw Edwards miał szybkostrzelną broń i zimną krew.

* * *

Stały bilet kolejowy na wszystkie linie wystawiony przez samego Osgooda Hennessy'ego, prezesa Southern Pacific, był jedną z najcenniejszych rzeczy osobistych Isaaca Bella. Powitano go serdecznie w nocnym pociągu pocztowym New York Central & Hudson, który odjeżdżał z Grand Central i dowiózł go na miejsce katastrofy nad rzeką Mohawk o świcie.

Pociąg ratownictwa technicznego podnosił żurawiem z szyn wagon służbowy. Wagony towarowe leżały do połowy w wodzie. Skrzynie i kufry były rozrzucone na brzegu rzeki. Z setek metrów toru pozostała pogięta stal i rozłupane podkłady. Wszędzie walały się ubrania, papiery i roztrzaskane beczki, z których wystawała wełna drzewna. Kłębki cienkich

topolowych wiórów do pakowania ich zawartości toczyły się z wiatrem jak miniaturowe biegacze stepowe.

Eddie Edwards przywitał go wiadomością:

– Zablokowali krzyżownicę żelaznymi klinami i towarowy skręcił na bocznice. A że jechał sześćdziesiąt pięć na godzinę, to wyskoczył z szyn. Ale to dopiero jedna z ich fuszerek.

– Co jeszcze sfuszerowali?

– Wykoleili nie ten pociąg. Myśleli, że to Twentieth Century, który jechał następny. Pędził sto trzydzieści i gdyby wypadł z szyn, to przeleciałby przez rzekę i połowę drogi do Kanady.

– To nie ma sensu - odparł Bell. - Banda, którą tropimy, nigdy nie popełniła takiego błędu.

– To nie tamci - zaprzeczył Edwards. - To jacyś amatorzy, którzy wpadli na ten pomysł po pijanemu.

– Zastanawiałem się, dlaczego działają tak daleko na wschodzie.

– Mam trzech z nich, są przykuci do drzewa. Nazwanie ich przestępcami byłoby obrażą dla wyjętych spod prawa. Przykro mi, że przejechałeś taki kawał drogi.

– Mogę się rozejrzeć, skoro już tu jestem - odrzekł Bell.

Edwards pokazał mu krzyżownicę zablokowaną w pozycji otwartej metalowymi klinami. Przecięli zniszczoną bocznice i zeszli z nasypu. Ekipę ratowniczą czekało mnóstwo roboty z ułożeniem nowej bocznicy, żeby mogli ustawić na niej żuraw i podnieść pięć wagonów towarowych z rzeki. Wszędzie walał się papier. Pusty kufer podróżny unosił się na spokojnej wodzie i obracał powoli. Nagle dostał się w wir, podryfował z prądem i zaczął tonąć. Beczki podzieliły jego los.

– Co to jest tamto białe?

– Wygląda na manekin. Do witryny sklepowej.

– Jest następny.

Pół tuzina woskowych figur do prezentacji ubrań wyłoniło się z częściowo zanurzonego w wodzie wagonu.

– Jakby szły popływać - powiedział Edwards.

Bell przyglądał się uważnie jednemu przy brzegu rzeki i nagle pomaszerował ku niemu. Edwards poszedł szybko za nim.

– Co zobaczyłeś? Kolejny?

– To nie manekin.

Na rękach i nogach drobnej blondynki z poderżniętym gardłem i potwornie okaleczonym tułowiem Bell naliczył dziesięć półkolistych nacięć.

– Co to za nacięcia? - zapytał Edwards. - Wyglądają jak półksiężyce.

– Zrobił to samo, co Annie Waterbury - odrzekł Bell. - Są identyczne.

Zdziwiony pokazał Edwardsowi swój notes i narysował je pod poprzednimi.



– Ten sam zabójca?

– Ten sam potwór.

Bell przykrył jej zwłoki swoim płaszczem.

– Jak ona tu trafiła, do cholery? - spytał Edwards.

– Z którego wagonu wypadła?

Detektywi spisali widoczne numery wagonów.

– Oddział wschodni - oznajmił Edwards. - Biuro jest w Syracuse.

Dwie godziny później vandornowcy przeglądali rozkłady jazdy i listy przewozowe z głównym dyspozytorem w oddziale wschodnim New York Central. Przez jego rejon biegły linie kolejowe z Nowego Jorku i Bostonu, które łączyły się w Albany, gdzie skompletowano szybki pociąg towarowy.

– Kolej New York Central & Hudson - powiedział dyspozytor - wykonuje połowę przewozów w kraju. Z tej połowy, trzy czwarte na trasach, którymi ta biedna dziewczyna mogła dotrzeć do Albany.

Wskazał mapę na całą ścianę i przeprasząc wzruszył ramionami. Legenda na górze zawierała nazwy trzydziestu sześciu miast, dokąd kursowały pociągi.

– Na pewno nie była w jakimś bagażu?

– Nie wiemy - odrzekł Bell. - Jej ciało wypadło na brzeg rzeki. W czymkolwiek była, to się roztrzaskało, otworzyło i gdzieś podryfowało.

– Ale bez adresu nie ustalimy, gdzie zaczęła podróż.

– Wykluczemy wszystkie miejsca, skąd nie przyjechało tamtych pięć wagonów.

– Przyjechały z Albany. Tam je załadowano. Ich zawartość mogła pochodzić z jakiegokolwiek miejsca, które obsługuje nasza kolej, od Nowego Jorku na południu po Boston na wschodzie, i z jakiegokolwiek firmy spedycyjnej. Bardzo mi przykro, panie Bell, ale bez adresu nie mogę panom pomóc.

– Niech pan się dowie, czy któryś z tych wagonów załadowała i zabezpieczyła jakaś firma spedycyjna.

– Spróbuję.

Bell zadepeszował szyfrem vandornowców do Grady'ego Forrera, szefa działu badań:

Wszystkie drobne blondynki zaginione w tym tygodniu

Nowa Anglia

Nowy Jork

Bell dowiedział się od Eddiego Edwardsa, którego zostawił u dyspozytora New York Central w Syracuse, że jeden z wykolejonych i rozbitych wagonów w rzece Mohawk należał do firmy spedycyjnej Adams Express Company. Wyruszył z Bostonu, doczepiony do bostońskiej części 20th Century Limited, i zatrzymał się w Worcester, Springfield, Pittsfield i Chatham w drodze przez Massachusetts.

Dział badań agencji Van Dorn natrafił w jakiejś gazecie na artykuł o dziewczynie ze Springfield, które nie wróciła do domu po próbie chóru. Nazywała się Mary Beth Winthrop.

W porannej poczcie przyszło jej zdjęcie.

Tak jak w przypadku Anny Waterbury, napastnik nie okaleczył jej twarzy i Bell natychmiast ją rozpoznał. Pojechał do Springfield. W biurze Adams Express na dworcu towarowym pokazał listy uwierzytelniające śledczego renomowanej firmy ubezpieczeniowej Dagget, Staples & Hitchcock z Hartford w Connecticut, która zapewniała przykrywkę czołowym vandornowcom w zamian za dyskretne usługi detektywistyczne. Bell poprosił o spis wszystkich rzeczy w wagonie towarowym, który wpadł do rzeki Mohawk.

Jak na ironię, manekiny sklepowe, które on i Eddie Edwards widzieli w rzece, wysłała fabryka w Springfield. W skrzyni do manekinów zmieściłoby się ciało, ale telefon do fabryki wykluczył taką możliwość.

– Pakujemy je ciasno, żeby się nie obijały o siebie - powiedział dyrektor.

Jedyną inną wystarczająco dużą do ukrycia zwłok rzeczą w wagonie był wieziony do Scottsdale w Arizonie kufer podróżny. Urzędnik firmy spedycyjnej wyglądał na zdziwionego.

– Co jest? - zapytał Bell.

– Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, bo transport został opłacony. Ale nadawcą był stary diakon Price.

– Chciałbym się z nim zobaczyć.

– To będzie pan musiał poczekać. Pochowali go w zeszłym tygodniu.

* * *

Bell wrócił szybko do Nowego Jorku i zebrał detektywów, których wyznaczył do poszukiwań zabójcy Anny Waterbury. Zwyczajem vandornowców nazwali się oddziałem Anna.

– Morderca nie tylko podszył się pod niewinnego człowieka, żeby wysłać kufer - powiedział - lecz na nazwisko diakona wynajął też pokój, gdzie ją zwabił. Zatarł ślady tak, jak zamierzał. Ale mimo jego wysiłków, żeby zwłoki odkryto daleko do niego i nieprędko, znaleźliśmy tę biedną dziewczynę tygodnie, a może miesiące wcześniej, niż zakładał.

– Co nam to da, panie Bell?

Bell nie odpowiedział wprost.

– Podobnie Annę Waterbury znaleziono przypadkiem prędzej, niż się spodziewał - ciągnął - kiedy lokator mieszkania, gdzie ją zabił, nieoczekiwanie wrócił wcześniej do Nowego Jorku.

– Jeśli to prawda, że te zabójstwa w Nowym Jorku i Springfield są powiązane ze sobą - odezwał się detektyw Harry Warren, szef brygady antygangowej - jeśli dokonał ich ten sam człowiek, to miał pecha dwa razy: przez wylanego aktora i katastrofę kolejową. Jakie są szanse na taki zbieg okoliczności?

– Wskazałeś przyczynę, Harry - odrzekł Bell. - Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, ile razy miał szczęście.

– Szczęście?

Warren i kilku innych wyglądali na zdziwionych. Grady Forrer, szef działu badań, przytaknął beznamiętnie. Ale Helen Mills, przeniesiona przez Bella do Nowego Jorku po tym, jak udało jej się przeczytać pamiętnik Anny Waterbury, co położyło kres rozmowom o chłopaku dziewczyny, podniosła rękę. Ściągnięty z Bostonu młody James Dashwood zrobił to samo.

– To straszna myśl, panie Bell - zauważyła Mills.

– Owszem - przyznał Bell. - O ilu jego ofiarach nie wiemy?

– Sugeruje pan ewentualność wielu morderstw, panie Bell - stwierdził Dashwood.

Milczenie zapadło w pokoju.

– Nie sugeruję - zaprzeczył Bell - tylko pytam ile? Pytam wszystkich członków naszego oddziału Anna, ile jeszcze będzie zabójstw, zanim go złapiemy?

* * *

Bell wrócił do domu do miejskiej rezydencji Archiego i Lillian Abbottów na Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej po północy. Postawiony zaledwie cztery lata temu jako prezent ślubny od ojca Lillian, magnata kolejowego Osgooda Hennessy'ego, budynek o wapiennych ścianach mieścił apartament dla matki Archiego. Mieszkała tam, dopóki nie przeniosła się do młodszej siostry Archiego, która urodziła bliźniaki. Teraz zajmowali go Isaac i Marion Morgan Bell, ilekroć byli w Nowym Jorku.

Marion właśnie przyszła po długim dniu pracy w studiu filmowym Biograph, gdzie reżyserowała krótkometrażową komedię. Jasne włosy miała wciąż upięte wysoko, żeby jej nie przeszkadzały, kiedy patrzyła w kamerę. Z odsłoniętą zgrabną szyją wyglądała teraz jak piękna królowa w złotej koronie.

Każde z nich stwierdziło, że umiera z głodu i spotkali się w kuchni. Bell zmiksował koktajle Manhattan, pokroił chleb i opiekł go nad gazem, Marion zmieszała cheddar z piwem ale, sosem Worcestershire, musztardą i jajkiem, żeby zrobić grzankę z serem.

Skończyła prawo na Uniwersytecie Stanforda i pracowała w biznesie, zanim zaczęła kręcić filmy. Bell często polegał na jej przenikliwości i omawiał z nią trudne sprawy, bo miała niezwykły zmysł obserwacji i podchodziła do problemów z niespodziewanych stron.

– A tamta dziewczyna w Bostonie? - zapytała, kiedy jej opowiedział o makabrycznym odkryciu nad rzeką Mohawk.

– Lillian. prostytutka.

– Jesteś pewien, że nie zabił jej ten twój morderca?

– Dashwood widział ją w kostnicy. Nie była pocięta.

– Nie miała tamtych dziwnych półksiężyców?

– Ani jednego.

– Została tylko uduszona? Miała złamany kark?

– Tak.

– Dobrze pamiętam, że Anna też miała złamany kark?

– Tak.

– Mam rację, że jednej i drugiej złamano kark „przypadkowo”?

– Można tak powiedzieć. Obie były drobne, a on musi być bardzo silny. Sińce na ich szyjach wskazują, że zamierzał je udusić. Są lepsze sposoby na złamanie karku, jeśli chce się to zrobić.

Marion rozważyła to w milczeniu i zaczęli rozmawiać o innych sprawach, między innymi o tym, że Helen Mills nie znalazła w pamiętniku Anny niczego o jakimkolwiek chłopaku, że Anna, Mary Beth i Lillian miały podobną budowę ciała i kolor włosów, i o tajemniczych półksiężycach na zwłokach Anny i Mary Beth.

Później, kiedy jego żona przebrała się w jedwabny peniuar w kolorze jej zielonych oczu i Bell z rosnącym zainteresowaniem obserwował, jak rozpuszcza włosy, Marion nagle powiedziała:

– Ale...

– Co?

– Może zabójcy ktoś przeszkodził zaraz po tym, jak udusił Lillian? Może ktoś nadszedł, zanim on zdążył... użyć noża?

– To mielibyśmy trzy morderstwa pod rząd - odrzekł ponuro Bell. - I nie wiadomo, ile jeszcze.

– Ile jego ofiar było wcześniej, tak?

– Właśnie.

– I co zrobisz?

– Muszę jakoś nakłonić pana Van Dorna do zmobilizowania naszych sił.

– A co go może przekonać?

– Więcej dowodów.

11.

Bell zapukał niedbale do drzwi Josepha Van Dorna i wszedł. Boss podniósł wzrok znad biurka, zobaczył minę swojego głównego śledczego i powiedział do telefonu lichtarzowego:

– Zadzwoń do ciebie później.

Odwiesił słuchawkę i zapytał gniewnie:

– O co chodzi, Isaac?

– Chcę ogłosić alert dla wszystkich biur terenowych.

Van Dorn pokręcił głową.

– Taki alert jest tym samym co „Wszyscy na pokład” w czasie sztormu. Ale rozkaz, żeby wszyscy w agencji rzucili wszystko i wykonywali rozkazy samej góry, jest destruktywny - nawet przy wykluczeniu tych, co są zaangażowani w wymianę ognia. Dlatego rzadko go wydajemy i tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– Mamy dowody trzech podobnych zabójstw młodych dziewczyn w trzech różnych miastach - odparł Bell. - Nie będę czekał na czwarte.

– Dwóch przypuszczalnie podobnych zabójstw - poprawił go Van Dorn. - I jednego ewentualnie powiązanego z nimi w Bostonie. Powiedziałem to w zeszłym tygodniu i powiem to jeszcze raz, Isaac: to jest sprawa dla policji. Niech ona się tym zajmuje.

– To przerasta gliniarzy.

– Dlaczego?

– Trzy morderstwa w trzech miastach - powtórzył Bell. - Lokalni gliniarze rzadko gadają z lokalnymi gliniarzami z sąsiedniego posterunku, a tym bardziej z sąsiedniego miasta. I nigdy nie przekraczają granic stanów.

– Do czego zmierzasz?

– Jak nam załatwiasz kontrakty z rządem federalnym? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bell.

– Spędzam idiotyczne ilości czasu na podlizywaniu się oficjelom w Waszyngtonie, podczas gdy reszta z was dobrze się bawi w rolach prywatnych detektywów.

– Tamci oficjele kupują od ciebie coś bezcennego i unikatowego.

– Co takiego, jeśli wolno spytać?

– Rozległą wiedzę, którą mamy dzięki naszym biurom terenowym w całym kraju. Gliniarze jej nie mają. A bez niej nie widzą wzorców. Nie potrafią powiązać podobnych przestępstw. Nie mogą połączyć w całość kawałków układanki, bo ich nie mają.

– Departament Sprawiedliwości...

– Nie - przerwał Bell. - W tej chwili tylko dwie siły są w stanie poskładać kawałki razem - ogólnokrajowe gazety i prywatne agencje detektywistyczne o zasięgu kontynentalnym jak nasza.

– Gazety? - Van Dorn wycelował mięsisty palec w stertę wycinków, które dział badań przysłał mu na polecenie Bella. - Widziałeś te bzdury?

Chwycił jeden i przeczytał głośno drwiącym tonem:

– „Zabójstwa broadwayowskiej aktorki teatralnej Anny Waterbury i chórzystki kościelnej Mary Beth Winthrop ze Springfield, której okaleczone ciało znaleziono w rzece Mohawk po katastrofie kolejowej, wyglądają na brutalne zbrodnie szaleńca, tak metodycznego i przebiegłego jak Kuba Rozpruwacz”.

Van Dorn zmiął wycinek i wziął następny.

– „Sprawa znów przypomina zbrodnie Kuby Rozpruwacza - morderca szaleniec ma manię okaleczania ciał, jak znany Potwór z Whitechapel”.

Rzucił go i przeczytał trzeci:

– „Detektywi szukają wroga kobiet w rodzaju Kuby Rozpruwacza”. Walący w tam-tamy mieszkańcy dżungli mają więcej oleju w głowach niż dziennikarze.

– Właśnie dlatego chciałem, żebyś to przeczytał - wyjaśnił Isaac. - Dziennikarze często są na miejscu zbrodni. Ale piszą niewiele więcej, niż mówią im gliniarze. A ci nie wiedzą, co się dzieje obok. Tylko my

możemy zebrać dowody przeciwko mordercy, który poluje na samotne młode dziewczyny. Bezbronne sieroty.

– Anna Pape i Mary Beth Winthrop nie były sierotami. Lillian Lent, tamta w Bostonie, pewnie też nie.

– Każda pełna nadziei młoda kobieta, która opuszcza swoją rodzinę, żeby spróbować być aktorką, i każda córka biednych farmerów, która zostaje prostytutką, jak Lillian Lent, jest w efekcie sierotą. Nikt jej nie chroni.

Joseph Van Dorn milczał.

– I nikt nie wie tego lepiej niż ty.

Boss zrobił niebezpiecznie groźną minę.

Główny śledczy i jego stary mentor znali się nawzajem tak dobrze, jak wszyscy towarzysze broni. Van Dorn wiedział, że Bell jeszcze nie skończył i zaraz zagra zakrytą kartą.

– Sieroty - powtórzył Bell. - Bez ojca, bez męża, bez starszego brata jako opiekuna. Bez kapitana Novickiego - dodał z nagłym skrzywieniem warg.

Joseph Van Dorn pokręcił głową, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, który złagodził jego surowe spojrzenie.

– Cios poniżej pasa, Isaac.

Kiedy kapitan David Novicki był młodszym oficerem na zatłoczonym imigrantami starym parowcu, wziął pod opiekę sierotę nazwiskiem Joseph Van Dorn. Gdy statek wreszcie dotarł do Bostonu, Novicki znalazł Van Dornowi rodzinę zastępczą poza slumsami. Odwiedzał go, kiedy wracał z rejsów, posłał do szkoły i chronił przed kłopotami. Prawie czterdzieści lat później nadal blisko się przyjaźnili. Joseph Van Dorn zawdzięczał swój wielki sukces w branży detektywistycznej Davidowi Novickiemu, a Isaac Bell Van Dornowi.

– Zadam jeszcze jeden cios poniżej pasa - ostrzegł Bell. - Obaj doskonale wiemy, że one nie są płacącymi klientkami.

– Nigdy nie myślałem, że będą.

Bell odwzajemnił uśmiech. Potem rysy jego przystojnej twarzy stwardniały i wzrok stał się zimny.

– Tylko my możemy go powstrzymać, Joe - powiedział zdecydowanie - bo działamy w całym kraju i nigdy się nie poddajemy.

– Okej! Ogłoś ten alert.

* * *

Bell wysłał alert do wszystkich biur terenowych prywatnym telegrafem. Kazał detektywom na całym kontynencie szukać w ich miastach i okolicznych rejonach podobnych niewyjaśnionych zabójstw w ostatnich latach. Poinstruował ich, podobnie jak dział badań, żeby zwracali szczególną uwagę na zaginięcia drobnych blondynek. I zalecił świeże spojrzenie na odkryte w przeszłości szkielety i części ciała.

Potem wykonał telefony do biur w zasięgu linii międzymiastowych. Tego roku wydłużono je na zachód aż do Denver.

Biura, do których nie mógł zadzwonić, dostały długie listy dalekopisem Morkrum.

Poszedł do labiryntu tylnych pokoi Grady'ego Forrera i przydzielił działowi badań zadanie wyszukiwania artykułów prasowych o niewyjaśnionych morderstwach.

– Mam pytanie: kiedy to się zaczęło?

– Co masz na myśli, Isaac? - zapytał Forrer.

– Czy Anna Waterbury była jego pierwszą ofiarą?

– Dobre pytanie. - Grady Forrer popatrzył wokół na armię swoich potarganych badaczy z zaczerwienionymi oczami. - Słyszeliście pana Bella. Macie jakieś pytania do niego?

– Ja mam, panie Bell - powiedział badacz w średnim wieku o wyglądzie naukowca. - Ofiara nazywała się Anna Genevieve Pape. Dlaczego zawsze mówi pan o niej Anna Waterbury, zamiast Anna Pape?

– Bo chciała być Anną Waterbury - odrzekł Bell.

12.

W Los Angeles nie ma pochowanego ciała, którego nie mógłby odkopać Tim Holian.

Taki komplement często słyszał Timothy J. Holian, potężny szef kalifornijskiego biura terenowego Van Dorna w Los Angeles. Kuśtykał teraz po miejskich urzędach, pocąc się obficie w gorący i suchy wiosenny dzień. Był w znoszonej panamie, którą większość prywatnych detektywów dawno oddałaby ogrodnikowi, zatłuszczonym krawacie i źle uszytym, workowatym, obciążonym pistoletami garniturze. Utykał po tym, jak dostał cztery kule od ludzi niemieckiego szpiega Christiana Semmlera, gdy rok wcześniej doszło do wymiany ognia podczas sprawy Złodzieja. Dwóch położył trupem, ale strzelanina niemal unicestwiła biuro terenowe w Los Angeles.

Komplement dotyczył metaforycznych ciał - kulisów skandali. Wszyscy urzędnicy w miejskiej kostnicy, szpitalach i komisariatach wyświadczali vandornowcowi przysługi za gotówkę lub cenne informacje do wykorzystania przeciw wrogom. Kiedy Tim Holian potrzebował ciał z krwi i kości, to je dostawał.

Wkrótce wrócił do biura ze spisami zaginionych młodych kobiet, zamordowanych drobnych blondynek, niezidentyfikowanych zwłok i okaleczeń. Zestawił je z listami, które jego detektywi zrobili podczas rozmów z gliniarzami z wydziału zabójstw i dziennikarzami kryminalnymi. Nawet po oddzieleniu nieprawdopodobieństw od prawdopodobieństw nadal mieli mrozącą krew w żyłach liczbę uduszonych ofiar - sześć w ciągu ostatnich trzech lat: cztery obiecujące aktorki, prostytutkę i wracającą samotnie do domu bibliotekarkę.

Tim Holian przetelegrafował wyniki do Nowego Jorku do rąk głównego śledczego Isaaca Bella. Potem ułożył list do Bella. Jeszcze go pisał, gdy telegraf wystukał prośbę od samego Bella:

Wyjaśnienie

Holian wysłał telegraficznie skróconą wersję swojego listu z przypuszczeniem, że niezwykła liczba ewentualnych ofiar może świadczyć o tym, jakim magnesem jest film, szybko rozwijająca się branża, która przyciąga do Los Angeles mnóstwo młodych osób.

Bell zadał pytanie:

Dlaczego nic przed 1908 rokiem?

Holian oddepeszował, że dopiero w 1908 roku zaczął się napływ filmowców ze Wschodniego Wybrzeża. Potem dodał:

Może zabójca to filmowiec

Bell nie odpowiedział.

* * *

Charlie Post, szef jednoosobowego biura terenowego w Denver, spojrzawszy świeżym okiem na przerażające morderstwo z zeszłego roku. Pozbawione wnętrzości ciało żony lekarza znaleziono w piecu do wytopu złota. Pochodziła ze znaczącej w Kolorado rodziny i jej męża szybko osądzono, skazano i powieszono za tę zbrodnię. Całe zdarzenie byłoby komedią omyłek, gdyby nie było tragiczne.

Ktokolwiek ją zabił - a alert Bella dla wszystkich biur terenowych wzbudził nowe wątpliwości w sprawie, która nigdy się nie podobała Postowi - wrzucił jej zwłoki do pojemnika z ładunkiem do wytopu. W normalnych okolicznościach nic by z nich nie zostało. Ale w Denver robotnicy nienawidzili przemysłowców i sabotażyści wygasili piec, żeby go zniszczyć. Roztopiona ruda ostygła i kiedy zabójca wrzucił do niej ciało, odbiło się od stwardniałej masy rudy i żużla i zostało znalezione następnego ranka przez łamistrajków.

– Najwyraźniej - powiedział do ławy przysięgłych oskarżyciel - ten lekarz nie znał się na wytopie złota tak, jak na chirurgii. Pokroił biedną kobietę tak, jak go nauczono w akademii medycznej na wschodzie i potknął się na nieznanym najwazniejszego przemysłu Kolorado.

Przekonany jak nigdy wcześniej, że sprawa cuchnie, i zachęcony przez alert Bella, Post dobrał się do swojego funduszu awaryjnego, żeby za łapówkę nakłonić asystenta koronera do pokazania mu fotografii zwłok.

– Sukinkot.

Na ramionach i nogach miała płytkie półokrągłe nacięcia, których kazał mu szukać Bell. Zadepeszował do Nowego Jorku. Potem znalazł saloon. Kobietę zamordował ten, kogo tropił Bell. Lekarz był niewinny. I kiedy Charlie Post wznosił toast za dobro i zło - tak głośno, że zwrócił uwagę kierownika sali - miał nadzieję, że mąż i żona połączą się z powrotem w niebie.

* * *

– Telegram od Walta „Teksasa” Hatfielda na linii Western Union, panie Bell.

– Walt „Teksas” Hatfield jest teraz gwiazdorem filmowym. Nie pracuje już dla nas.

– Skoro pan tak mówi, panie Bell... Ale nadal zna nasz szyfr.

Bell przejrzał napisane maszynowo linie tekstu i rozszyfrował go w pamięci. Walt Teksas - który udawał kaskadera podczas sprawy Złodzieja, gdy filmowcy zatrudnili go do roli kowboja - nie ograniczył depeszy do kilku słów, żeby oszczędzić pieniądze. Niegdyś małomówny Teksaszczyk przestał być lakoniczny, kiedy przyzwyczaił się do lansowania swoich filmów w „Photoplay” i „Motion Picture Story Magazine”. Czytając jego telegram, Bell słyszał teksańskie zaciąganie swojego starego przyjaciela, które się nasiliło, odkąd został gwiazdorem westernów.

Cześć, Isaac, stary kumplu.

Jechałem wczoraj pociągiem do Albuquerque w Nowym Meksyku. Usłyszałem o pewnej biednej dziewczynie do towarzystwa, paskudnie pociętej w październiku. Potem dowiedziałem się o twoim alercie dla wszystkich biur terenowych i pomyślałem, że ona może cię zainteresować. Okazało się, że pewnie tak. Została nie tylko zarżnięta, ale też ozdobiona tymi małymi półksiężycami, o które pytałeś. Mam nadzieję, że to pomoże.

Szczęśliwej podróży.

Twój bliski przyjaciel, Walt „Teksas” Hatfield, były parobek ranczera, były strażnik Teksasu, były detektyw Van Dorna.

PS. O ile wiem, ona była jedyna w Albuquerque. Zbadałem inne zabójstwa w mieście. Do wszystkich doszło prawdopodobnie na skutek nieporozumień między porywczymi znajomymi.

Horace Bronson, szef biura terenowego w San Francisco, który właśnie wrócił do kraju po okresie kierowania placówką Van Dorna w Paryżu, zastał dalekopis od swojego starego przyjaciela Isaaca Bella. Wymagał trzytorowego śledztwa. Bronson wysłał swoich praktykantów do teatrów w San Francisco, a doświadczonych detektywów do burdeli na Barbary Coast.

Sam upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu, odwiedzając znajomych w policji, żeby oznajmić, że jest z powrotem w mieście i wypytać o zaginione młode kobiety i niewyjaśnione uduszenia.

Wysłał do Bella telegram ze wstępnymi ustaleniami jego biura, a potem napisał list.

Jestem cokolwiek zdumiony, że jest tyle ofiar i od tak dawna. Tych wszystkich dziewczyn najwyraźniej nie zabił ten sam człowiek. Ale wiele z nich mógł i trwa to od co najmniej dziesięciu lat. Straszne, mój przyjacielu, jest to, że jedno lub dwa morderstwa rocznie tworzą nieprzerwany ciąg zbrodni.

Bell przesłał detektywom z oddziału Anna raporty z Los Angeles, Denver, Albuquerque i San Francisco z krótką informacją, że oddział Anna nazywa się teraz oddziałem Nożownik.

13.

Z biur terenowych napływały meldunki i Bell zaczął dostrzegać pewien wzorzec.

Niektóre ciała leżały pod zakrwawionymi pelerynami - podobnymi, ale nie identycznymi, choć standardowymi, z fabryki, do kupienia w zwykłym domu towarowym. Morderca mógł je łatwo zastępować nowymi, będąc nie do wytopienia.

Jasnowłose młode ofiary, jak Anna Waterbury, Lillian Lent i Mary Beth Winthrop, okazywały się przeważnie aktorkami teatralnymi, wodewilowymi i cyrkowymi, ale niektóre były prostytutkami. Te biedne dziewczyny łączyło to, co powiedział Van Dornowi: były zdane na siebie, nie miały rodzin ani mężów do ochrony.

Wielu okaleczonym kobietom złamano kark.

Koronerzy i gliniarze przypominali sobie dziwne znaki na ciałach dziewczyn.

– Byłem u koronera hrabstwa Herkimer - powiedział Josephowi Van Dornowi Bell. - Ledwo zauważył te nacięcia. Kiedy o nich wspomniałem, zapisał je jako „powierzchowne rany klute”. Nie przyszło mu do głowy, że ona już nie żyła, kiedy zabójca użył noża.

– Co one twoim zdaniem oznaczają? - spytał Van Dorn.

- Wyteżam umysł, ale nie mam pojęcia.
- Myślę, że są jego wizytówką.
- Rodzajem wiadomości - zgodził się Bell.
- Od wariata.
- Ale przez to nie mniej niebezpiecznego i zbyt przebiegłego, żeby dać się złapać.

* * *

Pojawił się następny wzorzec, jak dotąd najbardziej niepokojący. Niektóre ciała zostały ukryte w starych piwnicach, opuszczonych budynkach i gęstych lasach.

- A ilu nigdy nie znaleziono? - zapytał retorycznie Bell.
- Najwyraźniej szukasz potwora, Isaac - stwierdził Van Dorn.
- Który podróżuje. Zostawił zwłoki w Kansas City, San Francisco, St. Louis, Chicago... Lista stale się wydłuża.
- Podróżujący człowiek... - Van Dorn się zastanowił. - Handlowiec? Kolejarz? Od kiedy to trwa?
- Chicagowskie biuro terenowe właśnie znalazło jedną z jego peleryn w porzuconej na jeziorze łodzi - odrzekł ponuro Bell. - W środku leżał ludzki szkielet.

* * *

„Od kiedy” stało się prawie nie do uwierzenia, gdy Grady Forrer przyniósł Bellowi wycinek z „Brooklyn Eagle” z dwudziestego czwartego lipca 1891 roku. Gazeta swoim zwyczajem zrobiła porównanie z Kubą Rozpruwaczem, choć autora usprawiedliwiało to, że zabójstwo zdarzyło się dawno, niedługo po fali zbrodni w Londynie.

- Jeśli to też on, to zabija dziewczyny od dwudziestu lat.

* * *

– Jak myślisz, co nim kieruje? - zapytała późną nocą Marion.

Bell wrócił o drugiej śmiertelnie zmęczony i siedział z nią w milczeniu.

– Nie widzimy żadnego motywu. On nie zabija ani dla zysku, ani z zemsty, ani z miłości. Robi po prostu to, do czego ma skłonności.

– Jak dzikie zwierzę.

– Uważam go za potwora. Problem w tym, że to mnie ani trochę nie przybliży do powstrzymania go.

– Byłoby tak samo, gdybyś uważał go za wcielenie zła, prawda? - spytała Marion.

Bell przytaknął.

– Nie wystarczy uważać go za wcielenie zła. To wręcz nie pomaga.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego gazety stale porównują go do Kubie Rozpruwacza - powiedziała Marion. - On jest jak wytłumaczenie niewytłumaczalnego.

– Mimo że nic nie wiemy o Kubie Rozpruwaczu.

– A co wiemy o nim? - zapytała Marion.

* * *

Bell zauważył, że im starsze gazety wygrzebuje dział badań, tym świeższa jest pamięć o Kubie Rozpruwaczu, tym więcej porównań do niego. Poprosił Grady'ego Forrera o informacje o prawdziwym Kubie Rozpruwaczu. Forrer spodziewał się tego. Na Bella czekał gruby pakiet pożółkłych wycinków z „Sun”, „World”, „Heralda” i „Timesa”. Na wierzchu leżała strona z nagłówkiem:

„Krwawy karnawał trwa. Policja sparaliżowana”

– Co tu jest? - spytał Bell.

– Teorie - odrzekł Grady. - Same bezpodstawne. Spekulacje. Wytwory bujnej wyobraźni. Dziwaczne przypuszczenia. Beznadziejne domysły. Według nich Kuba Rozpruwacz to albo szlachcic, albo chirurg, albo mason, albo polski radykał, albo marynarz, albo rymarz, albo rzeźnik. Na pewno wiadomo o nim tylko to, że w końcu przestał zabijać kobiety w

Londynie. Choć kiedy dokładnie - w 1888, 1889 czy 1891 roku - jest gorąco dyskutowane. Tak jak to, dlaczego przestał. Zabił się? Umarł z przyczyn naturalnych? Znudziło mu się? Wyemigrował do Australii? Uciekł do Brazylii? Osiadł na wsi, by wieść spokojne życie?

– Dyskutuje się o tym, czy w ogóle kiedykolwiek przestał?

Grady wzruszył ramionami.

– Wydaje się panować zgoda co do tego, że jeśli nie umarł, to w pewnym momencie opadł z sił.

Bell wziął wycinki pod pachę i znalazł wolne biurko w pokoju.

* * *

– Gdzie jest Boss?

– Zszedł na dół na kolację.

Na dole była wspaniała jadalnia hotelu Knickerbocker. Orkiestra grała. Przy wszystkich stolikach trwały ożywione rozmowy. Bell pomachał do Enrica Carusa, który jadł z sopranistką koloraturową Luisą Tetrazzini, i poszedł dalej prosto do narożnego stolika, gdzie odwrócony plecami do ściany Joseph Van Dorn czytał menu. Bell usiadł na bankietce ukosem do niego, tyłem do innej ściany.

– Witaj - powiedział Van Dorn. - Dawno nie łamaliśmy się chlebem. Jak się miewasz?

– Jestem zaintrygowany - odrzekł Bell.

– Dobry Boże. To lepiej najpierw zamówmy.

Van Dorn podniósł wzrok i kelner podbiegł.

– Koktajl? - zapytał Boss.

– Jeszcze nie - odparł Bell.

Van Dorn zamówił manhattan.

– Z irlandzką whiskey Bushmills, panie Van Dorn?

– Jak zawsze. Na pewno nic nie chcesz, Isaac?

– Na pewno.

Van Dorn zamówił ostrygi i rostbef.

– A dla pana, panie Bell?

– *Polio Tetrazzini.*

Zaczekał, aż Van Dorn dostanie swojego drinka, i odwzajemnił toast Bossa wodą.

– Okej - powiedział Van Dorn. - Wyrzuć to z siebie. Co cię intryguje?

– Jest setka teorii o Kubie Rozpruwaczu.

– Co najmniej.

– Najbardziej intryguje mnie taka, że przestał zabijać prostytutki w Londynie dwadzieścia trzy lata temu, bo uciekł wtedy do Ameryki.

– Słyszałem ją.

– I co myślisz? Przeniósł się tutaj?

Van Dorn pokręcił głową.

– Jedna wersja jest taka, że zabił jakąś starą kobietę na Bowery, o ile sobie przypominam. Nie ma w tym wiele sensu. Nie była młoda i nie była prostytutką.

– Czytałem o tym - odrzekł Bell. - To zupełnie nie wyglądało na jedną z jego zbrodni.

– A jednak cię to intryguje.

– Nie tanto morderstwo, tylko to, czy jest możliwe, że Kuby Rozpruwacza nigdy nie złapano, bo w 1888 lub 1889 roku uciekł z Londynu do Ameryki? Może jest w Nowym Jorku. Może w Bostonie. I przyczaił się na jakiś czas.

– To naciągane - odparł Van Dorn. - Na jak długo by się przyczaił?

– Pierwsze zabójstwo, które mogło być jego, zdarzyło się w Brooklynie w 1891 roku. Ale pytanie brzmi, czy on zabija znowu?

– Teraz? W 1911 roku? To dopiero jest naciągane.

Bell zgodził się z tym.

Kelner podał Van Dornowi ostrygi na lodzie. Boss przełożył kilka na talerz Bella z chlebem i masłem.

– Właśnie takie spekulacje są w gazetach.

Bell przytaknął.

– Poza tym, czy Rozpruwacz nie byłby teraz za stary? - zapytał.

Joseph Van Dorn uniósł krzaczastą rudą brew.

– Za stary? - powtórzył aksamitnym głosem.

– Mówimy o mordercy, który popełniał zbrodnie dwadzieścia trzy lata temu.

– Pewnie z twojej perspektywy człowiek po czterdziestce jest sędziwy - odrzekł Van Dorn.

– Obaj wiemy, że po czterdziestce przestępcy, którzy uniknęli więzienia, przyhamowują - przypomniał mu Bell.

Van Dorn przywołał kelnera.

– Widzisz tamtą łyżkę wazową na kredensie?

– Słucham, panie Van Dorn?

– Tamtą dużą, długą.

– Tak, proszę pana. Widzę ją.

– Przynieś ją tu.

Zdziwiony kelner zrobił to.

– Powiedz mi, młodzieńcze - zwrócił się do Bella Van Dorn - jak byś scharakteryzował biedaków, którzy niedługo przekroczą pięćdziesiątkę? Jako zniedołężniałych? Zgrzybiałych? Słabowitych?

Boss uśmiechnął się zimno do swojego głównego śledczego, zacisnął potężne dłonie na ciężkiej srebrnej łyżce i związał jej rękojeść w supeł.

– Za stary?

Bell podniósł się z miejsca płynnym, szybkim, zgrabnym ruchem.

– Dziękuję za ostrygi - powiedział i poszedł do wyjścia z jadalni.

– Isaac! - zawołał za nim Van Dorn. - Dokąd się, u diabła, wybierasz?

– Do Anglii.

CZEŚĆ DRUGA

LONDYN (SZEŚĆ DNI PÓŹNIEJ)

14.

– Oparta na faktach prawda jest taka, panie Bell - powiedział Joel Wallace - że napuszony Scotland Yard nigdy nie przygwoździł Kuby Rozpruwacza.

Kiedy Amerykanie wpadali w kłopoty za granicą - biznesmeni dawali się oszukać, córki turystów ekscytowali podejrzani zalotnicy, a kolekcjonerzy dzieł sztuki obawiali się, że „rembrandty” i „tycjany” za okazyjną cenę mogły zostać ukradzione ich prawowitym właścicielom - szczęśliwcy trafiali do londyńskiego biura terenowego Agencji Detektywistycznej Van Dorn na Jermyn Street.

Placówką kierował służbista Joel Wallace. Był niski, krzepki i nosił krzykliwy garnitur. Dzięki jego działaniom vandornowcy budzili szacunek w stolicy Imperium Brytyjskiego. Bardziej staroświeckich Anglików mogła razić jego pewność siebie, ale arogancja Wallace’a przekonywała Amerykanów, że jest agresywnym detektywem, na którego mogą liczyć.

Drogie hotele i transatlantyki szybko obiegała wiadomość: spotkaj się z Joelem Wallace'em, vandornowcy cię oświecą.

– Rozpruwacz kołował Scotland Yard. Lepiej, żeby Jankes nie przypominał im o tym.

Właśnie dlatego Bell nie chciał się przedstawiać jako główny śledczy prywatnej agencji detektywistycznej. Wolał, żeby napuszeni patrzyli na niego z góry jako na skromnego tajniaka ubezpieczeniowego, który w wolnym czasie poświęca się dziwaczному hobby.

– Bawił się z gliniarzami - ciągnął Wallace. - Żartował sobie z nich. A największy kawał zrobił im po drugiej stronie ulicy, w kwaterze głównej policji metropolitalnej.

Był zimny wiosenny dzień. W Southampton statek Bella przywitał deszcz, padał podczas jego jazdy pociągiem z portu i w Londynie. Brezentowe płaszcze przydały się w drodze obok drzew wiśniowych w St. James's Park i przez rządową dzielnicę Whitehall do Victoria Embankment. Z tyłu mieli Tamizę, z przodu New Scotland Yard, dwuskrzydłowy, czteropiętrowy budynek z poziomymi rzędami kamienia i cegły. Czarne od sadzy gmachy parlamentu wyrastały niedaleko w górze rzeki. Czerwone tramwaje dudniły na Moście Westminsterkim. Big Ben wybijał drugą.

– New Scotland Yard zbudowano w tym samym roku, kiedy Rozpruwacz zaczął zabijać. Niech pan zgadnie, co robotnicy znaleźli, kiedy kładli fundamenty.

– Połowę ciała - odrzekł Bell.

W czasie pięciodniowego rejsu przez Atlantyk statkiem „Mauretania” linii Cunard przeczytał jeszcze raz wycinki prasowe od działu badań, przemyślał to wszystko i zapamiętał każde słowo. Utkwiło mu w głowie pewne sformułowanie ze śledztwa. Znaleziona w piwnicy Scotland Yardu zamordowana kobieta była „dobrze odżywiona”. Opis raczej nie pasował do prostytutek alcoholiczek, które Kuba Rozpruwacz mordował w dzielnicy nędzy Whitechapel.

Bella zaintrygowała również opinia koronera, że kobieta nie żyła od dwóch miesięcy, kiedy odkryto jej tułów. Jeśli zabił ją Kuba Rozpruwacz, to czy mogła być jego pierwszą ofiarą?

– Nawet niecałą połowę ciała - poprawił go obcesowo Wallace. - Najwyżej jedną trzecią. Tułów bez ramion i głowy. Zawinięty w jej sukienkę.

– W jej sukienkę? - zapytał Bell. - Czy w jego pelerynę?

W śledztwie materiał opisano jako „satynę”. Bell skonsultował to z Marion. Z cienkiej satyny robiono sukienki, ale z grubej peleryny.

– Dobre pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć - odparł Wallace. - Kto wie, co się stało z dowodami tak dawno temu. Sądząc po tym, jak Scotland Yard się upierał, że nie zabił jej Rozpruwacz, zrobił to ktoś inny.

Kilka tygodni później wykopali jej ramię. Yard nadal przysięgał, że to był przypadek. - Wallace się roześmiał. - Jakby zbiegiem okoliczności jakiś inny londyńczyk ukrył poćwiartowaną kobietę pod ich kwaterą główną akurat tamtego roku.

- Dlaczego Scotland Yard miałby kłamać?

- A jak mogli przyznać, że zrobił to Rozpruwacz? Nie potrafili przygwoździć drania. Dał im znać, że jest lepszy od nich. Mieć w piwnicy zwłoki - nawiasem mówiąc, nigdy niezidentyfikowane - w dodatku zostawione przez Kubę Rozpruwacza? To zbyt wiele, panie Bell. Równie dobrze mogliby przyznać, że przegapili okazję złapania go.

- Jak bardzo byli wtedy skorumpowani gliniarze? - zapytał Bell.

Jak każdy szef biura terenowego z prawdziwego zdarzenia, Joel Wallace miał licznych przyjaciół w wielu środowiskach.

- Z tego, co wiem od weteranów, nie tak bardzo jak nasi, ale za to bardziej płaszczyli się przed wyższymi sferami. I nadal tak jest. Tak zwany dżentelmen musi bardzo chcieć, żeby być podejrzany o przestępstwo, a tym bardziej aresztowany. - Przybrał akcent angielskich wyższych sfer. - „My nie robimy takich rzeczy...” W każdym razie gazety uważały, że to Kuba Rozpruwacz pochował tam swoją ofiarę. Wszyscy w Londynie tak uważali. Większość gliniarzy też, ale nie ich szefowie. On zaszokował całe miasto. Uwierzyliby we wszystko i bali się.

- A co ty sądzisz, Joel?

- On musiałby być cholernie silny, żeby zanieść choćby pół ciała na nieoświetloną budowę w środku nocy.

- Po co by się trudził? - spytał Bell. - Po co by ryzykował, że go złapią albo że skręci sobie kark w ciemności?

Dla przestępcy, który nie dawał się przygwoździć, takie narażanie się nie miało sensu.

- Jaka jest moja osobista teoria? Kuba Rozpruwacz chciał się zemścić na komendancie policji.

- Za co?

– Za krwawą niedzielę. Na Trafalgar Square zebrał się wtedy tłum robotników. Socjaliści, radykałowie, Irlandczycy - trzy najgroźniejsze grupy w Anglii w jednej demonstracji w wygodnie położonym punkcie. Komendant kazał ich rozpędzić pałkami. Kawaleria zablokowała drogi ucieczki.

Dla Bella to była nowość, bo polecił chłopcom z działu badań Grady'ego Forrera cofnąć się tylko do pierwszego zabójstwa Rozpruwacza. Miał teraz potwierdzenie - nie, żeby go potrzebował - znaczenia podróży do miejsca zbrodni.

– Kiedy to było?

– Rok wcześniej - odrzekł Wallace. - Dziesięć tysięcy kobiet i mężczyzn zaatakowali wymachujący pałkami „hobby”.

– To czyni z niego socjalistę, radykała, Irlandczyka?

– Mógł zostać poturbowany. Albo mógł być oburzonym świadkiem. Niech pan nie zapomina, dlaczego Brytole nienawidzą się nawzajem. Większość głoduje w slumsach. Armia odrzuca czterech na pięciu rekrutów, bo są chorzy i niedożywieni. Wyobraża pan sobie osiemdziesiąt procent amerykańskich chłopców przymierających głodem? Jasne, u nas też są biedacy, ale mają nadzieję, że w przyszłym roku będzie lepiej. Ci nieszczęśnicy są na dnie na zawsze. To okrutne państwo, panie Bell. Kuba Rozpruwacz pewnie chciał ich jakoś wesprzeć, robiąc z komendanta idiotę.

– Albo bawił się z gliniarzami, żeby pokazać, że jest sprytniejszy. „Moje zabawne gierki”, napisał do Centralnej Agencji Prasowej.

– Jeśli rzeczywiście napisał tamten list. Yard i gazety dostawały setki listów rzekomo od Kuby Rozpruwacza.

– Napisał go - odparł Bell. - Spójrz na kolejność zdarzeń. Yard rozlepił kopie w nadziei, że ktoś rozpozna odręczne pismo.

– Nikt nie rozpoznał i nigdy go nie złapali. Oparta na faktach prawda jest taka, że istotnie był sprytniejszy.

– Do zobaczenia później - powiedział Bell i wyszedł na ulicę. - A na razie znajdź mi kogoś, kto był przy sekcjach zwłok.

– Koronera?

– Kogoś, kto widział ciała.

– Chyba pan nie chce, żebym tam z panem poszedł? - zapytał Wallace.
- Ten inspektor, z którym pana umówili moi znajomi, to drażliwy sukinkot.

– Wolę sprawiać wrażenie nieszkodliwego - odrzekł Bell.

Powodzenia, pomyślał Wallace, kiedy patrzył, jak wysoki detektyw wspina się po frontowych stopniach New Scotland Yardu niczym groźny lew.

* * *

Wejścia strzegli wyjątkowo barczyści konstable o imponującym wzroście. Srebrne guziki lśniły na ich zapiętych mundurowych kurtkach ze stójkami. Ośmioramienne gwiazdy błyszczały na ich hełmach.

Bell pokazał wizytówkę.

Kiedy czekał na potwierdzenie spotkania, odwrócił się niedbale i powiódł wzrokiem oszołomionego turysty po pełnej barek rzece, zatłoczonym moście, Pałacu Westminsterskim, Big Benie i ruchliwej ulicy. Na moment zatrzymał spojrzenie na Joelu Wallasie, żeby dać mu znak.

Chudy jak szczapa mężczyzna w meloniku i płaszczu o wojskowym kroju, który kręcił się przed biurem na Jermyn Street, pojawił się drugi raz w St. James's Park. Teraz spacerował nonszalancko wzdłuż Victoria Embankment. Zbieg okoliczności był możliwy, ale mało prawdopodobny, bo gość wyraźnie się kamuflował - zmienił niebieski szalik na zielony.

Londyn był miastem Joela Wallace'a. Do niego należało ustalenie, kto śledzi vandornowców. Główny śledczy Isaac Bell miał do załatwienia ważniejszą sprawę w Scotland Yardzie.

* * *

– Ubezpieczenia, mówi pan? Jaką firmę pan reprezentuje, panie Bell?

Bell już pokazał wizytówkę i inspektor Scotland Yardu czytał ją powoli. Ale groźny lew, którego wcześniej widział Joel Wallace, zniknął w głębi swojej jaskini, gdy Bell powstrzymał niecierpliwość, żeby stworzyć obraz praworządnego, uznającego majestat policji obywatela.

– Dagget, Staples & Hitchcock - odrzekł uprzejmie.

Inspektor obrócił w palcach wizytówkę Bella. Joel Wallace wybrał go, bo policjant wstąpił do Scotland Yardu w 1885 roku, trzy lata przed pierwszą zbrodnią Kuby Rozpruwacza. Zbliżał się teraz do sześćdziesiątki i emerytury, z czego zapewne się nie cieszył. „Drażliwy” było łagodnym określeniem. Okazał się wyniosły, arogancki, pogardliwy - i nie w nastroju do wyświadczenia przysługi głównemu śledczemu amerykańskiej prywatnej agencji detektywistycznej, co Bell przewidywał.

– Z Hartford. - Upuścił wizytówkę na biurko. - W Connecticut. - Wymówił to po angielsku, akcentując sylaby, co Jankesi ignorowali. - Dlaczego przyszedł pan do Scotland Yardu, panie Bell? A może powinienem zapytać, dlaczego nakłonił pan pewnego współpracownika podsekretarza w Home Office do poproszenia mnie o spotkanie z panem?

Bell zdobył się na kordialny uśmiech.

– Właśnie przepłynąłem ocean na pokładzie „Mauretanii”. Jestem na tropie chicagowskiego złodzieja klejnotów Laurence’a Rosanii. Może natknął się pan na niego w Londynie?

– Nie mogę powiedzieć, że tak.

Bell wspomniał o niedawnym niewyjaśnionym włamaniu w hotelu Ritz. Inspektor nieprzekonująco zapewnił, że już prawie mają sprawcę, ale zdecydowanie nie jest to Rosania.

– Szukam pewnych związków między tym złodziejem a jego ofiarami - wyjaśnił Bell.

– Uznałbym, że dokonane przez niego kradzieże ich kosztowności to wystarczający związek.

– Chodzi o bezpodstawne roszczenia. Rosania zwija naszyjnik pańskiej żony, a pan żąda odszkodowania również za jej bransoletkę.

Pokazał fotografię. Niezwykle elegancki jak na kogoś tak młodego, Rosania patrzył obojętnie w obiektyw.

– To zdjęcie zrobiono z chwilą osadzenia go w więzieniu Sing Sing w stanie Nowy Jork. Niestety został uniewinniony i wrócił do swojego fachu. Jestem całkiem pewien, że działał na transatlantykach, i zastanawiam się, czy nie zawitał do Londynu, żeby rozpruć jakiś sejf, a potem wrócić do domu innym statkiem.

– Musiałby mieć tupet.

– Tego mu nie brakuje.

– Potrzebuje pan pomocy Scotland Yardu w tej sprawie?

Pełen szacunku obywatel pozwolił sobie na niestosowny wybuch śmiechu.

– Nie! Oczywiście, że nie. To nie jest przypadek dla policji. Konspiracja, i tak dalej, jeśli potrafi pan to sobie wyobrazić. To zbyt skomplikowane.

Inspektor się zjeżył.

– Zbyt skomplikowane? Więc co pan tu, do diabła, robi?

– Właśnie zszedłem z „Mauretanii”.

– Już pan to mówił.

– W palarni na statku spotkałem szajkę kombinatorów, którzy powinni pana zainteresować.

– Złodziei biżuterii? - zapytał z drwiącym uśmiechem inspektor.

– Szantażystów - odparł Bell.

Kiedy zauważył, że przygotowują wyłudzenie pieniędzy, dostrzegł świetną okazję do skaptowania Scotland Yardu.

Drwiący uśmiezek inspektora zniknął.

– Kogo szantażowali?

– Nie wiem, czy znacie tu powiedzenie „oskubać jelenia”, ale polega to na tym, że wmanewrowuje się kogoś w kompromitującą sytuację, której ujawnienia on się boi.

– Słyszałem o tym.

– Wydedukowałem, że zamierzają tak załatwić pewnego bogatego starego pryka.

– „Wydedukował” pan też tożsamość ofiary?

– Nazywa się Skelton. Przypuszczam, że jest on panu znany jako earl Milton.

Inspektor usiadł prosto.

– Ma pan dowód na to?

Bell wyjął z kieszeni pięć kodakowskich zdjęć grup ludzi na statku. Rozłożył je na biurku inspektora jak pokera królewskiego.

– Na pewno poznaje pan lorda Skeltona. Ten mężczyzna tutaj to prowodyr. Młoda dama z ręką na ramieniu Skeltona podstępem dostała się do kabiny biednego starego naiwniaka. Tamten ponury mięśniak udawał jej wściekłego męża.

– Pozwolili się panu sfotografować?

– Nie wiedzieli, że mam aparat.

– Jak pan go ukrył?

Wysoki detektyw uśmiechnął się nieco mniej kordialnie.

– To, jak ukrywam mój aparat fotograficzny, można by nazwać tajemnicą zawodową śledczego ubezpieczeniowego.

Jeszcze jeden urok bycia mężem pięknej twórczyni filmów.

– Szantażyści nakłonili Skeltona do wyjęcia pieniędzy z jego londyńskiego banku i zapłacenia im dziś po południu w hotelu Savoy.

Bell pociągnął złotą dewizkę i wyjął zegarek kieszonkowy Waltham z pozytywką. Na wieczku była wygrawerowana pędząca lokomotywa 4-4-0. Przywoływała wspomnienia jego pierwszego kontaktu z Agencją

Detektywistyczną Van Dorn. Zegarek otworzył się pod jego dotykiem i zagrał *Yankee Doodle Dandy* Georga M. Cohana.

– Trzecia - powiedział Bell przez muzykę. - Będą w Savoyu lada chwila. Jako że „Mauretania” to brytyjski statek, ci szantażyści powinni podlegać waszej jurysdykcji.

Inspektor też tak uważał. Wezwał pilnie detektywów.

Bell wprowadził ich w szczegóły, łącznie z numerem pokoju, gdzie miało dojść do wymuszenia, który dostał od nieocenionego Joela Wallace’a. Nie skorzystał z mało zachęcającego zaproszenia do udziału w nalocie, twierdząc, że anonimowość jest bezcenna w śledztwach ubezpieczeniowych.

Kiedy został sam z rozpromienionym inspektorem, przeszedł do rzeczy.

– Mogę pana poprosić o przysługę?

– Słucham.

– Mam takie hobby - zaczął nieśmiało - że lubię bawić się w Sherlocka Holmesa.

– To brzmi jak praca w czasie urlopu.

– Może dla prawdziwego detektywa, ale dla mnie to jest szansa na przeżycie emocji, co rzadko mi się zdarza w mojej branży.

– Która sprawa Sherlocka Holmesa pana ekscytuje? - zapytał wyraźnie protekcyjnym tonem inspektor.

– Mam obsesję na punkcie ustalenia tożsamości tajemniczego sprawcy morderstw w Whitechapel dawno temu - mówię oczywiście o Kubie Rozpruwaczu. Fascynuje mnie ta sprawa.

– Jak wielu.

– To zadziwiająca tajemnica.

– Można tak powiedzieć.

– Nie zna pan przypadkiem kogoś, kto służył wtedy w Scotland Yardzie i mógłbym z nim porozmawiać? Kogoś, kto pamiętałby szczegóły sprawy, których nie było w gazetach?

- Pochlebia mi pan. Ja wtedy służyłem. Jeszcze jako konstabl.
- Jako młody konstabl - uściślił Bell z przesadnym naciskiem. - Nigdy bym się nie domyślił. Cóż, to mój szczęśliwy dzień. Ma pan jakąś teorię?
- Na temat?
- Tajemnicy, dlaczego najwięksi policyjni detektywi w historii nigdy nie złapali najokrutniejszego mordercy w Anglii?
- To żadna tajemnica. Wyjaśnienie jest proste.
- Zamieniam się w słuch - powiedział Bell.
- Tak zwany Potwór z Whitechapel popełnił samobójstwo.
- Kiedy?
- Utopił się w Tamizie w grudniu 1888 roku. Trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Miesiąc po swojej ostatniej zbrodni.

15.

- Kto to był? - zapytał Bell.
- Nazywał się Druitt - odrzekł inspektor. - Montague John Druitt. Adwokat z dobrej rodziny. Śledczy ustalili, że się załamał pod ciężarem zgrozy. Pancierz, który chroni niższe warstwy społeczne przed emocjami, zużywa się, w miarę jak ludzie zbliżają się do granic wytrzymałości. Druitt pochodził z dobrej rodziny i nie mógł udźwignąć swoich zbrodni. Nie miał innego wyjścia, niż po dżentelmeńsku rzucić się do rzeki.
- Rozumiem... Ale jak pańska teoria tłumaczy...
- To nie teoria, panie Bell. To fakt. Tak jak to, że gdyby Druitt się nie zabił, to wkrótce byśmy go przyskrzynili.
- To znaczy, że Scotland Yard już go prawie miał?
- To było tylko kwestią czasu.
- Fascynujące... Ale jak pańska... pański „fakt” tłumaczy zabójstwa Rozpruwacza po Bożym Narodzeniu?
- Ostatnią zbrodnię popełnił dziewiątego listopada 1888 roku.

– Kelly.

– Kelly?

– Jego ofiara z dziewiątego listopada 1888. Mary Kelly.

– Tak, oczywiście. Widzę, że częścią pańskiego hobby jest uczenie się nazwisk prostytutek.

– Pamiętanie ich nazwisk przypomina mi, że zostały zamordowane bezbronne kobiety - odparł lodowato Bell, rozdrażniony.

– To racja. W każdym razie to była piąta i ostatnia ofiara Druitta. Jego ciało wyłowiono z rzeki pod koniec grudnia. Po dziewiątym listopada nie było żadnych zabójstw Rozpruwacza.

– A jak pan wyjaśni bardzo podobne morderstwa w osiemdziesiątym dziewiątym i dziewięćdziesiątym?

– Popełnili je inni zabójcy.

– Również nigdy nie złapani? - spytał Bell.

– Zgadza się.

– Pracował pan nad tamtą sprawą?

– Nie.

– Zna pan kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o jego samobójstwie? Może jakiegoś emerytowanego policjanta? Na przykład konstabla, który widział, jak wyciągano Rozpruwacza z rzeki. Albo detektywa, który zajmował się późniejszymi podobnymi do zbrodni adwokata zabójstwami.

– Dlaczego pan ciągle o nich mówi? Nie miały żadnego związku z morderstwami w Whitechapel.

Bell stłumił narastającą w nim złość, żeby móc odpowiedzieć jak niewinny hobbysta.

– To byłby dla mnie powód do dumy - a jaka korzyść dla mojej pracy w ubezpieczeniach z nawiązania dozgonnych przyjaźni w Scotland Yardzie - gdybym zdołał znaleźć ostateczny dowód, że Kuba Rozpruwacz utonął w Tamizie.

– To zamierzchła przeszłość - zadrwił inspektor. - Historie sprzed ćwierćwiecza. Niech pan pomyśli. To było dwadzieścia pięć lat temu.

– Dwadzieścia trzy - poprawił Bell. - Niech pan przekaze swoim emerytowanym znajomym, że stawiam obiad każdemu, kto mi coś opowie.

Inspektor popatrzył na niego przeciągle z surową miną.

– Więcej pan od nich wyciągnie, stawiając im drinki - powiedział bez cienia uśmiechu na twarzy i choćby odrobiny ciepła w oczach.

* * *

– Montague John Druitt? A, tak, szefie, pamiętam go.

– Spotkał go pan? - zapytał Bell.

W pubie Czerwony Lew na Parliament Street, niedaleko Izby Gmin, było głośno i niebiesko od papierosowego dymu. W Nowym Jorku Bell nazwałby go saloonem dla gliniarzy. Roilo się w nim od konstabli i detektywów. Nawet starszy facet, który zbierał puste szkło, wyglądał jak emerytowany bobby. Pub był wygodnie zlokalizowany za rogiem od komisariatu na Canon Row na tyłach Scotland Yardu, a pięknej właścicielce starzy i młodzi jedli z ręki.

Emerytowany konstabl, którego drażliwy inspektor wybrał na rozmówcę Bella, spędził całe zawodowe życie w Wydziale H Scotland Yardu w Whitechapel i odszedł z policji w stopniu sierżanta. Poprosił o pintę „lekkiego”, ale chętnie skorzystał z propozycji Bella, żeby wziąć „łamane”.

– Czy go spotkałem? Owszem, twarzą w twarzą. Wyglądał jak strzep mokrego brezentu. Leżał w wodzie miesiąc. Gdyby jego rodzina nie wszczęła alarmu, nigdy byśmy nie zidentyfikowali nieszczęśnika. Brat rozpoznał części jego ubrania.

– Nieszczęśnika? Ma pan na myśli Kubę Rozpruwacza?

– Skoro pan tak mówi, szefie...

Bell spojrział na niego ostro. Stary spryciarz starannie dobierał słowa i Bell usłyszał prywatną wiadomość w jego odpowiedzi. Już miał zadać

następne pytanie, gdy nagle rozległ się dźwięk elektrycznych dzwonek. Pomyślał, że to alarm pożarowy, ale nikt w pubie nie zwrócił na to uwagi. Tylko dwóch mężczyzn przy barze dopiło drinki i wypadło na dwór. Przerażliwe, natarczywe dzwonięcie trwało.

– Co się dzieje?

– Dzwonek przywoławczy. Oznajmia głosowanie w Izbie Gmin. Członkowie mają osiem minut na wejście tam przed zamknięciem drzwi. Dzwonki są w całej dzielnicy, w pubach, restauracjach, hotelach. Tamci dwaj zdążą. Wyszli w porę.

– Jeszcze po jednym?

– Nie odmówię.

Barmanka nalała im po pół pinty jasnego beczkowego i dopełniła ciemnym butelkowym.

– Zdrowie, szefie.

– A jeśli nie Rozpruwacza, to kogo? - spytał Bell.

– O co panu chodzi?

– Odnoszę wrażenie, że nie w pełni zgadza się pan z wersją Yardu, że Druitt był Rozpruwaczem.

– Niech pan za bardzo nie polega na swoim wrażeniu. Na liście „oficjalnych” podejrzanych zastępcy szefa wydziału kryminalnego figurował ten samobójca.

– Kto jeszcze?

– Polski Żyd nazwiskiem Kosminski.

– Dlaczego?

– Bo mieszkał w Whitechapel.

– Tylko dlatego?

– Był cudzoziemcem. I Żydem. Zamykali go w domu wariatów i wypuszczali. Wszystko pasowało. Według zastępcy szefa.

– Kto jeszcze?

– Rosyjski oszust nazwiskiem Ostróg.

– Następny cudzoziemiec - stwierdził Bell.

Wyglądało na to, że Joel Wallace przychylnie ocenił Scotland Yard.

– Następny stały bywalec domu wariatów i różnych więzień Jej Królewskiej Mości.

Emerytowany gliniarz zamilkł i pociągnął łyk piwa. Dzwonek przywoławczy wreszcie ucichł.

– Czy zastępca szefa wydziału kryminalnego typował kogoś na głównego podejrzanego?

– Nie miał zwyczaju zwierzać się konstablom, a tym byłem w 1888 roku - odparł oschle policyjny emeryt. - Ale wiem, szefie, że wykreślił z listy obłąkanego studenta medycyny i lekarza, który mścił się za swojego zmarłego na rzeźniczkę syna, oraz pewnego księcia, pewnego para, który zapadł się pod ziemię w Brazylii, i napalonego malarza.

– Kim była pochowana w piwnicy New Scotland Yardu kobieta?

– Nikt nie wie.

– Czy to nie dziwne, że nigdy nie zgłoszono jej zaginięcia?

– Londyn jest ogromny. Ale nie mogła być z Whitechapel. Ktoś by powiedział, że to jest jakaś zaginiona Maud albo Betty. Nikt jej nie rozpoznał.

– W przeciwieństwie do wyłowionego z rzeki mecenasa Druitta.

– Otóż to, szefie. Rodzina zgłosiła jego zaginięcie. To jest w protokole. Rozpoznano jego ubranie... Dzięki za poczęstunek, szefie. Poczłapię już do domu. Czas pospać.

– Zna pan kogoś, kto mógłby mi powiedzieć więcej o tamtej dziewczynie w piwnicy?

Starszy mężczyzna podrapał się w brodę i popatrzył badawczo na Bella.

– Cóż, skoro ona pana tak interesuje...

– Bardzo.

– To pogadam z Nigelem Robertsem.

– Kto to jest?

– Odszedł z Yardu na wcześniejszą emeryturę. Pracował w kryminalnym.

– W Wydziale H?

– Był detektywem. Sierżantem.

– Gdzie go znajdę?

– W Lincoln's Inn Fields. Prowadzi Muzeum Ślusarstwa. Jak byście nazwali kogoś takiego w Ameryce? Kierownikiem?

– Albo kustoszem. Już po godzinach. Gdzie go znajdę teraz?

– Mieszka w muzeum. Dali mu pokój na strychu. Ale na pana miejscu zostałbym tutaj.

– Dlaczego?

Stary gliniarz dopił piwo, oblizał wąsy i błysnął w uśmiechu żółkłymi zębami.

– Rozeszła się wieść, że pewien Jankeś rozpytuje o Rozpruwacza. Nigel Roberts nigdy nie mógł wyrzucić starego Kuby z głowy.

* * *

– Pan Bell, jak miemam?

Zrobiło się późno i parlamentarzyści, którzy pobiegli głosować, wracali z triumfalnymi minami, gdy rzucająca się w oczy postać z długimi siwymi włosami i w błyszczących okularach dołączyła do Bella przy barze. Wymizierowany mężczyzna wyglądał na pogodnego i Bell odniósł wrażenie, że to człowiek, który nie był zaskoczony, kiedy obudził się pewnego ranka i stwierdził, że jest stary. Emanował z niego niespokojny duch, taki rodzaj niecierpliwości, jakiego Bell szukał w najlepszych detektywach.

– Pan Roberts?

Roberts przytaknął wesoło.

– W Anglii do służących nie mówi się „pan”. Niech pan lepiej zwraca się do mnie Roberts.

– Dlaczego emerytowany detektyw z wydziału kryminalnego nazywa siebie służącym?

– Gliniarze są „zarządcami”. Scotland Yard trzyma zły element społeczny z dala od domów dobrego elementu społecznego.

– To dlatego przeszedł pan na wcześniejszą emeryturę?

– Nie. Tytułowanie mojego szefa „sir” bo podlizywał się urodzonym w Mayfair komisarzom, przypomniało mi w końcu, czego się nauczyłem w dzieciństwie, ale zignorowałem, kiedy wstępowałem do Yardu.

– To znaczy?

– Władza psuje. Posłuszeństwo zniewala.

– To brzmi tak, jakby pan się urodził w Whitechapel - stwierdził Bell.

– Wystarczająco blisko.

– Jak pan uciekł?

– Bogaty kupiec bławatny, który zmarł jeszcze w czasach Szekspira, zostawił swój majątek na szukanie szkół dla chłopców bez grosza.

– Zauważyłem pana, kiedy tu wszedłem - powiedział Bell. - Czekał pan na mnie?

– Rozeszła się wieść, że pan wypytuje o dziewczynę w piwnicy.

– Wygląda na to, że sprawa Kuby Rozpruwacza jest wciąż żywa.

– Dla mnie jest.

– To on położył tam jej ciało?

– Tak pisały gazety.

– Czytałem je.

– I prawie wszyscy w Londynie tak uważali. Wie pan o psie?

– O bloodhoundzie komendanta? - spytał Bell.

Gazety miały używanie, kiedy komendant policji usiłował z pomocą bloodhounnda wytropić tego, kto zostawił zwłoki w New Scotland Yardzie.

– Nie, o innym psie. Kiedy komendant chodził za swoim psem, jakiś obywatel wpuścił własnego do piwnicy. Yard szukał wszędzie, ale to

tamten pies odkopał nogę dziewczyny. Leżała kilka centymetrów głębiej, niż sprawdzali.

– To była jej noga?

– Tak uznał policyjny chirurg, który robił sekcję.

– Jak długo tam leżała?

– Około dwóch miesięcy. Panowała jednomyślność, że zabójca poszedł do piwnicy dwa razy. Najpierw zakopał jej nogę, a jakiś czas potem rzucił tam tobołek z jej tułowiem.

– Czy nasza dziewczyna z piwnicy mogła być zamiejskowa?

– Dlaczego pan pyta o to?

– Bo według Marka Twaina Londyn to miasto „wiosek” - odrzekł Bell.

– Setek - przyznał Roberts.

– Gazety pisały, że jej ciało znaleziono w New Scotland Yardzie. Ale nikt się nie zgłosił po zwłoki. Nikt nie powiedział, że to jego zaginiona córka lub przyjaciółka, albo kuzynka.

– W lipcu zaginęła jakaś dziewczyna z Chelsea. Jej matka myślała, że to ona. Opis pasował do tułowia dobrze odżywionej, zdrowej młodej kobiety i matka miała wrażenie, że jej córka przyjęła pracę służącej w domu jakiegoś bogatego mężczyzny. Ale do identyfikacji brakowało głowy. Nic nie przeczyło twierdzeniu Yardu, że Potwór z Whitechapel to jakiś lokalny robotnik, który morduje tylko pijane prostytutki bez grosza. Tak było dużo wygodniej. Komu w naszej policji mogła nie odpowiadać wersja, że Rozpruwacz zabija tylko upadłe kobiety, które i tak niedługo umrą z przepicia? Tamta dziewczyna to po prostu kolejna tajemnica.

– Mogła być jego pierwszą ofiarą? - zapytał Bell.

– Od której zaczął to wszystko? Dobre pytanie. Mogłaby być, gdyby nie jedna wielka niewiadoma.

– Jaka?

W odpowiedzi Bell usłyszał dokładnie to samo, co powiedział w Nowym Jorku swojemu oddziałowi Nożownik.

– Ile zwłok ukrył tak dobrze, że nigdy ich nie znaleziono. Wiemy tylko tyle, że zabójstwo naszej dziewczyny z piwnicy poprzedziło pierwsze „oficjalne” morderstwo Kuby.

– Polly Nichols. Trzydziestego pierwszego sierpnia.

– Sprawa Rozpruwacza rzeczywiście pana wciągnęła. Zna pan daty.

Roberts przywołał barmankę i zamówił dwie whiskey.

– Wznieśmy toast, panie Bell. Za naszą Panią z Piwnicy, istniejącą dziewczynę, którą pozbawił życia Rozpruwacz - albo inny podobny do niego potwór. A potem wypijemy za Yard, który nic nie zrobił, żeby wyjaśnić tajemnicę jej śmierci.

Bell wychylił whiskey i poprosił o następną kolejkę.

– Ciekawi mnie, dlaczego się różniła od reszty jego ofiar.

– Znanej reszty. Co to znaczy, że się różniła?

– Była dobrze odżywiona. Nie biedowała. Może znał ją osobiście...

Roberts wzruszył ramionami, najwyraźniej niezainteresowany tym kierunkiem śledztwa, i Bell zmienił temat.

– Słyszał pan kiedykolwiek o wyciętych na ciałach jego ofiar symbolach?

– Co pan rozumie przez symbole?

– Nie śmiertelne rany, tylko... ślady... znaki rytualne, które mogą coś przekazywać, być wiadomością. Albo szyfrem.

– Jak wyglądały te, o których pan słyszał? - spytał Roberts.

Bell miał dziwne wrażenie, że były policyjny detektyw sprawdza go. Otworzył swój notes.



Roberts zsunął okulary w dół nosa i przyjrzał się przez nie uważnie znakom.

– Nie. Nie przypominam sobie takich kształtów.

– Czy Kuba Rozpruwacz kiedykolwiek przykrywał swoje ofiary męskimi pelerynami? - zapytał Bell.

– Nie, ich sukienkami albo fartuchami.

– A czy...

– Panie Bell - przerwał Roberts - przydałoby się panu strzyżenie włosów.

Uwaga była równie nietrafiona, co niestosowna.

– Dopiero co strzygłem się na statku - odparł Bell.

– A co z goleniem?

– O czym pan mówi?

– Wyślę pana do Davy'ego Collinsa. Niech pan mu powie, że pan jest ode mnie i że ma panu opowiedzieć pewną historię.

– Kto to jest?

– Ma fryzjernię w Whitechapel.

16.

Biało-czerwony słup stał przy wejściu do zakładu fryzjerskiego Davy'ego Collinsa między ciemnym pubem z pijącymi w milczeniu mężczyznami i kobietami a sklepikiem spożywczym z pustymi półkami. Kręte schody zakładu były tak wąskie, że chyba tylko cudem wniesiono po nich czerwony skórzany fotel fryzjerski. Misternie ufryzowany golibroda z wymyślnie zakręconym wąsem powitał Bella z tak silnym włoskim akcentem, jak parodiujący imigrantów komik wodewilowy.

– Szukam fryzjera nazwiskiem Davy Collins - powiedział Bell.

– To jest moje angielskie nazwisko.

– Zna pan Nigela Roberta?

– To emerytowany gliniarz.

– Przysłał mnie, żeby pan mi opowiedział pewną historię.

– Jaką?

– O Kubie Rozpruwaczu.

Fryzjer chwycił lśniąca brzytwę i zapytał ostro po londyńsku:

– A ty kto, koleś, do jasnej cholery?

– Powiem panu, kim jestem - odrzekł Bell - jeśli pan mi powie, dlaczego pan udaje Włocha?

– Anglicy uprzejmiej traktują fryzjera ze słonecznej Italii niż Davy'ego Collinsa, który przez Irlandię dotarł do Whitechapel.

– Jestem Amerykaninem. Każdego traktuję uprzejmie.

Collins się roześmiał.

– W porządku. Jaką historię chce pan usłyszeć?

– Prawdziwą.

– Jedyna prawdziwa, jaką znam, jest o tym, jak zobaczyłem Rozpruwacza.

– Pan go rzeczywiście widział?

– Na własne oczy.

– Kiedy?

– Dziewiątego listopada 1888 roku.

Mary Kelly, pomyślał Bell. Morderstwo, które według inspektora było ostatnią zbrodnią Kuby Rozpruwacza.

– W dzień czy w nocy? - spytał.

– Głuchą nocą. Po czwartej nad ranem.

– Co pan robił na dworze?

– Szukałem miejsca do położenia głowy. Byłem wykończony i bez grosza. Sprzedawałem domokrażnie magiczny eliksir na porost włosów, ale nikt go nie kupował. - Znów machnął brzytwą. - Nagle pomyślałem: „Do diabła z łysymi, zrobili kiedyś coś dla mnie? Zajmę się stryżeniem włosów, zamiast ich porostem”. Na taki pomysł wpadłem tamtej nocy o czwartej nad ranem. Dwa lata oszczędzałem na kupno brzytwy.

– O czwartej nad ranem wystarczyło światła, żeby coś zobaczyć?

– W tamtych czasach w Whitechapel było ciemniej niż w kopalni.

- To jak pan go zobaczył?
- W ciemności lepiej widać.
- Ale nie czyjaś twarz.
- Sylwetkę - odrzekł Collins. - Kształt człowieka. Jego ruchy.
- Sylwetkę? - spytał z powątpiewaniem Bell.
- Kiedy wybiegł z czynszówki, gdzie Mary miała swój pokój.
- Ale tylko sylwetkę - powiedział Bell.

To prowadziło donikąd, tracił czas. Z jakiegoś powodu Roberts zażartował sobie z niego.

- Dopóki nie przebiegł przez światło.
- Jakie światło? Mówił pan, że było ciemno.
- Na końcu ulicy stała zapalona latarnia.
- Elektryczna?
- W Whitechapel? Gazowa. Migotliwa.
- Czyli słaba.
- Jak świeca na wietrze. Ale jasna w porównaniu z ciemnością.
- Jak daleko stała ta latarnia?
- Piętnaście metrów. Może mniej.
- Jakie ruchy miał tamten człowiek?
- Sadził susami jak zając.
- Co to znaczy, jak zając?
- Biegł jak chłopiec. Bez strachu. Pewnie.
- Ale to nie mógł być chłopiec. Domyśla się pan, ile miał lat?
- Nie muszę się domyślać. Widziałem na własne oczy. Ledwo wszedł w męski wiek.

Jeśli to prawda, pomyślał Bell, to teraz londyński Kuba Rozpruwacz byłby „moim” Kubą Rozpruwaczem, zabójcą trochę po czterdziestce.

- Wyglądał na silnego?

Collins wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że był szybki.

– Śledził go pan?

– A po co? Nie wiedziałem, dlaczego biegnie. Biedną Mary znaleźli dopiero rano.

Bell pokręcił głową.

– Zaraz, zaraz. Skoro Mary Kelly znaleziono dopiero rano, to dlaczego Rozpruwacz biegł? Uciekał? Co go wystraszyło?

– Pukanie do drzwi.

– Czyje pukanie?

– Faceta, który przyszedł po czynsz.

– O czwartej nad ranem?

– Zalegała z czynszem - wyjaśnił Collins. - Unikała gospodarza.

– Widział pan poborcę?

– Nie. Ale pukał zawsze, kiedy zobaczył światło. Dlatego Rozpruwacz uciekł. Pukanie go zaskoczyło.

– Jej pokój miał drugie drzwi?

– Mało prawdopodobne.

– Wyszedł przez okno?

– Skąd mam wiedzieć, szefie? Ja tylko spekuluję.

* * *

– Ogon cierpliwie czekał, dopóki pan nie wyszedł z Yardu - zameldował Joel Wallace, kiedy Bell wrócił na Jermyn Street.

– Widziałem go - odrzekł Bell. - Śledził mnie do Czerwonego Lwa.

Wallace skinął głową.

– Zorientowałem się, że zamierza iść za panem, ale potem pomyślałem, że mnie zauważył, bo nagle wskoczył do tramwaju.

– Dałeś mu się wykołować?

Bell nie krył zaskoczenia - Wallace był dobry - ani niepokoju.

– Zna się na rzeczy. Dobrze to wyliczył. Zostawił mnie na moście jak głupka.

– To gliniarz?

– Za sprytny. Bardziej wojskowy.

Wojskowy?

– Znosi się na wojnę. W Londynie jest pełno szpiegów, głównie Niemców, ale też żabojadów, Japońców, makaroniarzy i Rosjan. Potykają się o siebie w poszukiwaniu okazji do wykradzenia planów drednotów.

– Więc śledził ciebie czy mnie?

– Pana - odparł zdecydowanie Wallace. - Ja nie rozpracowuję szpiegów.

– Ja też nie - zaprzeczył Bell. - Poza tym nawet Scotland Yard nigdy nie podejrzewał, że Kuba Rozpruwacz był niemieckim szpiegiem.

– Może ci, co go nasłali na pana, myślą, że pan kombinuje coś innego?

Bell się chwilę zastanowił i uznał to za bardziej prawdopodobne.

– W zeszłym roku starałem się z lordem Strone z Biura Tajnej Służby Wywiadu Wojskowego.

Wallace przytaknął.

– Podczas sprawy Złodzieja. Ale Archie mówił, że to załatwiliście.

– Tak myślałem. Problem w tym, że Strone wie, że nie jestem śledczym ubezpieczeniowym od Daggeta, Staplesa & Hitchcocka.

– Szpiegdy myślą jak oszuści - ostrzegł Wallace. - Niech pan nikomu nie ufa.

– Zmagałem się kiedyś z Wywiadem Marynarki Wojennej. Ale dawno temu. Na długo przed tym, jak pan Van Dorn awansował mnie na głównego śledczego... Znasz kogoś, kto by się zajął Strone'em?

Wallace przytaknął energicznie.

– Daj jasno do zrozumienia, że nasza agencja nie chce się przeciwstawić Biuru Tajnej Służby, chyba że dadzą nam powód.

– Rozumiem, panie Bell.

– I zadeszuj do Archiego w Nowym Jorku. Strone ma posiadłość w Connecticut.

– Zaraz to zrobię... Przepraszam, że dałem się wykołować tamtemu facetowi.

– Z sekcjami zwłok poszło ci lepiej?

* * *

Z sekcjami zwłok Wallace'owi poszło dużo lepiej. Znalazł chirurga z Harley Street, który był asystentem koronera, kiedy studiował medycynę. To on robił notatki. Lekarz miał dobrą pamięć i chłodne oko i zapoznał Bella z mnóstwem makabrycznych szczegółów.

Bell zapytał go o spekulacje, że Kuba Rozpruwacz był studentem medycyny.

– Przypisywano mu o wiele za dużo umiejętności chirurgicznych. Jego amputacje robiły na mnie wrażenie roboty myśliwego, który ma doświadczenie w ćwiartowaniu zwierzyny. Albo nawet rzeźnika. Wyraźnie używał dużego noża, podczas gdy studenta anatomii nauczono by operowania skalpelem. Nie, ten gość wiedział, gdzie oddzielić ramię od barku w stawie albo nogę od biodra, ale do tego nie potrzeba chirurga. Na pewno był silny - musiał być, żeby rozczłonkowywać zwłoki tak, jak to robił.

– A co z jego umiejętnością usuwania wnętrzności?

– Też ją przeceniano. Po prostu rozcinał ciała i wyrywał to, co chciał.

– Widział pan jakieś symbole na skórze?

– Jakie?

– Płytkie nacięcia na zwłokach.

Bell opisał półksiężycy na ciałach Anny Waterbury i Mary Beth Winthrop.

– Nie - zaprzeczył chirurg.

– Żadnych? Nie chodzi mi o rany, tylko o znaki.

– Były, ale nie półokrągłe - powiedział chirurg.

– A jakie?

– Miały kształt litery L. Taki... Mogę?

Sięgnął po notes i pióro wieczne Bella, znalazł pustą stronę i narysował.



Bell pokręcił głową... Chyba że...

– Czy ostrze mogło się tak ześlizgnąć, że z L zrobił się półksiężyc?

– Nie, tamte L wycięto prostymi liniami, dwoma zdecydowanymi ruchami ostrza prostopadle do siebie. Jeśli to pan uważa za symbole.

– Właśnie to. Ale nie tego kształtu.

– To samo można by powiedzieć o nacięciach jak litera V.

– Jak to?

Chirurg narysował:



Bell przerzucił kartki notesu.



– Nie - zaprzeczył chirurg. - Tamte były zupełnie inne. Jak L i V. Pańskie wyglądają jak rogi.

* * *

Brytyjskie Muzeum Ślusarstwa mieściło się w dwupiętrowym ceglanym szeregowcu w Lincoln s Inn Fields kilka drzwi od Muzeum Sir Johna Soane'a. Portier zaprosił Bella do obejrzenia zbiorów i poszedł poszukać Robertsa.

Bell przyglądał się z uznaniem powstałym na przestrzeni stuleci sejfom, kajdankom, zamkom drzwiowym i kluczom. Popodziwiał działający model zamka bębnowego egipskiego faraona i przyjrzał się sceptycznie niemieckiemu pasowi cnoty. Rysunki pokazywały szczegółowo konstrukcję zamka Yale z 1861 roku, który sprawił, że operowanie wytrychami stało się prawdziwą sztuką.

Zamkowi z pułapką na złodzieja - o którym Bell słyszał, ale nigdy go nie widział - towarzyszył osiemnastowieczny podręcznik dla księgowych. Ostrzegał audytorów, żeby podczas pracy w posiadłościach zmarłych uważali na sejfy z uruchamianymi sprężynowo potrzaskami na włamywaczy. Ten zabezpieczał kasetę pancerną, otwartą dla pokazania mechanizmu zdolnego zmiażdżyć kości nadgarstka.

Uwagę Bella przykuł zamek rzekomo nie do sforsowania. Muzeum zachęcało zwiedzających do prób otwarcia go i nawet zapewniało zestaw wytrychów. Bell używał własnych, gdy zjawił się Nigel Roberts.

– Traci pan czas, panie Bell. Jeszcze nikomu nie udało się otworzyć tego zamka.

– Ma mnóstwo bolców - odrzekł Bell, naciskając lekko napinacz, który wsunął pionowo, żeby zostawić miejsce dla wytrycha. - Albo dlatego, że używali pańskich narzędzi.

Uniósł ostatni bolec i zwiększył nacisk na napinacz. Zamek nie do sforsowania obrócił się i otworzył. Bell spojrzał na Roberta.

– Davy Collins twierdzi, że Kuba Rozpruwacz był zwinny jak młody człowiek. Mógłby mi to pan sam powiedzieć, gdyby pan chciał. I to, że Davy tylko spekuluje, do czego sam się przyznał. Widział kogoś biegnącego, kto niekoniecznie był Rozpruwaczem.

– Kim pan jest, panie Bell?

– Według pana władza psuje, posłuszeństwo zniewala. Komu jest pan posłuszny?

– Nikomu.

– W co pan gra? - zapytał Bell. - Dlaczego wysłał mnie pan w pogoń za cieniem?

Wysoki detektyw i starszy siwy mężczyzna patrzyli na siebie gniewnie.

– Tamte zamordowane dziewczyny nie są moim hobby - odparł Roberts, mrugając oczami. - Nie są częściami gry.

Bell przypomniał sobie słowa emerytowanego konstabla w Czerwonym Lwie, że Nigel Roberts nigdy nie mógł wyrzucić z głowy Rozpruwacza.

Mimo zagrywek Roberta Bell musiał przyznać, że jest w nim coś szczerego. On też uważa tamtego zabójcę za odrażającego? Rzeczywiście obchodzą go kobiety, które Rozpruwacz zamordował tak dawno temu?

– Nazywanie go potworem - powiedział Bell - czy też Potworem z Whitechapel, zaprzecza, że był zbrodniarzem w ludzkiej postaci.

– Zaprzecza też temu, że tamte dziewczyny były istotami ludzkimi - odrzekł Roberts. - A to mnie złości prawie tak samo, jak używanie słowa „tajemnica” dla wytłumaczenia tego, że go nie złapali. To jakby czyni z Rozpruwacza jakąś niepowstrzymaną siłą przyrody, a nie owoc porażki niekompetentnych śledczych.

– Kuba Rozpruwacz nie jest też moim hobby - oznajmił Bell. - Nie jestem śledczym ubezpieczeniowym w pracy na urlopie.

– Więc dlaczego interesuje pana... Bez obaw. Nikomu nie powiem. Zresztą, i tak by mnie nie słuchali.

– Okej - odrzekł Bell. - Ale najpierw niech pan mi coś powie. Jakiś zawodowiec śledzi mnie od mojego przyjazdu do Londynu. Czy w sprawie Kuby Rozpruwacza jest coś takiego, że ponieważ zadaję pytania, to jestem obserwowany?

– Już ustaliliśmy, że Scotland Yard nie wyjaśnił co najmniej pięciu morderstw tego samego zabójcy, plus dziesięciu lub więcej popełnionych po jego rzekomym utonięciu. Byli niekompetentni czy woleli to zostawić? Jeśli byli niekompetentni, to nie chcą, żeby im o tym przypominać. Jeśli skorumpowani, to nie chcą, żeby pan to ujawnił.

– Ale ja nie sądzę, że mój ogon to gliniarz - zastrzegł Bell.

– Dlaczego?

– Znam gliniarzy. Ten facet jest inny. Poza tym inspektor pomógł mi porozmawiać z emerytowanymi glinami. Musiał wiedzieć, że kiedy wejść do Czerwonego Lwa, to spotkam pana.

– Bez wątplenia - zgodził się Roberts.

Przekonany, że Roberts nic nie wie o ogonie, Bell pokazał mu swoją odznakę vandornowca.

– Jestem głównym śledczym w Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Tropię mordercę, który działa podobnie do waszego Kuby Rozpruwacza.

– W Ameryce prywatni detektywi zajmują się zabójstwami?

– Normalnie robi to policja - przyznał Bell.

Wyjaśnił Robertsowi, dlaczego poszukuje mordercy Anny Waterbury.

– Zawiodłem ją i jej ojca. Mogę to naprawić tylko w jeden sposób - posadzić go na krześle elektrycznym.

– Życzę powodzenia - odrzekł Roberts. - Ale nie widzę podobieństwa do Kuby Rozpruwacza, zabójcy tak wielu kobiet.

Bell opisał morderstwa Lillian Lent i Mary Beth Winthrop.

Roberts był podekscytowany. Poprosił o szczegóły.

Bell podał mu je: młode drobne blondynki ze złamanymi karkami, przykryte pelerynami; zabójstwa odkryte dzięki jego alertowi dla wszystkich biur terenowych; ofiara w Albuquerque, na którą natrafił Walt Texas; ocena Tima Holiana, że rosnąca liczba zamordowanych dziewczyn wiąże się z przeniesieniem przemysłu filmowego do Los Angeles; meldunek Bronsona o brutalnej zbrodni w San Francisco.

– Mówi pan, że wasz zabójca działa podobnie do Kuby Rozpruwacza? - zapytał Roberts. - Czy że to jedna i ta sama osoba, Kuba Rozpruwacz?

– Dowiedziałem się w Yardzie, że on się utopił w Tamizie.

– Nie wierzę, że opuścił pan Amerykę w środku śledztwa w sprawie morderstw, żeby poznać zwyczaje słynnego zabójcy. Pytam jeszcze raz: spekuluje pan, że wasz zbrodniarz to Kuba Rozpruwacz?

– To zależy od tego, ile miał lat, kiedy mordował w Londynie. Był wtedy tak młody, jak sugeruje Davy Collins? Trzeba pamiętać, że nikt nie wie na pewno, czy Collins rzeczywiście widział Rozpruwacza, czy kogoś innego.

Roberts pokręcił głową.

– To nie wydaje się możliwe... Ale teraz rozumiem, dlaczego jego wiek jest tak ważny dla pana. - Nagle się uśmiechnął i zrobił zadowoloną minę. - Jest pan gotowy na spotkanie z Barlowe'em.

– Kto to?

Bell stał się ostrożny. Wyglądało na to, że Roberts wraca do swoich gier.

– Wayne Barlowe był gazetowym rysownikiem, pracował dla „Illustrated News”. Zobacz pan jego dzieła podczas swoich badań. Niech pan go nakłoni do mówienia. Niech pan mu powie, że ja pana przysyłam. Jeśli zapyta, co ma panu opowiedzieć, to niech pan mu powie, że historię, w którą nigdy nie wierzyłem.

– Czy z jego opowieści dowiem się wieku Rozpruwacza?

– Barlowe podobno rozmawiał z kobietą, która widziała Rozpruwacza z bliska. Nie raz go pytałem, czy to prawda. Barlowe nigdy mi tego nie zdradził. Nabrał wody w usta. Może pan będzie miał więcej szczęścia, bo nie jest pan z Yardu.

– Poda mi wiek Rozpruwacza? - powtórzył szorstko Bell.

– Przy odrobinie szczęścia sam pan do tego dojdzie.

– Jak?

– Na widok twarzy Rozpruwacza.

17.

Nożownik szedł po torze kolejowym z dziewczyną na rękach.

– Uwielbiam amerykańskie rzeki - powiedział do niej.

Rzeka Ohio płynęła obok nich w ciemności. Wydawała odgłos podobny do odległego grzmotu i jednocześnie syku ogromnego węża.

– Wasze rzeki są potężne w porównaniu z Tamizą.

Roześmiał się cicho.

– Nawet w czasie powodzi Tamiza nie umywa się do waszych rzek. Wasze spływają z gór, nasze tylko ze wzgórz - do dolin szerokich jak cała Anglia.

Zasilane topniejącym śniegiem i wiosennymi deszczami, wyrwały drzewa z korzeniami, miażdżyły parowce, wypłukiwały glebę i unosiły utopione bydło i ludzi do odległych oceanów. Ciało mknęło po powierzchni, uderzane przez fale i kłody. Zwłoki, które zatonęły, pędziły po mulistym dnie rzeki.

– Najbardziej lubię Missisipi - ciągnął. - Ale dziś zadowolimy się Ohio. Bez obaw. Dotrzesz do Missisipi za jakiś tydzień.

Podrapana, poobijana i nie do rozpoznania u zbiegu rzek w Cairo. Jakiś miesiąc później mewy w Zatoce Meksykańskiej się pożywią.

– Brak ciała - mówił do niej dalej - to zbrodnia doskonała. Policzę sposoby.

Požary - to ją nauczy palenia w łóżku. Świeżo wykopane piwnice - przed wybetonowaniem podłogi. Płytkie mogiły, gdzie tylko kojoty ją wywęszą. Wyeksploatowane kamieniołomy. Piece hutnicze. Rafinerie ropy. Destylarnie. Raz zarośnięty szyb kopalniany w Pensylwanii, gdzie - sądząc po smrodzie - ktoś inny wpadł na ten sam pomysł.

– Ale prawda jest taka, moja droga, że do czystego, łatwego pozbycia się ciała nic nie zastąpi rzeki.

W nocy widział doskonale i szedł pewnie w kierunku opuszczonego pirsu węglowego, gdzie rzeczne statki brały paliwo, zanim wyparły je pociągi. Nagle przystanął, nastawił ucha i zaczął nasłuchiwać.

– Słyszysz to?

Czyjeś głosy śpiewały:

– „Obejmij mnie mocno, kochanie, trzymaj i tul z całych sił...”

Nożownik zobaczył ich w świetle gwiazd, szli chwiejnie ku niemu po torze kolejowym. Dwóch pijanych usiłowało zharmonizować słowa przeboju Collinsa i Harlana *Madame Sherry* z nagrania firmy Victor. Patrzył, jak się zbliżają - postawni młodzi robotnicy, których gorzała prawie nie spowalniała. Ale mieli trudności z przypomnieniem sobie tekstu:

– „Kiedy na mnie patrzę, serce mnie unosi i zaczyna mną kołysać jak łódź. Nigdy nie znałem takiej dziewczyny jak ty...”

W końcu go zauważyli trzy metry przed sobą, przystanęli i zmierzili go wzrokiem.

– A co pan tam masz?

– Ta młoda dama trochę za dużo wypła - odrzekł Nożownik.

Zachichotali.

– To teraz będziesz pan jej miał trochę za dużo - odezwał się wyższy.

– Że co?

– Niesiesz pan ją po szynach w ciemność, żeby ją mieć, zanim się ocknie. - Odwrócił się do kolegi. - Wiesz co, Vern? Jak nas jest dwóch, a on jeden, to mamy pierwszeństwo.

Odwrócił się z powrotem do Nożownika.

– Możesz pan być drugi.

– Trzeci - poprawił Vern.

Nożownik rozwarł ramiona. Dziewczyna upadła twardo i uderzyła słyszalnie głową w szynę. Spowijająca ją peleryna sfrunęła.

– Po coś pan to zrobił?! - ryknął wyższy pijany. - Chcesz pan ją zabić?

– Z nieżywą nie będzie frajdy... - zaczął Vern i urwał, kiedy podszedł bliżej.

– Jimbo. Widzisz to co ja?

– O, rany, człowieku, ona upadła na głowę i złamała sobie kark.

– Przyjrzyj się dobrze, debil. Już nie żyła.

Jimbo pochylił się nad ciałem. Wygrzebał zapałkę z kieszeni i potarł ją o klamrę swojego pasa. Nożownik zamknął jedno oko i zmrużył drugie. Siarka zapłonęła i na wpół oślepiła ich obu.

– A niech mnie. On prawie odciął jej głowę.

– I zobacz, co zrobił z jej...

Laska Nożownika zwisała z paska wokół jego nadgarstka. Kiedy zapałka zgasła, wyciągnął długi nóż z laski i przystawił zakrwawione ostrze do gardła wyższego mężczyzny.

– Zrób, co ci powiem, Jimbo.

Jimbo podniósł ręce do góry.

– Spokojnie, spokojnie. Nikomu nie powiemy, chcemy tylko...

– Zrób dokładnie to, co ci powiem, Jimbo. Jesteś gotów?

– Tak, tak, tylko niech pan...

– Walnij tego człowieka w usta najmocniej, jak możesz.

– Co...

– Nie powstrzymuj się, bo poderżnę ci gardło. - Mógł powiedzieć „jak jej”, ale nie musiał. Jimbo dużo zobaczył w blasku zapałki. - Już!

Niższy mężczyzna nie poruszył się. Gapił się tylko z niedowierzaniem. Jimbo uderzył go pięścią w usta, wybił mu zęby i posłał go na wpół przytomnego na ziemię.

– Przepraszam, Vern - powiedział Jimbo. - Zmusił mnie...

– Odwróć się, Jimbo.

– Powiedział pan, że mnie nie dźgnie.

– Nie dźgnę cię. Odwróć się!

Nożownik zamachnął się laską z całej siły. Wzmocniona stalą, cięższa niż wyglądała, wbiła odłamek kości w skroń Jimbo, który upadł na swojego jęczącego kolegę. Nożownik wsunął ostrze do laski, podniósł dwie ciężkie bryły podsypki kolejowej i walnął nimi w głowy obu mężczyzn. Kiedy już nie żyli, poszukał w ich ubraniach butelki zajzajera.

Uniósł ją wysoko za szyjkę i roztrzaskał o zmiażdżoną skroń Jimbo. Szło i whiskey rozprysły się na ciałach. Cofnął się i popatrzył uważnie na swoje dzieło. Nie wiedział, czy pociąg przejedzie ich w ciemności, czy nie, ale gdyby sam Sherlock Holmes znalazł ich za dnia, to nawet ten wielki detektyw wydedukowałby, że Jimbo i Vern pozabijali się wzajemnie w pijackiej bójce.

Ponownie owinął dziewczynę swoją peleryną, wziął ją delikatnie na rękę i ruszył w stronę pirsu węglowego, kierując się na upiorne cienie oświetlonych gwiazdami drzew, które wyrosły na dawno opuszczonej budowli. Z bliska zobaczył kształty pachołków cumowniczych. Deski pomostu spróchniały, więc szedł ostrożnie tamtędy, gdzie legary mogły udźwignąć ciężar jego i dziewczyny.

Miała włosy koloru słomy i kiedy opuścił ją do rzeki Ohio, woda uformowała z nich aureolę. Uwięzione w pelerynie powietrze utrzymywało ciało na powierzchni. Wir tworzył przestrzeń spokojnej wody obok pomostu i minęła chwila, zanim prąd poniósł zwłoki w ciemność.

– Żegnaj. Byłaś wszystkim, na co miałem nadzieję.

18.

Biedny detektyw Roberts.

Wayne Barlowe się roześmiał.

Bell znalazł loft ilustratora w Chelsea na przestronnym strychu ze świetlikiem w opadającym na północ dachu. Podczas gdy emerytowany detektyw Roberts mógł uchodzić za artystę ze swoimi długimi siwymi włosami i w błyszczących okularach, rysownik Wayne Barlowe przypominał policjanta - był krępy i miał pozbawioną wyrazu ospowatą twarz, która wyglądała jak podziurawiona kulami ściana straceń.

– Co pan widzi zabawnego w „biednym detektywie Robertsie”? - spytał Bell.

Barlowe zrobił na nim wrażenie takiego samego krętacza jak Roberts i wysoki detektyw miał już dosyć takich ludzi.

– Akurat wtedy, kiedy Roberts w końcu jest bliski rezygnacji z ustalenia tożsamości „największego potwora epoki wiktoriańskiej”, pan Isaac Bell, rzeczoznawca ubezpieczeniowy i śledczy amator, przybywa z Ameryki z fantastyczną teorią, że „największy potwór” działa za oceanem.

Barlowe miał niedokończone prace na kilku sztalugach i puste szkicowniki na innych. Na największym rysował piórkiem kaszalota spermacetowego, który taranuje głową jedną łódź i roztrzaskuje ogonem drugą. Bell jeszcze nie widział straszniejszego wieloryba i powiedział, że z takimi umiejętnościami na pewno można dokładnie odtworzyć wygląd Kuby Rozpruwacza.

Barlowe spuścił skromnie głowę i podziękował mu za komplement.

– Nigel Roberts słyszał pogłoskę, że pan rozmawiał z kobietą, która widziała z bliska Kubę Rozpruwacza. Oglądałem pańskie rysunki w gazetach, ale na żadnym nie ma jego twarzy.

– Bo nigdy jej nie narysowałem.

– Ale usłyszał pan jego rysopis od kobiety, która go widziała?

– Ta pogłoska jest prawdziwa.

– A mogę spytać, dlaczego nie powtórzył pan Robertsowi jej słów?

– Roberts uważał, że zwariowałem. Ale on był gliniarzem. Dlatego nie umiał rozmawiać z ludźmi, którzy mi wierzyli. Na pewno nie przyznał się panu do tego, ale prawda jest taka, że dowiedział się ode mnie, co ona mówiła. Tylko tego nie narysowałem.

– Jak on wyglądał?

– Jak on wyglądał? - Barlowe się zastanowił. - Anielsko.

– Anielsko? Żartuje pan?

Rysownik wziął ołówek w grube palce i podszedł do innej sztalugi. W ciągu kilku sekund paroma szybkimi ruchami ożywił twarz i uwydatnił w jej rysach pewne cechy charakteru.

– Chłopiec?

– Przystojny, prawda?

Bell z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Chórzysta.

– Anielski, jak powiedziałem.

Bell przyglądał się podobnie, wciąż kręcąc głową.

– Myśli pan, że on rzeczywiście tak wyglądał?

– Gdyby tamta młoda kobieta kiedykolwiek przeczytała Biblię, to przysięgłaby na cały ich stos. Naprawdę uważała, że on tak wyglądał, choć śmiertelnie ją przestraszył.

– Jak mógł ją przerazić, skoro wyglądał tak niewinnie?

– Osaczył ją na Hanbury Street.

– Tam, gdzie zabił Annie Chapman - powiedział Bell.

– Dokładnie. Pod numerem 29. Ta uliczka prowadzi na podwórko za domem. Chapman była następna. Pierwszą próbował zabić tę dziewczynę. Chwycił ją oburącz za gardło.

– Jak mu uciekła?

– Nie wiem, czy pan się orientuje, jak żyją takie kobiety. Teraz nie jest lepiej niż wtedy. Można to zobaczyć na każdej ulicy nędzy, której nie opróżniono. A wiele z nich... Tamta dziewczyna chodziła całą noc w deszczu w poszukiwaniu klientów, żeby zarobić na nocleg, ale wszystko przepiła. Znów wyszła na deszcz, żeby zdobyć pieniądze. Zanim Rozpruwacz ją osaczył, przemokła do suchej nitki. Ociekała wodą od góry do dołu. Ręce mu się ześliznęły i dała nogę.

Barlowe rzucił ołówek na półkę sztalugi i wrócił do kaszalota. W ulokowanym z tyłu domu z dala od ulicznego hałasu atelier zapadła cisza. Czasem tylko rozlegało się odległe sapanie lokomotyw na moście kolejowym Battersea i zgrzytanie piórka Barlowe'a.

– Jak miała na imię? - spytał Bell.

– Emily.

Bell zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– Chyba rozumiem, dlaczego pan nigdy nie narysował jego twarzy.

– Pańskim zdaniem dlaczego, panie Bell? Chciałbym wiedzieć, bo tysiąc razy zadawałem sobie pytanie, czy mógłbym powstrzymać Rozpruwacza od zabicia Bóg wie ilu jeszcze dziewczyn, gdybym go sportretował?

– Nikt by nie uwierzył, że ten przystojny chłopiec mógłby kogoś skrzywdzić. I uznano by wręcz za nieprawdopodobne, że był klientem prostytutki.

– Fakt, bo ze swoim uśmiechem mógł mieć każdą dziewczynę w Londynie. Redaktorzy naczelni wyśmialiby mnie i pokazaliby mi drzwi.

Bell widział, że Barlowe jest mocno przygnębiony, i domyślał się dlaczego. Wysoki detektyw podszedł bliżej i utkwiał badawcze spojrzenie w oczach rysownika.

– A może bał się pan wskazać niewłaściwą osobę?

Barlowe patrzył na niego w milczeniu przez pełną minutę.

– A gdyby... - szepnął i urwał, żeby się uspokoić. - A gdyby ona w przerażeniu i panice wyobraziła sobie inną twarz? Na przykład jakiegoś chłopca, którym się zachwyciała z daleka? Albo młodego przystojnego dżentelmena... Ta twarz jest podobizną kogoś takiego, zgodzi się pan? Czysto ubranego i kompletnie nieosiągalnego? Czy uboga osoba nie może się skrycie zakochać? Ale... Co by się stało, gdyby on został rozpoznany - ten niewinny, którego twarz narysowałbym do gazet i plakatów? Gdyby motłoch nie zabił go kopniakami, to powiesiłby go na latarni.

– Nie pomyślał pan, żeby wypytać ją jeszcze raz później, kiedy ochłonie?

– Oczywiście! Oczekałem tydzień. Poszedłem tam, gdzie stale bywała, ale nie mogłem jej znaleźć. Porozmawiałem z jej znajomą. Dowiedziałem się, że Emily bała się, że Rozpruwacz wróci po nią. Była tak przerażona, że uciekła. Z Whitechapel i w ogóle z Londynu. Musiała być na wpół oszalała ze strachu. Później usłyszałem, że biedaczka jest w Angel Meadow.

– Gdzie to jest?

– W Manchesterze. I jeśli pan myśli, że Whitechapel to dno, powinien pan zobaczyć Angel Meadow. Tysiące robotniczych czynszówek zbudowanych na zbiorowej mogile nędzarzy. Dwadzieścia pięć lat temu było jeszcze gorzej. Engels, który jak pan może pamiętać, napisał *Manifest komunistyczny* i niejedno widział, nazwał to piekłem na ziemi.

– Gazety wysłały pana tam? - zapytał Bell.

– Wyklóciłem się o zlecenie. Ale pojechałem poszukać Emily.

– Znalazł ją pan?

– Bez trudu. Stała się sławna, bo przyjechała z Londynu, w tamtych czasach egzotycznego dla mieszkańców slumsów. Ludzie w Manchesterze nazwali ją Londyńską Emily.

– Przepytał ją pan?

– Na mój widok wrzasnęła i uciekła.

* * *

– Potrzebuję czegoś do Manchesteru - powiedział Bell.

Joel Wallace odryglował pięciocentymetrowe dębowe drzwi szafy z arsenałem biura terenowego.

– Do której części Manchesteru?

– Angel Meadow.

– Tamtejsi biedacy są tak przegrani, że nie sprawią panu dużego kłopotu. Ale przeciwko walczącym między sobą młodzieżowym gangom ulicznym - nazywają ich tam „bójkarzami” - polecałbym broń oddziałów desantowych naszych marines.

– Myślałem raczej o czymś do strzelania z bliska.

Bell wolał coś o krótkim zasięgu, co nie zagrażałoby niewinnym ludziom.

– To jest skuteczne z odległości czterech i pół metra - odrzekł Wallace i wręczył Bellowi dwulufowego derringera.

Bell dotąd ćwiczył ładowanie małego pistoletu pięciocentymetrowymi nabojami śrutowymi kaliber 10,5 mm, aż mógł to zrobić bez odrywania wzroku od celu.

* * *

Bell zapłacił swój rachunek hotelowy w kasie Savoyu i zamienił banknoty funtowe na lśniące monety półkoronowe w woreczku. W sklepie z używanymi ubraniami w St. Katharine Docks kupił worek marynarski z płótna żaglowego, szorstkie spodnie, drapiący wełniany podkoszulek, postrzępioną kurtkę z dziurami na łokciach, ciężkie buty - podobno od wdowy po palaczu okrętowym - kawałek liny zamiast paska i przepoconą czapkę palacza, którą dokładnie obejrzał w poszukiwaniu wszy.

Złapał dorożkę do stacji Euston i przebrał się w dworcowej toalecie. Jego kamuflaż zdał egzamin, gdy kasjer biletowy uznał bez pytania, że będzie podróżował trzecią klasą, a bagażowy, który na niego wpadł, warknął: „Z drogi, koleś”, zamiast powiedzieć: „Bardzo pana przepraszam”.

Ciągnięty przez lokomotywę 4-8-0 nowej klasy Prince of Wales pospieszny Manchester Limited ruszył gładko ze stacji. Pociąg Bella, który miał dużo przystanków po drodze, potoczył się za nim. Przyspieszał i zwalniał między pozornie niekończącymi się ciemnymi ceglanymi murami fabryk i nagle wydostał się na otwartą przestrzeń, gdzie pola wydawały się nieprawdopodobnie zielone w porównaniu z miastem. Pasły się na nich owce, a dalej na północy przecinały je wąskie kanały.

Po czterech i pół godzinach pociąg minął fabryczne kompleksy na obrzeżach Manchesteru i wjechał do przemysłowego miasta z wielkimi nowoczesnymi przędzalniami bawełny i tysiącem wysokich kominów. Okazały dworzec kolejowy, banki, giełda i pełne przepychu hotele i pałace świadczyły o zamożności dzięki produkcji ponad siedmiu miliardów trzystu milionów metrów taniej kraciastej bawełny rocznie, co czyniło „Bawelnopolis” drugim po Londynie najbogatszym miastem świata.

Bell poszedł do slumsów. Lało jak z cebra. Ostatni raz widział tak gęsty dym w Pittsburghu, gdzie niesławna tłusta „czarna mgła” powodowała ból przy oddychaniu.

* * *

Dwanaście pensów to był szyling, a dwadzieścia szylingów funt. Za piętnaście funtów takie osobistości jak earl Milton i lord Strone mogły wynająć prywatny pociąg. Tyle też wynosiła roczna pensja nauczyciela w prowincjonalnej szkole. Mordowane przez Kubę Rozpruwacza prostytutki miały nadzieję zarobić cztery pensy na nocleg pod dachem.

Półkoronówki Bella - dwa i pół szylinga - równały się trzydziestu pensom i po wąskich uliczkach i cuchnących zaułkach wokół dudniących tkalni lotem błyskawicy rozeszła się wieść: jakiś wysoki jasnowłosy marynarz daje „dwa i sześć” każdemu, kto może mu coś powiedzieć o starej kobiecie znanej jako Londyńska Emily.

Bell zorientował się po zdumionych minach mieszkańców slumsów, że wystarczyłby szyling. Praca w tkalniach trafiała się sporadycznie, zależnie od sytuacji rynkowej, i była słabo płatna. Kolejki stały na deszczu przed przytułkami, które oferowały nocleg za dzień pracy przy kruszeniu skał lub wyskubywaniu pakuł ze starych lin konopnych. Przy kuchniach z zupą Armii Zbawienia panował tłok.

Bell opisywał Londyńską Emily jako niską, chudą i siwowłosą. Nawet jeśli miałyby dopiero szesnaście lat, kiedy Kuba Rozpruwacz ją zaatakował, to z tego, co Bell widział w Angel Meadow, po dwudziestu trzech latach w tej dzielnicy nędzy dawno by się zestarzała.

Jakaś blada postać w złachanym szalu pociągnęła go za rękaw.

– Ja jestem Londyńska Emily.

19.

Bell pokręcił głową.

– Przykro mi, ale pani jest wyższa o piętnaście centymetrów, niż ona była w swoich najlepszych czasach.

Mimo to dał jej pół korony. Popęłnił błąd, którego potem już nie powtórzył. Stare kobiety zbiegły się ze wszystkich stron. Wybuchły bójki, kiedy starały się zbliżyć do niego.

Bell rzucił się do ucieczki i biegł uliczkami, dopóki ich nie zgubił. Ale wkrótce zebrały się następne.

Pomyślał, że będzie musiał wrócić innego dnia w nowym przebraniu. Nagle rozległ się ostrzegawczy krzyk:

– Bójkarze!

Kobiety się rozpierzchły.

Gangi uliczne rozpoczęły oblawę na marynarza z półkoronówkami.

Bell nie widział żadnego bobby, odkąd wszedł do slumsu, i nie spodziewał się zobaczyć jakiegoś teraz. Ruszyli ku niemu z dwóch stron. Dopiero po chwili zorientował się, że są to oddzielne grupy, które zauważyły go jednocześnie i będą walczyły o prawo ataku na niego. Wymachując kolczastymi trzonkami kilofów, niscy, chudzi, bliznowaci i wytatuowani młodzi ludzie starli się w krwawej bójce. Zwycięzcy rozpędzili pokonanych, rzucając w nich zdechłymi psami i szczurami, skopali leżących podkutymi chodakami i przypuścili szturm na Bella.

Zdażył już wygrzebać derringera z worka marynarskiego. Zaczekał, aż przywódcy zbliżą się na cztery i pół metra, przygotował się na odrzut broni i wypalił z jednej lufy. Grad ołowianego śrutu zwałił z nóg czterech pierwszych mężczyzn. Pozostali wpatrzyli się w drugą lufę i zamachnęli, żeby rzucić w Bella pałkami.

Bell strzelił z drugiej lufy i zrobił unik przed jedyną nadlatującą pałką. Złamał szybko broń, wyciągnął puste łuski, załadował nowe naboje, zatrzasnął pistolet i wycelował spokojnie.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, odskoczył do tyłu i zasłonił głowę przed ciśniętym z dachu kolejnym martwym zwierzęciem. Napastnicy zaatakowali. Bell dał ognia, cofnął się pod ścianę i znów nacisnął spust. W Nowym Jorku spodziewałby się, że wystrzelony z bliska ołowiany śrut zmusi do ucieczki najtwardszych Goferów - tak samo jak strajkujących w Colorado. Młodociani manchesterscy gangsterzy mieli mniej do stracenia i bardziej przywykli do bólu lub byli znieczuleni gorzałą. Śrut zagłębił się w ich ciała tylko na centymetr, więc natarli znowu, krwawiąc i kulejąc.

Bell spróbował załadować pistolet. Napastnik na czele zamachnął się kolczastą pałką. Z rękami zajętymi bronią i wzrokiem utkwionym w przeciwniku, Bell zaatakował. Kopnął mocno, zatrzasnął lufy, strzelił z obu i znów je załadował. Kopnięty mężczyzna wił się u jego stóp. Dwóch innych leżało na tłustym bruku, trzymało się za nogi i usiłowało wstać. Bell wycelował w pozostałych i ruszył ku nim.

Na widok jego lodowatego spojrzenia nawet najodważniejsi uciekli.

Bell przeskoczył przez drewniany płot. Miał sekundy, zanim się przegrupują.

* * *

Przedarł się przez kręte rzędy cuchnących tylnych podwórek, przeskoczył przez następny płot, ominął otwarty ściek i znalazł się w części gęsto zabudowanego slumsu, gdzie nie dotarł odgłos strzałów. A może dotarł, bo uliczka była pusta i tak cicha, że słyszał głuchy łoskot krosien, które powodowały drżenie drewnianych podłóg za wysokimi kamiennymi murami tkalni.

Stara kobieta wystawiła głowę przez okno bez szyby.

Popatrzyła na Bella, zniknęła i pojawiła się w zaułku. Zbliżyła się, wyszła na ulicę i cofnęła, niespokojna jak kot. Była drobna, miała pomarszczoną bladą skórę i siwe włosy. Bell ruszył ku niej. Rozejrzała się bojaźliwie, ale została na miejscu. Kiedy otworzyła usta, żeby się odezwać, zobaczył, że jest bezzębna. Może dlatego mówiła tak niewyraźnie, że ledwo ją rozumiał, choć bardziej prawdopodobną

przyczyną było uzależnienie od laudanum - nalewki z opium - co tłumaczyłoby też jej nerwowość.

– Co pani powiedziała?

– Londyńska Emily. Podobno daje pan dwa i sześć za Londyńską Emily. Tak słyszałam.

– Jak wszyscy w Angel Meadow.

– Ja jestem Londyńską Emily.

– To samo mówiło mi już tuzin kobiet. Dlaczego mam pani wierzyć?

– Bo wiem to, czego one nie wiedzą.

– Co takiego?

– Wiem, o co mnie pan zapyta.

Zaintrygowany, choć jeszcze nieprzekonany, Bell zachęcił:

– Niech pani mówi. O co chcę panią zapytać?

– O Kubę Rozpruwacza.

Bell pokręcił głową.

– Wszyscy wiedzą, że Londyńska Emily uciekła przed nim.

Stara kobieta podeszła bliżej do Bella.

– Nie w Manchesterze - odparła silniejszym głosem.

– Co to znaczy?

– Nikomu nie mówiłam. On by się dowiedział.

* * *

Bell postanowił subtelnie przyprzeć kobietę do muru. Wrzaśnie, kiedy jej pokaże narysowaną przez Barlowe'a twarz, która utkwiała jej w pamięci przed atakiem Rozpruwacza i pozostała na długo po tamtej przerażającej nocy? Ucieknie na widok podobizny człowieka, który o mało jej nie zabił?

Wyjął z worka marynarskiego sztywną kopertę i ostrożnie wysunął z niej portret. Londyńska Emily utkwiała wzrok w rysunku. Zesztywniała pod bezkształtnym szalem. Popatrzyła na podobiznę i uśmiechnęła się.

– Rozpoznajesz go, Emily?

Zaszeptała.

– Co mówisz? - zapytał Bell.

– Jaki on przystojny.

* * *

– Pamiętasz, gdzie go widziałaś? - ciągnął łagodnie Bell.

– Na Hanbury Street.

– Pamiętasz numer?

Starła się nie okazywać podniecenia.

Emily przytaknęła energicznie.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Co powiedział do ciebie?

– Zapytał, jak mam na imię.

Zamilkła. Bell czekał.

– Co mu odpowiedziałaś?

Popatrzyła na rysunek z półuśmiechem.

– Co mu odpowiedziałaś, kiedy zapytał cię o imię?

– Podałam mu je.

– A on?

– Powiedział: „Co za piękne imię. Pasuje do ciebie”.

– A ty?

– Podziękowałam mu.

– Co było dalej?

– Weszliśmy na podwórko za domem i złapał mnie za szyję.

Znów zaczęła się denerwować i Bell spróbował ją uspokoić.

– Naprawdę był taki przystojny?

– O, tak. Nawet bardziej.

– Emily - odezwał się łagodnie Bell - mogłaś go pomylić z innym zapamiętanym mężczyzną? Z kimś, kogo znałaś wcześniej? Albo widziałaś na ulicy?

– Kto by mógł zapomnieć taką piękną twarz?

– Rzeczywiście był taki młody?

Wzruszyła ramionami.

– Ja byłam młoda.

– Jesteś absolutnie pewna, że to był Rozpruwacz? Nie ktoś inny? Nie inny przystojny mężczyzna?

– Nikt inny.

– Mimo że widziałaś go tylko raz?

– Nie raz! Nie raz! Co pan ma na myśli? - zapytała z oburzeniem.

Bell poczuł, że traci grunt pod nogami. Spekulował. Czy Rozpruwacz znał swoją pierwszą ofiarę? Emily oczywiście nie była dziewczyną w piwnicy Scotland Yardu. Ale może jego znajomą?

– Widziałaś go wcześniej niż na Hanbury Street?

– Oczywiście.

– Pamiętasz gdzie?

– O, tak.

– Gdzie?

– U Wiltona.

– Co to jest?

– Teatr rewiowy Wiltona. Na Wellclose Square. Weszłabym, gdybym miała pieniądze albo ktoś by za mnie zapłacił.

Bell poczuł się tak, jakby czarne niebo spadło mu na głowę.

Zauroczenie młodej dziewczyny, tak jak się domyślał Wayne Barlowe. Jeśli niewyglądający anielsko dżentelmen, którego narysował, to czy jakiś przystojny aktor mógł wpaść jej w oko? Jeszcze bardziej pociągający w światłach rampy i teatralnym makijażu?

– On był aktorem?

– Nie.

– Nie?

Nadzieje Bella rozwiały się tak szybko, jak wzrosły.

– Nigdy nie pozwolili mu zagrać, z wyjątkiem jednego razu, kiedy trzymał włócznie.

– To co on robił u Wiltona?

– Wszystko. Roznosił kanapki, żeby przyciągnąć ludzi na przedstawienie. Biegał po piwo. Pewnego dnia widziałam, jak malował scenerię na tylnym podwórzu. Sprzedawał słodczyce i rozdawał programy. Czasami był pomocnikiem inspicjenta, pukał do drzwi garderób. I stał tuż przy suflerze.

Wszechstronny chłopak, pomyślał Bell. Do każdej roboty w teatrze. Ale jak blisko się znali?

– Wręczył ci program?

– Tamtego wieczoru nie mogłam wejść. Nie miałam pieniędzy. Zanim je zarobiłam, zniknął.

– Pomogłaś mu malować scenerię na podwórzu?

Emily zmarkotniała.

– Przepędził mnie.

Denerwowała się coraz bardziej, ręce jej się trzęsły.

– Ile razy widziałaś go na scenie z włócznią?

– Raz.

– Tylko raz?

Jak mogła go tak dobrze zapamiętać po jednym razie?

– I raz, kiedy trzymał latarnię.

– Więc tylko dwa razy?

– Tak.

– Ale mówiłaś, że często tam chodziłaś.

– Nie zawsze tam był.

Bell wiedział, że uzależnieni od laudanum mają halucynacje. Wtedy jej przystojny pomocnik inspicjenta stawał się kimś wielkim.

– Emily, chciałabyś zatrzymać jego portret?

– Tak, poproszę.

Bell pomógł jej wsunąć rysunek do koperty. Ukryła ją w fałdach szala.

– Gdzie mieszkasz? - zapytał.

– Daję mi wyrko w Armii Zbawienia. Pomagam w kuchni.

– Odprowadzę cię do domu - powiedział.

– Po co?

– Bo zamierzam dać ten woreczek półkoronówek dowódcy Armii, żebyś miała dobrą opiekę.

Chytry wyraz pojawił się w oczach Emily.

– Jeśli da go pan mnie, sama o siebie zadbam.

– Wolę dać go komuś, komu mogę powierzyć twoje bezpieczeństwo.

– Myśli pan, że wydam to na laudanum.

– Nie mam co do tego wątpliwości - odparł tak zdecydowanie Bell, że zakończyła temat pokornym skinieniem głowy.

Przy drzwiach kuchni wymamrotała:

– Niech pan nikomu nie powtarza, co mówiłam.

– Nie powtórzę.

– On przyjdzie po mnie.

– Bez obawy - odrzekł Bell, słysząc, jak pusto brzmią jego słowa. - Dopilnuję, żeby tak się nie stało. Jak on miał na imię, Emily?

– Jack.

– Jack? A pamiętasz nazwisko?

– Spelvin.

– Jack Spelvin, tak?

– Przystojny Jack.

20.

– Dziwne - powiedział Harry Warren, czytając raport działu badań, który Bell kazał co rano wysyłać do oddziału Nożownik.

Helen Mills, James Dashwood, Archie Abbott i paru innych detektywów w nowojorskim biurze terenowym spoza oddziału Nożownik podnieśli wzrok znad swojej pracy.

– Co?

– Kobieta z poderżniętym gardłem i pokrojona w Cleveland.

– Wygląda na robotę naszego zabójcy.

– Tyle że była brunetką i miała metr osiemdziesiąt trzy wzrostu.

– prostytutka?

– Żona bankiera.

– Półkoliste nacięcia?

– Nic tu nie ma.

– Czy Cleveland nie powinno posłać kogoś do kostnicy?

– Już to zrobili. Żadnych nacięć.

– Brzmi jak przypadek.

– Kto chce powiedzieć panu Bellowi, że to przypadek?

Milczenie zapadło - główny śledczy nie wierzył w przypadki i nie przyjmował takich wyjaśnień. Milczenie przerwał nagle James Dashwood, który przeglądał stare numery tygodnika teatralnego „The Clipper”, gdzie publikowano obsady sztuk.

– To on!

– Kto?

– Inspicjent, o którym wam mówiłem. Ten od *Jekylla i Hyde'a*. Wiedziałem, że go rozpoznałem. - Uniósł do góry „Clippera”. - Henry Young. - Wskazał rysunek kreskowy aktora, który w 1897 roku grał złoczyńcę w jakimś melodramacie.

– To nie jest list gończy.

– Zgoda, ale teraz wiem, że on pracował w pewnym zespole teatralnym w Syracuse pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Joseph Van Dorn wpadł do pokoju. Ostatni raz odezwał się z Waszyngtonu i detektywi zerwali się z miejsc.

– Kto ma jakąś wiadomość od Isaaca?

– Ja - odrzekł Archie Abbott. - Kazał Joelowi Wallace'owi wysłać do mnie telegram, żebym sprawdził lorda Strone'a. To...

– Brytyjski szpieg. Czego on chce od niego?

– Chce wiedzieć, czy Strone nadal jest w branży.

– A jest?

– Zniknął gdzieś na swoim jachcie.

– To wszystko od Isaaca?

– Zadepeszował do Marion, kiedy przyjechał do Londynu.

– Może powinniśmy ulokować jego żonę tutaj, żeby utrzymywała z nim kontakt.

Van Dorn wypadł z pokoju. Detektywi wymienili spojrzenia. Boss tracił cierpliwość do oddziału Nożownik.

Archie Abbott czekał, dopóki recepcja nie zatelefonowała, że Van Dorn zszedł na dół na późne śniadanie. Wstał szybko i zebrał swoje rzeczy.

– Do jutra.

– Idziesz do domu o dziesiątej rano?

– Mam bilety na *Jekylla i Hyde'a*. Znów to obejrzę.

– Już tego nie grają. Są na tournée. Zapomniałeś?

– Zobaczę to w Columbus.

– Jedziesz aż do Ohio, żeby obejrzeć sztukę?

– Lillian zaprosiła Marion Bell. Marion nie zdążyła zobaczyć tego w Nowym Jorku i tęskni za Isaakiem, więc zabieramy ją ze sobą.

– Mimo wszystko to daleko, żeby obejrzeć sztukę.

– Mój teść pożycza nam swój pociąg.

Detektywi, którzy przyjeżdżali do pracy tramwajami, przewrócili oczami.

– W ten sposób zdążymy na podniesienie kurtyny - wytłumaczył beztrąsko Abbott. - A w drodze powrotnej położymy się spać.

– Że też nie przyszło mi do głowy, żeby ze wszystkich dziewczyn, z którymi mogłem się ożenić, wybrać córkę właściciela kolei - powiedział Harry Warren.

– Wielu kolei.

* * *

Marion Morgan Bell trzymała się krok z tyłu, gdy Lillian i Archie szli środkowym przejściem. Publiczność wyciągała szyje, żeby zobaczyć słynącą z urody dziedziczkę imperium kolejowego i mężczyznę z czterystuosobowej nowojorskiej elity, który był najbardziej pożądanym kawalerem, zanim zakochał się w niej. Jak ujął to Isaac, „dla detektywa nie ma lepszego kamuflażu, niż dobrze ożeniony salonowiec”.

Usiedli ostatni. Orkiestra zaczęła grać, kurtyna poszła w górę i odsłoniła współczesne, widne i przestronne mieszkanie w nowojorskim drapaczu chmur, które przykuło uwagę wszystkich kobiet z Columbus na widowni. Akcja toczyła się wartko i gdy w mieszkaniu zapadła nocna ciemność, żeby mógł wejść pan Hyde, nowoczesny apartament wydał się złowieszczy. Czarny charakter był tak przekonująco zły, że nie sposób było rozpoznać, czy gra go Barrett, czy Buchanan.

Dopiero kiedy kobiety zaczęły robić gwałtowne wdechy i krzyczeć, Marion uświadomiła sobie, że sztuka nie wciąga jej tak jak reszty widowni. Zerknęła na Lillian, odważną i opanowaną młodą kobietę. Lillian wyglądała na przerażoną. Nawet Archie, który już widział spektakl, wydawał się tak skupiony, że Marion prawie się spodziewała, że wyciągnie pistolet, żeby je bronić.

Gdy sztuka trwała dalej, gdy wielki samolot pojawił się nad sceną, gdy Hyde wskoczył na dach wagonu pędzącego metra, gdy zachwycająca Isabella Cook ledwo uniknęła śmierci - na co niejedną mężczyzną zerwał

się z miejsca, żeby jej pomóc - Marion zastanawiała się, dlaczego nie jest pod takim wrażeniem jak inni. Odpowiedź była prosta: nie dlatego, że przedstawienie nie było znakomite. Tak podziwiała wszystko, co oddziaływało na publiczność, że koncentrowała się na technicznych szczegółach i myślała o tym, jak mogłaby odtworzyć i ulepszyć te efekty w filmie.

Spektakl skończył się owacją na stojąco, okrzykami i wiwatami.

– Chodźmy za kulisy spotkać się z aktorami - zaproponowała Lillian.

– Ja nie idę - odrzekła Marion.

– Dlaczego?

– Chcę ich widzieć takich, jakich ich oglądałam.

Lillian zrobiła nadąsaną minę, ale zaraz się uśmiechnęła. Były sobie bardzo bliskie i Marion czasami odgrywała rolę starszej siostry.

– Wiem, o co ci chodzi. Masz rację. Zapamiętajmy ich takich, jakich ich widziałyśmy.

– Czuję, że Marion ma jakiś plan - wtrącił się Archie.

Marion ścisnęła w dłoni program.

– Zamierzam zrobić film z *Jekylla i Hyde'a* Barretta i Buchanana.

* * *

Bell wrócił do Londynu pociągiem London & North Western, zabrał swoje ubranie z przechowalni bagażu na stacji Euston i przebrał się w toalecie. Potem zadzwonił do Joela Wallace'a z kabiny telefonicznej. Wybrał ostatnią w rzędzie z szybami ze rżniętego szkła i widokiem na halę dworcową.

– Jak poszło w Manchesterze? - zapytał Wallace.

– Odkryłem, dlaczego nienawidzą się nawzajem. Poza tym, fiasko. Tamta biedna dziewczyna zakochała się w przystojnym pracowniku teatru, który mógł albo nie mógł być jej niedoszłym zabójcą. Zapamiętała jego... Są jakieś depesze z Nowego Jorku?

– Jedna gniewna od Bossa.

– Następne żądanie natychmiastowego meldunku?

– Zgadza się.

– Co mówi dział badań?

– Nie ma nowych zwłok, odkąd pan wypłynął. Z wyjątkiem pewnej wysokiej brunetki, która ich zdaniem się nie liczy.

– Zaginione dziewczyny?

– Chicago, Pittsburgh, Columbus.

Na rozkaz Bella chłopcy Grady'ego Forrera co dzień żądali od biur terenowych meldunków o zaginionych dziewczynach, które przypominały drobne jasnowłose ofiary morderstw.

– Na zachodzie nic?

– Nic, o czym byśmy nie słyszeli wcześniej.

Bell zastanowił się nad tym meldunkiem. Zaginione dziewczyny, żadnych ciał. Młode kobiety znikwały z wielu powodów. Ale temu zabójcy często udawało się ukryć zwłoki.

– Byłeś kiedyś w teatrze rewiowym Wiltona?

– W Whitechapel? Nie, metodyści przejęli go na misję dwadzieścia lat temu. A dlaczego?

– Tak mi przyszło do głowy. Słyszałeś kiedykolwiek o facecie z tamtego teatru nazwiskiem Jack Spelvin?

– Ze sceny?

– Mógł robić wszystko, być każdym, nawet scenografem, reżyserem, aktorem, dyrektorem...

– Tutaj, w Londynie, nie słyszałem. W kraju chyba tak, ale o George'u Spelvinie, nie o Jacku. A dlaczego?

– Był miłością Emily - odrzekł Bell, zaprzątnięty obserwacją przechodzących przez halę dworcową pasażerów. - Co wiadomo o lordzie Stronie?

– Wypadł z branży - odpowiedział Wallace. - Biuro Tajnej Służby wylało go.

– Wiesz to na pewno?

– Na tyle, na ile można wiedzieć coś na pewno o szpiegach. Zadepeszowałem do faceta, na którym mogę polegać, żeby to potwierdził. Odtelegrafował, że Strone wędkuje na Florydzie.

– Zajmiemy się tym - powiedział Bell. - Ciebie czeka inne zadanie.

– Kiedy?

– Teraz. Natychmiast.

* * *

Bell zjechał windą głęboko pod ziemię, wsiadł do metra, przejechał kilka stacji na wschód i wrócił na powierzchnię w Moorgate. Mżawka mieszała się z dymem węglowym, widoczność nie przekraczała piętnastu metrów. Poszedł na East End i na Bishopsgate, ruchliwą ulicę handlową, zatłoczoną wozami i piętrowymi tramwajami konnymi, które przejeżdżały przez Whitechapel, dzielnicę, gdzie kiedyś siał postrach Kuba Rozpruwacz.

W kinie Electric grali western *Jeźdźcy z prerii* z Tomem Miksem.

Bell kupił bilet. Kino mieściło ponad sto osób i zostało wybudowane tak niedawno, że czuł zapach farby. Znalazł miejsce w tylnym rzędzie. Przed westernem wyświetlono kronikę filmową wytwórni Świat Obrazów. Pokazywała pogrzeb „Starego Króla Teddy’ego” - Edwarda VII - w Londynie. Bell uśmiechnął się z zachwytem. Nie mógł się doczekać, kiedy powie Marion, że nakręcona przez nią okrągły rok temu kronika - stusześcdziesięciometrowy film reportażowy, jak to nazywali ludzie kina - wciąż jest wyświetlany.

Mężczyzna w meloniku i długim czarnym płaszczu wszedł z holu za zasłoną i zajął jedno miejsce w bok od Bella w rzędzie przed nim. W migotliwym świetle z ekranu Bell zauważył, że jest po trzydziestce i nienagannie ubrany. Wkroczył wyprostowany jak struna i podobnie sztywno siedział. Ani melonik, ani laska, ani cywilny płaszcz nie mogły zamaskować wieloletniego wojskowego.

Bell pochylił się do przodu i szepnął mu do ucha:

– Moja żona zrobiła ten film.

– Mówi pan do mnie?

Lodowaty ton mężczyzny był równie wyniosły, jak jego postawa.

– Dlaczego śledził mnie pan od stacji Euston?

– Słucham?

– Obaj złapaliśmy metro do Moorgate. Potem poszliśmy ulicami London Wall, Broad, Liverpool i Bishopsgate. Mogliśmy pójść London Wall prosto do Wormwood i Bishopsgate, ale chciałem być absolutnie pewien, że to znów pan, zanim walnę pana w nos.

21.

Ogon zerwał się z miejsca i wybiegł z sali kinowej.

Bell popędził za nim.

Z połami płaszcza trzepoczącymi jak skrzydła przestraszonej wrony, ogon wypadł z holu na ulicę. Przepchnął się przez blokujących chodnik pieszych i wbiegł na jezdnię między ciężarówkę i wozy konne, które toczyły się wolno Bishopsgate High Street. Bell już go doganiał, gdy tęgi mężczyzna w tweedowym płaszczu i robotniczej czapce podstawiał mu nogę w znoszonym sznurowanym bucie. Bell się potknął, przewrócił na bruk i przetoczył przez ramię między opasane żelaznymi obręczami koła ogromnego wozu z sianem, który wiozł paszę do stajni koni tramwajowych.

Usłyszał ostrzegawcze krzyki. Ruch się zatrzymał. Ludzie sięgnęli pod wóz i pomogli mu wstać. Rozejrzał się, zdezorientowany, podniósł kapelusz i zapewnił przechodniów, że nic mu się nie stało. Nie zobaczył ani ogona, ani jego pomagiera, który go podciął. Ale szerokie plecy prowadzącego pościg detektywa Joela Wallace'a zniknęły w uliczce na drugim końcu Whitechapel.

Bell pobiegł za Wallace'em, który gonił mężczyznę w meloniku. Facet w tweedzie uciekł wcześniej w głąb Bishopsgate, nie oglądając się za siebie. Vandornowiec został ze swoim szefem, kiedy ścigany omijał nędznie ubrane tłumy na brukowanych ulicach, gdzie wały się strzępy papieru i końskie łajno. Bell dopędził Wallace'a, gdy ten się zatrzymał za wozem z zepsutym kołem, który tarasował chodnik.

– Akrobata z pana - rzucił przez ramię Wallace ze wzrokiem utkwionym w uliczkę. - Przez chwilę myślałem, że już po panu.

– Uciekłem kiedyś z cyrkiem... Gdzie on jest?

– Dał nura do tamtej piwiarni. Mamy przed sobą jej tylne drzwi. Powinien zaraz wyjść.

Mżawka zmieniła się nagle w zimny deszcz, który lunął z ciemnego skrawka dziennego nieba między domami.

– Jest! Nie, to nie on... Zaraz, kto to jest?

– Spec od szybkich przebrań - odrzekł Bell. - Włożył płaszcz na lewą stronę.

Ich ofiara wyłoniła się z uliczki w czymś o wyglądzie jasnego płóciennego płaszcza przeciwdeszczowego. Mężczyzna się rozejrzał i oddalił szybko.

– Muszę taki mieć - szepnął Wallace.

Ruszyli za ogonem przez Whitechapel. Raz jeden szedł z przodu, raz drugi, i kilka razy zamienili się kapeluszami. Bellowi przyszło do głowy, że Kuba Rozpruwacz nie nosiłby ubrania dżentelmena, kiedy grasował po tych ulicach. Na pewno nie po pierwszym zabójstwie. Nawet w towarzystwie prostytutek za bardzo by się wyróżniał. Musiał się wtapiać w otoczenie biedaków. A może miał taki dwustronny płaszcz, jak ogon, tylko złachany?

– Zauważył nas! - powiedział Bell.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię w złym momencie i zobaczył, jak Wallace biegnie do drzwi. Rzucił się do ucieczki.

– Brać go!

To tyle, jeśli chodzi o śledzenie go do jego mocodawcy. Zamiast tego, będą musieli go przesłuchać.

Jak na ironię, dogonili go na Hanbury Street, gdzie wprawdzie nie skręcił na podwórze pod numerem 29, ale blisko. Bell go dopadł i złapał za płócienny kołnierz.

– Wypraszam sobie. Co pan wyprawia?

- Przesłuchuję pana.
- Wie pan, kim jestem?
- Będę wiedział, jak skończę.
- Jestem policjantem.

– Nie - zaprzeczył Bell. - Policjanci pracują na zmiany. Zastępują się wzajemnie. A pan chodzi za mną na okrągło. Śledził mnie pan w Londynie i w Manchesterze. Nie poszedł pan za mną tylko do Angel Meadow, gdzie mógłbym skorzystać z czyjejs pomocy. Teraz znów chodzi pan za mną w Londynie. Cały czas sam. Czyli jest pan wolnym strzelcem. Jeśli tak, to chcę wiedzieć, kto panu płaci. Jeśli pan pracuje dla wywiadu wojskowego, to chcę wiedzieć, dlaczego, do diabła, śledzi pan amerykańskiego obywatela, który prowadzi legalne interesy?

Bell uniósł go dwa centymetry nad ziemię i potrząsnął nim mocno.

- Więc co?
- Mógłbym kazać pana zastrzelić!

Bell opuścił go w błoto, cofnął jedną rękę i wyjął derringera.

- Jestem lepiej przygotowany do strzelania.

Dał mu popatrzeć w obie lufy o średnicy ponad dziesięciu milimetrów.

- Kim pan jest?

Mężczyzna spuścił wzrok.

- Wolnym strzelcem.

Prawie na pewno skłamał, ale Bell ciągnął dalej.

- Dla kogo pan pracuje?
- Dla wywiadu wojskowego.

Bell spojrzał na niego surowo.

- To śmieszne. Nie mam nic wspólnego z wywiadem wojskowym.
- Spodziewałem się, że pan temu zaprzeczy.
- Że czemu zaprzeczę?
- Wiemy, kim pan jest.

Bell ścisnął go mocniej i popchnął na kamienny mur. Przystawił mu lufy do policzka.

– To kim jestem?

– Wiemy, kim pan jest, panie Isaacu Bell. Tylko nie wiemy, dla kogo pan szpieguje. Dla Stanów Zjednoczonych, Niemiec, czy jedno i drugie?

Bell nagle zrozumiał. Strzelił palcami.

– Abbington-Westlake.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy, ale natychmiast się opanował i spróbował rozpaczliwie naprawić swój błąd.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

– Niech pan powie tamtemu podstępnemu szczurowi, że wiem, że jest pańskim szefem - odparł Bell i odszedł.

* * *

Wallace potruchtał za nim.

– Kto to, do diabła, był?

– Nasłał go komandor Abbington-Westlake, Admiralicja Brytyjska, Wywiad Marynarki Wojennej, Wydział Zagraniczny.

– Wymyślne nazwisko dla szpiega Królewskiej Marynarki Wojennej. Mówiłem panu, że chodzi o drednoty.

– Przyłapałem go, jak fotografował kodakiem nasze w Brooklyńskiej Stoczni Marynarki Wojennej. W tysiąc dziewięćset ósmym.

– I co pan z nim zrobił?

– Zagroziłem mu, że zrzucę go z Mostu Brooklyńskiego, jeśli spróbuje tego jeszcze raz. Okazał się bardzo pomocny. - Bell pokręcił głową. - Jest jednym z tych, co zachowują się jak wyniosłe staruchy sprzed ich epoki. Ale pod tą maską kryje się niezły spryciarz. Powinienem od razu się domyślić, że to on. Tylko nie przypuszczałem, że ten bystrzak popełni taki głupi błąd.

– Mówię, że szpiegdy nikomu nie ufają.

Bell się zastanowił.

– Rzecz w tym, że on jest wtajemniczony... Jeśli ktoś wie, czego Yard mi nie powie o Rozpruwaczu, to właśnie Abbington-Westlake.

– Będzie rozmawiał z panem?

– O ile uzna, że mu się to opłaci.

– Co pan mu może zaoferować?

Bell rozważał to przez pełną minutę.

– Jest nam potrzebny Niemiec.

– Skąd go weźmiemy? - zapytał Wallace.

– Ja się tym zajmę. Ty się dowiesz, w którym ze swoich londyńskich klubów Abbington-Westlake będzie jutro jadł lunch. Zdążysz do północy?

Wallace przytaknął.

– Na bank.

– Zameldujesz się u mnie w Lincoln's Inn Fields.

– O północy?

– Będziesz mi potrzebny jako czujka.

– Kogo będę wypatrywał?

– Gliniarzy.

– Dlaczego?

– Bo ani mnie, ani tobie nie wyszłoby na dobre, gdyby konstable policji metropolitalnej zaaresztowali głównego śledczego Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Za co?

– Za włamanie.

– Faktycznie, to prawda - zgodził się Wallace, ale zamrugał oczami jak ktoś, komu kręci się w głowie. - Mogę spytać, gdzie zamierza się pan włamać?

– Do Muzeum Ślusarstwa.

22.

O siódmej wieczorem bar w klubie Garrick opustoszał, gdy aktorzy pospieszyli do teatrów na West Endzie, żeby się przebrać do spektakli. Kilku pozostałych na miejscu sączyło wolno swoje drinki z nadzieją, że zanim je dopiją, ktoś bogaty postawi im następną kolejkę.

Oczywistym kandydatem był wysoki, sympatyczny Amerykanin w drogim białym garniturze. Barman zdradził członkom, że to gość, który pokazał list polecający z The Players, partnerskiego klubu aktorów i pisarzy w Nowym Jorku.

Niestety, gość stawiał już kolejną whiskey Jamesowi Mapesowi, przystojnemu odtwórcy głównych ról męskich ze wspaniałą grzywą falistych, przyprószonych siwizną włosów, które kiedyś mogły być tak złociste, jak Bella. Mimo swojego wieku Mapes wciąż robił duże wrażenie. Tylko jego wystrzępione mankiety wskazywały, że odmawia grania ról charakterystycznych dłużej, niż powinien.

– Krytycy nazywają mnie „lekkomyślnym” - powiedział do Bella. - „Nieracjonalnym”. Granger - najokrutniejszy z tamtych pismaków - nabazgrał o moim *Hrabim Monte Christo*, zacytuję z pamięci: „Mapes powinien się przerwucić na role charakterystyczne jeszcze za panowania królowej Wiktorii”.

– Dlaczego krytycy piszą takie rzeczy? - zapytał współczująco Bell.

– Bo mają rację! Kto chce oglądać weterana w scenie miłosnej z dzielątką?

– Połowa mężczyzn na widowni.

Mapes się roześmiał.

– Bardzo pan uprzejmy, Bell. I szczodry.

Spojrzał na resztkę zawartości swojej szklanki.

– Jeszcze po jednej? - spytał Bell. - Bez obaw, to na koszt firmy.

– W takim razie dziękuję panu i firmie.

Bell pokazał barmanowi, żeby znów nalał dwie podwójne.

- Na zdrowie! Grał pan kiedykolwiek Niemca, panie Mapes?
- Wieki temu. Kiedy byłem jeszcze za młody do głównych ról.
- Jakich Niemców pan grał?
- Złoczyńców. Zbirów. Są inni Niemcy?

Wzięli swoje drinki i poszli przez elegancki klub z olejnymi portretami żyjących i zmarłych członków w sławnych rolach, z kostiumami i rekwizytami. Bell wskazał puste miejsce na ścianie.

– Może czeka na pana?

– Raczej na mojego przyjaciela Vietora. Wzbudza sensację w *Alias Jimmy Valentine*.

– W opowiadaniu O. Henry'ego o kasiarzu. Widzieliśmy to z żoną na Broadwayu.

– Co pan myślał o granym przez Vietora nawróconym przestępcy?

– Uważałem, że Jimmy Valentine zamierzał być uczciwy. Choć znałem to opowiadanie, obawiałem się o jego los.

– Vietor poprosił mnie, żebym go przygotował do tej roli - powiedział Mapes. - Walka z ciemną stroną jego charakteru była jak wrywanie zębów. Teraz jest na tournée po waszych miastach i szybko robi pieniądze. Nadzieja dla nas wszystkich! Kiedy widziałem go ostatni raz w Nowym Jorku, wycyganiał drinki w Waldorf-Astorii. Teraz jest gotów wrócić do Anglii bogaty i sławny.

W porządnie urządzonej bibliotece Bell znalazł prywatność, której szukał. Spędził tu wcześniej godzinę na przeglądaniu starych programów, ale nie miał szczęścia natrafić na żaden z teatru rewiowego Wiltona.

– Zna pan kogoś w teatrze o nazwisku Jack Spelvin?

– Nie.

– Pracował u Wiltona w latach osiemdziesiątych.

– Na pewno nie chodzi panu o George'a Spelvina?

– O Jacka.

Bell się zastanawiał, czy Emily mogła pomylić imię chłopaka, w którym się kochała. Wydawało się to mało prawdopodobne.

– Znał pan George'a Spelvina?

– Nie ma nikogo takiego. To pseudonim, *nom de guerre*, używany przez nas, kiedy nie chcemy, żeby publiczność wiedziała, że jesteśmy na scenie. Bardziej powszechny w Ameryce.

– A w Londynie?

– Czasami się zdarza. Język ewoluuje; aktorzy, którzy mają tournée za oceanem, w końcu zaczynają mówić prawie takim samym angielskim, jak tam. Tutaj częściej afiszujemy się jako Walter Plinge niż jako George Spelvin.

– Ale nie Jack?

– Nigdy nie słyszałem o Jacku Spelvinie.

Bell musiał się zastanowić. Rozpruwacz lubił swoje gierki. Może wybranek Emily rzeczywiście był tym mężczyzną, który usiłował ją zabić, mordercą z poczuciem humoru.

– O ile wiem - powiedział Bell - on był człowiekiem do wszystkiego.

– Doskonałe zajęcie dla praktykanta, który chce występować na scenie - odrzekł Mapes. - Pomocnik inspicjenta, sufler, statysta, i dalej w górę. Albo jeśli odkryje, że ma głowę do interesów, przenosi się na front budynku - sprzedaje pamiątkowe programy, wypożycza lornetki, pomaga w kasie biletowej. Do tej pory Jack Spelvin mógł się już dorobić własnego teatru, ale może pan być pewien, że zmieniłby nazwisko.

Mapes zajrzał ze smutkiem do swojej znów pustej szklanki i Bell uświadomił sobie, że lepiej przejść do rzeczy, zanim popłynie więcej whiskey.

– Panie Mapes, mam zaszczyt zaproponować panu pracę. Tylko na jedną noc, ale za równowartość miesięcznego wynagrodzenia na West Endzie.

– Mogę założyć, że łącznie z garderobą?

– Mój krawiec dobierze panu taki garnitur, koszule, krawaty, kapelusz i płaszcz, w jakich postanowi pan wystąpić. Oczywiście zatrzyma pan to wszystko.

– A bilety kolejowe?

– To będzie tutaj, w Londynie. Pojedziemy dorożką.

Bell nie wspomniał, że cała scena prawdopodobnie rozegra się w dorożce.

– Dlaczego ja?

– Ta rola wymaga charyzmatycznego aktora z nerwami ze stali.

Mapes się zastanowił.

– Nerwy ze stali oznaczają ewentualność niebezpieczeństwa.

Bell spojrział mu w oczy i aktor zauważył, że rysy sympatycznego Amerykanina wyraźnie stwardniały.

– Zapewniam, że cały czas będę pana widział.

– Kiedy kurtyna pójdzie w górę?

– Rano będzie pan zajęty z moim krawcem. Kurtyna pójdzie w górę jutro o ósmej wieczorem.

* * *

– Pamiętasz Nellie Bly? - zapytał Nożownik.

Dziewczyna o imieniu Dorothy milczała.

– Tę sławną dziennikarkę... Nie?

Dorothy leżała na wznak obok pustej stalowej beczki po oleju w magazynie rafinerii w Cleveland. Była owinięta od stóp do głów jego peleryną. Jej twarz zostawił odkrytą. Otworzyła niebieskie oczy i popatrzyła w niebo, którego już nigdy nie miała zobaczyć.

– Co ja mówię? Nellie Bly była sławna, zanim się urodziłaś.

Znów zerknął na dziewczynę. Nadal milczała i patrzyła w górę.

– Nellie... Piękna dziewczyna. Szalenie odważna. Kiedyś dała się zamknąć w zakładzie dla obłąkanych, żeby zrelacjonować, jak tam jest.

Napisała o tym książkę: *Dziesięć dni w domu wariatów*. Zawsze byłem ciekaw, czy się bała, że jej redaktor naczelny zapomni ją wydostać. A gdyby tak wypadł z pociągu albo zginął w pożarze, kiedy jeszcze była zamknięta? Ale pytam dlatego, że Nellie została bogatą kobietą interesu. I nie tylko to, również wynalazczynią. To ona wymyśliła ten zadziwiający nowy rodzaj beczki.

Klepnął stalową beczkę i rozległ się melodyjny dźwięk.

– Tak jest - łatwą do uszczelnienia dwustulitrową beczkę do oleju, która nigdy nie spróchnieje ani nie będzie przeciekała i jest dość mocna, żeby ją załadować na statek i wagon kolejowy i przetransportować do każdego miejsca na świecie. John D. Rockefeller jest jej dozgonnym dłużnikiem. I ja też. Za następną „zbrodnię doskonałą”.

Wziął Dorothy na ręce i opuścił ją do beczki. Zamknął pokrywę i uszczelnił ją prostym kluczem maszynowym.

– Widzisz, Dorothy? Załatwione.

* * *

Zegary w Londynie wybijały północ.

Naprzeciwko ogrodzonych parkanem z kutego żelaza trawników Lincoln's Inn - po drugiej stronie ulicy - w oknach na wszystkich piętrach Muzeum Ślusarstwa było ciemno. Światło paliło się tylko w mieszkaniu na strychu, co upewniło Bella, że tak jak przypuszczał, o tej porze żaden portier nie pilnuje drzwi wejściowych. Jeśli mieszkał w służbówce w piwnicy, to poszedł spać, bo w wejściu pod frontowymi schodami było ciemno.

Ale światło w oknie na strychu wskazywało, że Nigel Roberts jest w domu i albo nie śpi, albo - daj Boże - zasnął przy czytaniu w łóżku.

Bell wbiegł po stopniach od frontu i udał, że puka do drzwi. Drugą rękę trzymał na wysokości pasa i badał zamek, najpierw napinaczem, a potem wytrychem. Zaczekał, rozejrzał się i znów udał, że puka. Po drugiej stronie ulicy były tylko ogrody, więc nikt nie mógł go zobaczyć z żadnego okna.

Mimo to odegrał zawiedzionego, zszedł wolno po schodach i skręcił za róg w Gate Street.

Joel Wallace czekał w dwukołowej dorożce. Woźnica, usadowiony wysoko za kabiną pasażerską, służył kiedyś w Królewskiej Piechocie Morskiej i regularnie jeździł dla biura terenowego Van Dorna. Jego koń pożywiał się z worka na obrok.

– Co z zamkiem?

– Nowiutki yale.

Wallace jęknął.

– Dlaczego po prostu nie pożyczysz pan pułapki na złodzieja? Założę się, że Roberts wynająłby ją panu.

– Na pewno chętnie by pomógł - zgodził się Bell. - Ale gdyby coś poszło nie tak, straciłby pracę. I mieszkanie. - Wyjął zegarek. - Czas. U mnie jest dziesięć po dwunastej.

Wallace przestawił swój dwadzieścia sekund do przodu.

– Dwunasta dziesięć.

– Skręć dorożką za róg piętnaście po.

– Nie zdąży pan sforsować yale i wynieść tamtej kasety pancерnej w pięć minut.

– Jeśli nie, to jakiś bobby będzie się zastanawiał, dlaczego kręcę się o północy przy frontowych schodach muzeum. - Wyskoczył z dorożki. - Pięć minut. Przekażę ci kasetę od strony ogrodu. Nie zatrzymuj się. Spotkamy się w biurze.

Bell wbiegł za róg i po stopniach. Zamek był standardowy, z sześcioma bolcami, nowy i dobrze wykonany, zapewne przez jakąś angielską firmę na licencji spółki Yale. Wsunął ponownie napinacz, nacisnął go lekko i pomanipulował wytrychem. Natrafił na najbardziej wystający ze swojego otworu bolec, pierwszy do podważenia. Uniósł go, co umożliwiło mu lekkie obrócenie bębena napinaczem. Potem wyczuł następny bolec, przeznaczony do najmocniejszego ryglowania przez obrót bębena.

Usłyszał kroki na trotuarze, miarowy chód dużego mężczyzny w ciężkich butach. O tej godzinie w tej zamożnej dzielnicy oznaczało to konstabla na patrolu.

23.

Bell stał prosto i dalej manipulował wytrychami na wysokości pasa.

Uniósł trzeci bolec i czwarty. Zostały dwa. Ale piąty i szósty stawiały opór. W pośpiechu, żeby zdążyć odryglować drzwi, zanim hobby dojdzie do schodów, za bardzo obrócił napinacz. Cofnął go lekko, pomodlił się, uniósł jeden bolec i miał pokonane wszystkie blokady bębena, z wyjątkiem ostatniej. Kroki rozległy się za nim.

– Dobry wieczór panu.

Władczy ton konstabla wymagał natychmiastowej reakcji. Brak należnego dobrze ubranemu dżentelmenowi szacunku sugerował, że włamywacz z olejem w głowie włożyłby na siebie coś, w czym nie różniłby się od mieszkańców tej dzielnicy.

Szósty i ostatni bolec nie chciał ustąpić.

– Dobry wieczór, konstablu - rzucił przez ramię Bell, zasłaniając ręce tułowiem.

– Ma pan tu jakąś sprawę?

– Nie.

– To co pan tu robi?

Szósty bolec w końcu dał się unieść. Bell zwiększył nacisk na napinacz i yale się otworzył. Ukrył w dłoni wytrychy, obrócił gałkę drzwi i stanął twarzą do konstabla.

– Jestem gościem.

– Późna godzina na wizytę w ciemnym domu.

– Zostaję na noc - odrzekł Bell. - Brytyjskie Muzeum Ślusarstwa ma nadzieję kupić kolekcję mojego ojca. Ulokowali mnie w apartamencie dyrektora.

Wszedł do holu.

– Jadłem późną kolację w moim klubie, więc pożyczyci mi klucz.
Dobranoc, konstablu.

– Dobranoc panu.

Kiedy policjant zaszalutował, Bell zamknął drzwi, zaryglował je i przeszedł cicho przez hol. Salę wystawową oświetlał słabo blask latarni ulicznej, który przenikał przez zasłony. Kierując się w stronę odbić światła od szklanej gabloty, Bell poszedł prosto do niemieckiego pasa cnoty.

Kaseta pancerna z pułapką na złodzieja stała obok niego. Zamknął ostrożnie wieko, schował klucz do kieszeni i wziął ciężką skrzynkę pod pachę. Odczekał pełne dwie minuty, podszedł do okna od frontu i wyjrzał na ulicę.

Nie zobaczył konstabla.

Dorożka z Wallace'em wyjechała szybko zza rogu. Bell nie miał innego wyjścia, niż wymknąć się przez drzwi z nadzieją, że konstabl się oddalił. Zamknął je za sobą i zbiegł po schodach. Przeciął ulicę, dał się wyprzedzić dorożce i wręczył kasetę pancerną Wallace'owi.

– Dokąd poszedł konstabl?

Wallace pokazał.

Bell ruszył w przeciwnym kierunku.

* * *

– I wtedy ten Francuz mówi do mnie...

Komandor Abbington-Westlake rozprawiał wśród hałasu przy długim stole dla członków w klubie Savile w Mayfair. Butelka wina stała przy każdym z tuzina jedzących lunch mężczyzn. Kiedy w którejś pokazywało się dno, kelner w białej marynarce zamieniał ją na pełną z prywatnego zapasu członka.

Utworzony przez bogatych pisarzy i artystów i mieszczący się teraz w ładnym domu na Picadilly, Savile szczylił się tym, że nie jest w nim sztywno. Zaskoczyłoby to wielu tych, którzy dali się nabrać na

pompacyjność komandora Abbingtona-Westlakea, co dowodziło, że wyniosłość jest dla szpiega równie dobrym kamuflażem, jak udawanie pijaka.

– Więc ten Francuz mówi do mnie: „nauczyłem się dość o was, Anglikach, by wiedzieć, że gdy jakiś dżentelmen zwraca się do kogoś »sir«, to ten ktoś jest w poważnych tarapatach”.

Urwał, spojrzał znacząco w lewo i w prawo, i uniósł krzaczastą brew.

– A ja mu na to: „nie myli się pan, sir”.

W jadalni rozległ się śmiech i wołania o pełne butelki.

Po lunchu poszedł z innymi na cygaro i wparował do baru z okrzykiem:

– Bardzo dużą brandy, dobry człowieku!

– Dwie - wtrącił się Bell, wychodząc z ciemnego kąta. - Komandor stawia.

Abbington-Westlake ukrył zaskoczenie.

– Jak pan tu, do diabła, wszedł, Bell?

– Pokazałem list polecający z klubu Yale w Nowym Jorku i zostałem gościnnie powitany.

– Wszędzie coraz niższy poziom.

– Zwłaszcza umiejętności śledzących.

– Dobrze! - odparł Abbington-Westlake. Po lunchu bar był zatłoczony palaczami cygar. - Może powinniśmy...

– Znaleźć ciche miejsce, żeby mi pan wyjaśnił, dlaczego kazał mnie pan śledzić? - spytał Bell.

– Powiedziałem, „dobrze!”

Za klubem był ogródek. Usiedli tam i zapalili.

– Dlaczego nachodzi mnie pan w moim klubie? - zapytał z urazą Abbington-Westlake. - Tak się nie robi, Bell. Nie podczas lunchu. Czego pan chce?

– Poza tym, żeby odwołał pan swoich ludzi?

– Już ich nie ma. Czego pan chce?

– Powiedziałem panu lata temu, że pod maską błyskotliwego, wyniosłego człowieka z wyższych sfer o ciętym języku ukrywa pan wyjątkowo dużą wiedzę o swoich kolegach szpiegach - odrzekł Bell.

– Rywalach - sprostował Abbington-Westlake. - Nie kolegach.

– Więc co panu nasunęło ten absurdalny wniosek, że szpieguję dla Stanów Zjednoczonych?

– Albo jako wolny strzelec dla służby wywiadowczej niemieckiego kajzera Wilhelma - odparował Abbington-Westlake. - Dziwi się pan, że jestem podejrzliwy w tych niebezpiecznych czasach? Dlaczego Agencja Detektywistyczna Van Dorn nie miałyby się zajmować szpiegostwem? Pinkertonowcy szpiegowali dla waszego prezydenta Lincolna.

– Niech pan mnie nie obraża porównywaniem vandornowców z pinkertonowcami - odparł lodowato Bell. - Nie jesteśmy firmowymi gliniarzami i łamistrstkami. Ani szpiegami.

– Bell, Anglia stoi w obliczu wojny. Hun się zbroi. Buduje drednoty szybciej niż my. Dlaczego nie miałbym się spodziewać najgorszego?

– Czemu pan po prostu nie spytał, co robię?

– A przyznałby się pan?

– Oczywiście. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Po jakiej stronie? Wasz rząd jest irytująco neutralny.

– Stany Zjednoczone trzymają się z daleka od konfliktów w Europie. Ale jak zajdzie taka konieczność, wystąpimy przeciwko tyranom. Imperium Brytyjskie jest zachłanne, ale król Anglii nie jest tyranem. Jest nim rosyjski car. I niemiecki kajzer.

– Więc niech pan mi zdradzi, co pan robi w Londynie. I niech pan mi oszczędzi bajeczki o Kubie Rozpruwaczu. To panu nie przystoi, naprawdę, Bell.

– Zrobię coś lepszego. Zamiast mówić, pokażę panu.

– Co?

– Kogoś, kogo znalazłem.

– Kto to jest?

– Niemiec, który chce sprzedać pewną tajemnicę.

– Jaką?

– Nowe urządzenie celownicze.

Spojrzenie Abbingtona-Westlake'a stało się tak nieprzeniknione, jak Bell się spodziewał.

Zasięg i szybkostrzelność artylerii okrętowej stale rosły, więc drednoty potrzebowały radykalnie ulepszonych metod celowania ze swoich wielkich dział.

– Dlaczego miałby się pan podzielić ze mną takim skarbem?

– Bo Londyn ma lepsze położenie, żeby coś z nim zrobić. A nie wątpię, że po dżentelmeńsku podzielicie się tym z nami.

– Bez wątpienia - skłamał Abbington-Westlake. - Gdzie jest ten Hun?

– Umówił się ze mną w dorożce przed stacją Charing Cross.

– Kiedy?

– Dziś o ósmej wieczorem.

– Ufa mu pan?

– Jest wystraszony i chciwy - odrzekł Bell. - Chce tylko dostać pieniądze i wsiąść na pierwszy statek do Niemiec.

Rysy Abbingtona-Westlake'a stwardniały.

– Więc dzieli się pan tym ze mną po to, żebym wyłożył pieniądze.

– Nie potrzebuję pańskich pieniędzy - zaprzeczył Bell.

– Doprawdy? Ach, tak... No, cóż, myliłem się. To wszystko jest dość niezwykle.

Bellowi przyszło do głowy, że jest to równie przyjemne, jak łowienie pstrągów na muchę. Nadszedł czas zarzucić wędkę.

– Chyba popełniłem błąd. To miało być dla kogoś z marynarki wojennej. Powinienem porozmawiać ze znajomym w Foreign Office.

– Nie, jeśli oczekuje pan natychmiastowego działania.

– Więc z wywiadem wojskowym.

Abbington-Westlake popatrzył na niego chytrze.

– Z przykrością informuję pana, że pański stary znajomy lord Strone został wysłany na zieloną trawkę.

– Pozostaje tylko pan?

– Ma pan wielkie szczęście - powiedział komandor. - Każę moim dwudziestu doborowym ludziom otoczyć tamtą dorożkę.

– Nie, nie - sprzeciwił się Bell. - Ten Niemiec to spryciarz. Szpiegował w Londynie przez dwadzieścia lat i nie złapaliście go. Nie znacie nawet jego nazwiska. Natychmiast zauważy pańskich ludzi. Załatwimy to sami - pan, ja i on.

– Jak pan się na niego natknął?

– Czysty przypadek - odrzekł Bell.

– Tak myślałem. Jak to się stało?

– Osaczałem pewnego Japończyka. Ten Niemiec mnie ubiegł. Zniweczył cały mój wysiłek. Ruszyłem za nim i dogoniłem go.

– Więc pomógł pan swojemu szczęściu.

– Tak jak pan by zrobił, komandorze. Przypieczętujemy to uściskiem dłoni?

Abbington-Westlake wyciągnął miękką różową rękę. Bell chwycił ją mocno.

– Żebyśmy się zrozumieli, komandorze, zauważę pańskich „doborowych ludzi”, tak jak zauważyłem pański ogon. Niech pan nie próbuje wysłać ich za mną.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

* * *

Mgła gęstniała, gdy Bell zatrzymał się przed stacją kolejową Charing Cross w zamkniętym powozie, przestronnej dorożce nazywanej przez londyńczyków „turkotką”. Otworzył drzwi i przywołał gestem komandora Abbingtona-Westlakea. Szpieg marynarki wojennej był ubrany identycznie jak tłumy bankowców, którzy spieszyli z City do domów w

melonikach i płaszczach przeciwdeszczowych, tylko zamiast parasola miał laskę z gałką z kości słoniowej w kształcie głowy krokodyla.

Bell się przesunął, żeby zrobić mu miejsce na siedzeniu obok siebie. Abbington-Westlake wspiął się do środka i woźnica vandornowców popędził konia klusem w głąb Strandu.

– Zaraz. Dokąd jedziemy?

– Nasz Niemiec w ostatniej chwili zmienił zdanie. Czeka na Trafalgar Square.

– Ale...

– Pańscy doborowi ludzie są na Charing Cross?

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Bo podejrzewam, że ten gość będzie nas kołował, dopóki nie poczuje się bezpieczny.

Na Trafalgar Square młoda kwiaciarka zastukała w okno i wręczyła Bellowi świstek papieru.

– „Berkeley Square” - przeczytał na głos Bell.

– Jak tamta dziewczyna odróżniła tę dorożkę od setki innych?

– Tak samo, jak robi to Niemiec. Woźnica ma przywiązaną do bata białą wstążkę.

Koń dokłusował Cockspur do Pall Mail i przez Regent Street do Picadilly, gdzie przy hotelu Ritz skręcił w Dover i dotarł Hay Hill do Berkeley Square. Nagle się zatrzymał. James Mapes otworzył energicznie drzwi dorożki i wspiął się ciężko do środka z kasetą pancerną pod pachą. Był w eleganckim garniturze, fedorze z filcowanej króliczej sierści i nieprzemakalnym płaszczu Burberry. Bell prawie słyszał ryki Joe'go Van Dorna, że sprzeciwia się takim wydatkom.

– Bez pośpiechu - powiedział Mapes z takim akcentem, że Abbington-Westlake wyteżył wzrok, żeby zobaczyć jego twarz w ciemności.

– Że co?

– Mówi, żebyśmy się nie spieszyli - wytłumaczył Bell.

– Jasna sprawa, nie spieszyliśmy się i nadal nie będziemy, dopóki się nie przekonamy, że ma pan coś wartościowego.

– Gdzie są pieniądze?

– A gdzie są plany urządzenia celowniczego?

Mapes poklepał kasetę pancerną.

– W tej skrzynce.

– Niech pan ją otworzy.

– To niech pan pokaże marki.

Bell wręczył mu kopertę.

– Niech pan mi da klucz.

Mapes wyjął z kieszeni klucz, ale nie oddał go, tylko użył jako noża do papieru. Kiedy rozciął kopertę, jakiś cień wyłonił się nagle z mgły. Woźnica zastukał ostrzegawczo, ale za późno. Cień przybrał kształt hełmu konstabla i pałka policyjna zapukała w okno.

– To podstęp! - krzyknął Mapes. - *Schweinhund!*

Bell wyrwał mu klucz z ręki, ale Mapes nie puścił koperty i otworzył pchnięciem drzwi po drugiej stronie. Bell rzucił się za nim i uniemożliwił komandorowi podcięcie go laską. Mapes wydostał się na dwór, zrobił unik przed chwytem Bella i wbiegł do ogrodów na Berkeley Square.

Konstabl poczłapał za nim, dmuchając w gwizdek. Abbington otworzył zamasyście swoje drzwi.

Bell przytrzymał go za ramię.

– Zostawmy go.

– Ucieknie.

– Mamy jego kasetę pancerną - odrzekł Bell. - Zaraz otoczą nas gliniarze. Wynośmy się stąd! - zawołał do woźnicy.

Koń pogalopował Fitzmaurice Place i skręcił w Curzon Street z taką szybkością, że źle wyważona dorożka przechyliła się na dwóch kołach. Woźnica odzyskał nad nią kontrolę, zanim się przewróciła na bok. Strzelając z bata, wpadał w uliczki i wypadał z nich, aż nagle znaleźli się

w gęstym ruchu na Piccadilly kawałek na zachód od Ritza, gdzie wmieszali się w setkę innych dorożek i taksówek. Na skraju Green Parku zatrzymał się pod latarnią z aureolą mgły wokół światła. Jej łagodny blask padł na twarze Bella i Abbingtona-Westlakea.

– Dlaczego stanęliśmy?

– Żeby koń odpoczął - odparł Bell.

– Zajrzymy do skrzynki?

– Proszę bardzo - powiedział Bell i przekazał klucz.

* * *

– Niech pan zaczeka!

– Dlaczego?

– Mam dziwne przeczucie, że to pułapka - odrzekł Bell, pochylił się i obejrzał dokładnie skrzynkę.

– Jaka pułapka? Nie widzę żadnej pułapki. Widzę kasetę pancerną z bezcennymi informacjami w środku.

– Zobaczmy przy latarce.

Bell włączył ją i oświetlił zamek i dziurkę od klucza.

– I co pan widzi, Bell?

– Niech pan mi da swoją laskę.

24.

Bell ostrożnie wsunął częściowo klucz do zamka kasety pancерnej. Potem popchnął go laską komandora.

– Co pan, do diabła, robi?

– Udajmy, że pan obraca ten klucz - zaproponował Bell.

Odwrócił laskę i wepchnął klucz głębiej jej ozdobną gałką. Rozległo się ostre kliknięcie, a potem nagły hałas zabrzmiał w zamkniętej dorożce jak uderzenie pioruna. Głowa krokodyla się rozprysła, kawałki kości słoniowej i drewna obsypały Bella i Abbingtona-Westlake'a.

Komandor zrobił gwałtowny wdech.

– Co to?

Jego zmiażdżona laska tkwiła w żelaznych szczękach potrzasku, który wyskoczył ze skrzynki.

– Miałem dziwne przeczucie, że to łapacz złodzieja - odrzekł Bell.

– Co?

– Łapacz złodzieja. Gdzieś czytałem, że księgowi muszą na nie uważać podczas audytów w posiadłościach zmarłych osób.

Abbington-Westlake wyciągnął z potrzasku to, co zostało z jego laski.

– To mogła być moja ręka.

– Co jest w skrzynce? - zapytał Bell.

– Pan niech ją otworzy - odparł komandor.

Aż podskoczył, kiedy zardzewiałe zawiasy wieka zaskrzypiały. Bell zapalił latarkę, skierował światło na sprężyny potrzasku, a potem do środka.

– Pusto! - powiedział Abbington-Westlake.

– Nie, coś tu jest.

Wysoki detektyw i szef angielskiej siatki szpiegowskiej popatrzyli na pojedynczą kartkę papieru w skrzynce. Komandor chwycił ją. Zrobiony piórkiem rysunek przedstawiał uzbrojony w dziewięćdziesiąt osiem dział drewniany okręt wojenny „Dreadnought”, który sto sześć lat temu pokonał flotę Napoleona w bitwie pod Trafalgarem.

– A niech to kule biją.

– Ma poczucie humoru - stwierdził Bell.

– Hun nie cofnie się przed niczym.

Bell zwiesił głowę, jakby zakłopotany i skruszony.

– Przepraszam, że pana zawiodłem, ale naprawdę zamydlił mi oczy...
Jeśli to pana pocieszy, zabrał moje pieniądze.

Abbington-Westlake szybko się otrząsnął.

– Chyba byłbym bardziej zirytowany, gdybym stracił rękę. Jestem pańskim dłużnikiem.

– Może mi się pan łatwo odwdzięczyć.

– Jak? - spytał ostrożnie komandor.

– Opowieścią o Kubie Rozpruwaczu.

– Bell, skończy pan wreszcie tę cholerną komedię?

– Niczego nie udaję, myli się pan. Starąłem się zrobić dwie rzeczy jednocześnie. W Ameryce tropię potwora, który zabija dziewczyny, i jestem coraz bardziej pewien, że to ten sam człowiek.

Abbington-Westlake pokręcił głową.

– Przykro mi, Bell, ale rozczaruję pana. To nie jest ten sam człowiek.

– Wie pan to na pewno?

– Zdradzę panu rozwiązanie zagadek z Whitechapel. Zostało dowiedzione, kim był Rozpruwacz. Utopił się w Tamizie.

– Stop! Teraz wymieni pan podejrzanych, od obłąkanego studenta medycyny, poprzez samobójców, mszczącego się za syna ojca, księcia, ukrywającego się w Brazylii para i pewnego sławnego malarza, aż do chorego umysłowo polskiego imigranta.

– Dobrze, dobrze - burknął komandor. - Niech pan posłucha, Bell. Nie mam nic przeciwko temu, żeby podzielić się tajemnicą z tak uczciwym człowiekiem, jak pan... Niech pan mi da dżentelmeńskie słowo, że to zostanie między nami.

– Nie puszcę pary z ust - obiecał Bell.

– Mam fotografie. Pokażę je panu z wdzięczności, za uratowanie mojego nadgarstka.

– Fotografie czego?

– Ciał ofiar.

– Skąd pan je ma?

– Nieważne.

– Jak pan je zdobył?

– Pokażę panu... Woźnica! Whitehall. Numer 26.

* * *

Abbingdon-Westlake wrzucił swoją zniszczoną laskę do stojaka na parasole w kształcie słoniowej nogi i zapalił światło w pokoju biurowym bez okien z tyłu starego budynku admiralicji. Odryglował szafę, ustawił pokrętkiem kombinację, otworzył ognioodporny sejf Chubb i wyjął z niego grube akta.

– Oczywiście nie uwierzyłem w pańską historyjkę o poszukiwaniu Rozpruwacza. Ale posłałem po to, rozumując, że powinienem się z tym dobrze zapoznać. Pamięta pan, że pan pytał pewnego chirurga z Harley Street, czy Rozpruwacz wycinał symbole na ciałach swoich ofiar? Tak, tak, oczywiście wiem, że pan z nim rozmawiał. Tylko wtedy nie miałem pojęcia dlaczego. Niech pan spojrzy na te znaki w kształcie litery L. Nie są półkoliste. Mają kształt litery L.

Przejrzał fotografie okaleczonych zwłok i rzucił każdą Bellowi.

– Tamten chirurg się upierał, że ostrze nie mogło się tak ześliznąć, żeby L wyglądało jak półksiężyc - powiedział Bell.

Litery L istotnie wycięto prostymi liniami.

L L L

– Nacięcia w kształcie litery V też.

– Niech pan spojrzy na te.

V V < < <

– Kątowniki, nie widzi pan?

– Nie są pod kątem prostym.

– Nie szkodzi. To węgielnice. Narzędzia murarskie. Symbol masonów.

– Masonów? - powtórzył Bell, nie całkiem pewien, czy dobrze usłyszał.

– Wolnomularzy. Ich bractwa.

– A co oni mają wspólnego z morderstwami dziewczyn w Whitechapel? - zapytał Bell. Czy w całej Anglii jest ktoś, kto nie ma jakiejś zwariowanej teorii na temat Kuby Rozpruwacza?

– Potwór najwyraźniej wysyłał jakąś wiadomość.

– Jaką? - spytał Bell.

– Niech pan odwróci V. Co pan otrzyma? Cyrkiel. Następny symbol masonów.



– Te nacięcia V, tak jak L, to drwina z policji. On mówi: „Jestem masonem”.

– Dlaczego?

– Żeby skierować policję na fałszywy trop i oczernić wolnomularzy. Których najwyraźniej nienawidził.

– Dlaczego miałby ich nienawidzić?

– A kto to wie?

– Jest pan masonem? - zapytał Bell.

Przypuszczał, że komandor jest, jeśli w ogóle Anglia jest taka jak Stany Zjednoczone, gdzie połowa mężczyzn należy do jakiegoś bractwa lub zakonu. Wolnomularze, Odd Fellows, Łosie, Sowy, Rycerze Kolumba - lista była długa, a wielu Amerykanów deklarowało członkostwo w więcej niż jednym z nich.

Abbingdon-Westlake nie przyznał, że jest masonem.

– Nieważne - odrzekł tylko. - Rzecz w tym, że on nie wysyłał takiej wiadomości na zwłokach u was. Nasz zabójca wycinał L i V, nie półksiężycy. Toteż Kuba Rozpruwacz nie jest waszym mordercą.

– Chyba że zmienił wiadomość.

Komandor triumfalnie skrzyżował ręce na piersi jak człowiek, który wygrał ważną debatę.

– I o to chodzi, Bell.

- O co?
- Żeby znalazł pan odpowiedź na pytanie, co oznaczają te półksiężycy.

25.

Bell doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi na pytanie, dlaczego Nożownik wycina półksiężycy.

- Jest dużo ważniejsze pytanie - odparł.
- Jakie? - zapytał Abbington-Westlake.

Bell obserwował komandora w poszukiwaniu oznak kłamstwa, które niełatwo było znaleźć u tak dobrze potrafiącego je ukryć człowieka. Właśnie po odpowiedź na to pytanie przyjechał do Londynu.

– Dlaczego Scotland Yard tak się upiera, że Kuba Rozpruwacz przestał zabijać w 1888 roku?

Abbington-Westlake westchnął.

– A skąd mam wiedzieć? Jestem tylko prostym szpiegiem marynarki wojennej.

– Jest pan cyniczny, komandorze. I podstępny. Ale najniebezpieczniejsze w panu jest to, że pańska wyjątkowa pomysłowość służy pańskiej ambicji. Gdyby dostrzegł pan jakiś objaw bezradności Scotland Yardu w tej sprawie, to zrobiłby pan wszystko, żeby to wykorzystać do zdobycia przewagi nad nimi i mieć ich w garści. Co zwróciło pańską uwagę? Co sprawiło, że poczuł pan krew w wodzie?

Abbington-Westlake zapalił cygaro, nie częstując Bella, rozpalił je i wypuścił dym.

- Pamięta pan, czego pana uczyłem lata temu o zasadach?
- Czegoś takiego, żeby niczego nie mówić służbie i nie straszyć koni?
- Najwyższa ocena za pamięć.
- A może, żeby niczego nie mówić koniom?
- Dobra, Bell...

– Dobra, komandorze. - Bell wyciągnął ze słoniowej nogi zniszczoną laskę i potrząsnął nią przed nosem Abbingtona-Westlake'a. - Zdaje się pan zapominać, że to mogła być pańska ręka. Niech pan mówi prawdę.

– Przyjrzałem się nieoficjalnie tamtej sprawie dla Home Office.

– Dlaczego?

– Wyświadczyłem przysługę szkolnemu koledze.

– Nie wierzę panu.

– Home Office nadzoruje Scotland Yard.

– Wiem, ale nie wierzę panu. Zrobił pan to na własną rękę, żeby móc wywrzeć nacisk na Yard, kiedy następnym razem wywiad marynarki wojennej będzie potrzebował czegoś od nich. Pan nie prosi o przysługi, tylko odbiera długi.

– W porządku, Bell. Były oznaki nieprawidłowości w śledztwach. Ich przyczyny sprowadzały się do nieudolnych prób ukrycia niekompetencji.

– Szef mojego biura terenowego zasugerował to w dniu mojego przyjazdu do Londynu.

– Joel Wallace to bystry gość. Między innymi dlatego podejrzewałem, że pan szpieguje.

Bell zadał kluczowe pytanie, które przywiodło go do Anglii:

– Czy Kuba Rozpruwacz nadal zabijał kobiety w Londynie po 1888 roku?

– W Londynie i na przedmieściach - odparł bez ogródek Abbington-Westlake.

Bell wziął głęboki oddech.

– Po osiemdziesiątym ósmym?

– W osiemdziesiątym dziewiątym, dziewięćdziesiątym i w pierwszej połowie dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Dlaczego Yard zaprzeczał temu?

– Kiedy uznajmili, że on nie żyje, sprawa została zamknięta. Można ich było oskarżyć najwyżej o niekompetentną pracę detektywistyczną przy

wyjaśnianiu pięciu zabójstw. Późniejsze mogły być przypisywane naśladowcom, dopóki potwór w końcu nie opadł z sił lub nie zniknął.

– Co się stało w drugiej połowie dziewięćdziesiątego pierwszego?

– Przepadł.

– Bez śladu?

– Zgadza się.

– Dlaczego? Orientuje się pan?

Abbington-Westlake wzruszył ramionami.

– Moim skromnym zdaniem z takiego samego powodu, z jakiego zaczął działać na przedmieściach. Wolał nie kusić losu w Londynie. Jak długo mógł liczyć na nieudolność Scotland Yardu? W połowie dziewięćdziesiątego pierwszego pewnie uznał, że czas przestać ryzykować w Anglii.

– Dziękuję - powiedział Bell i ruszył do drzwi. - Jeszcze tylko jedno, komandorze.

Rozległo się następne westchnienie.

– Co znowu?

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

Abbington-Westlake zrobił nietypową dla niego ponurą minę i jego wzruszająca odpowiedź przypominała Bellowi, jakiego wstrząsu doznał kapitan „Nieprzekupny Mike” Colignay w dniu, gdy znaleźli ciało Anny Waterbury w mieszkaniu aktora na Dwudziestej Dziewiątej Zachodniej ulicy.

– Bo mam trzy córki.

– Nie myślałem, że ma pan rodzinę.

– Sam jestem tym zaskoczony - wyznał Abbington-Westlake.

– Dziękuję za pomoc - powiedział Bell i skierował się do wyjścia.

– To ja dziękuję - odparł chłodno komandor - że poświęcił mi pan czas, żebyśmy mogli ustalić, co pan kombinuje.

Drzwi otworzyły się gwałtownie do wewnątrz. Do pokoju wkroczył wysoki, chudy ogon, którego Bell osaczył w Whitechapel.

– Nie tak szybko, panie Bell.

Za nim wszedł jego zwalisty partner w tweedzie, którego Bell spotkał przed kinem Electric, i drugi, o wzroście i wadze sierżanta marines w cywilu. Stłoczyli się w pokoju biurowym Abbingtona-Westlake'a i zablokowali wyjście.

Bell zmierzył ich szybko wzrokiem i spojrzał na komandora.

– Nie lubię, jak ktoś mnie oszukuje albo robi sobie ze mnie żarty - powiedział szef brytyjskiej siatki szpiegowskiej.

– Myślałem, że już się pan do tego przyzwyczył - odrzekł Bell i zwrócił się do trzech mężczyzn: - Z drogi, panowie.

Jeden przesunął się w lewo, drugi w prawo, a ogon został na środku.

Bell znów zmierzył go wzrokiem.

– Zaskakuje mnie pan - przyznał. - Nie spodziewałem się, że jest pan bardziej wojownikiem niż szpiegiem.

– Hamowałem moje lepsze instynkty na rozkaz. Moje nowe rozkazy idą w parze z moimi instynktami. Zna pan *kukri* walczących Gurkhów?

Wyjął spod płaszcza skórzaną pochwę, a z niej trzydziestocentymetrowy ciężki zakrzywiony nóż o wyglądzie bumerangu z ostrą krawędzią.

Jego ludzie wyciągnęli służbowe rewolwery, odbezpieczyli je i wycelowali w głowę Bella. Bell znowu spojrzał na Abbingtona-Westlake'a.

– Chyba tylko ja nie znam jego nowego rozkazu. Zechce mnie pan oświecić, komandorze?

– Zaczniemy od pańskich wspólników. Agentów, z których jeden udawał Niemca, drugi policjanta, a trzeci powoził dorożką.

– Dorożkę złapałem na Oxford Street. Bobby to bezrobotny pomocnik barmana. A Niemiec jest holenderskim sprzedawcą tulipanów.

– Nazwiska.

– Umknęły mi.

– Moje biuro - powiedział Abbington - jest z tyłu budynku i zajmuje pokoje nad tym, pod nim i obok niego. Może pan krzyczeć z oburzenia. Może pan wrzeszczeć z bólu. Może pan płakać z rozpaczy. Nikt pana nie usłyszy. A gdyby jakimś cudem usłyszał, to wystarczy jedno moje słowo, żebym się go pozbył. Zaczniemy od pańskich wspólników i powoli dojdziemy, co pan naprawdę kombinuje. A w trakcie tego nacieszymy się trochę zemstą.

Bell rozłożył ręce.

– Jestem zakłopotany - zwrócił się do Abbingtona-Westlake'a. - Nie dość, że nie dostrzegłem wojownika w tym facecie, który mnie śledził, to jeszcze dałem się nabrać na pańską udawaną pompatyczność. Nie przyszło mi na myśl, że może pan być tak samo podły jak niesympatyczny.

– Używanie *kukri* wymaga bardzo pewnej ręki, bo ten nóż służy głównie do przecinania kości i mięśni.

Bell przytaknął.

– Za jednym zamachem. Znam *kukri*. To ulubiona broń Nepalczyków do obcinania głów tym, którzy ich irytują.

– Reginald ma pewną rękę - ciągnął Abbington-Westlake. - Potrafi używać tego noża do obdzierania ze skóry. Widziałem, jak pewnemu mężczyźnie ściał od nadgarstka do barku tak cienką warstwę, że mógłby pan przez nią czytać gazetę. Nazwiska pańskich wspólników.

– Teraz jestem jeszcze bardziej zakłopotany. Zapomniałem zapytać.

– Przytrzymajcie go za ramiona - poleciał ogon.

– Zaczekajcie! - rozkazał Abbington-Westlake. - Zabierzcie mu broń.

Bell starał się zdekoncentrować przeciwników brawurą i sarkazmem, jednocześnie oceniając swoje szanse na szybkie wyciągnięcie browninga i zastrzelenie obu, zanim oni zastrzelą jego. Miał wprawę w szybkim wyciąganiu broni z kabury i strzelaniu, ale był na przegranej pozycji. Nawet gdyby zdołał położyć trupem dwóch, trzeci ściałby mu głowę *kukri*.

– Rozchyle powoli płaszcz - powiedział - i wręczę wam mój pistolet kolbą do przodu.

Tak zrobił. Abbington-Westlake odebrał mu broń i zamachnął się nią jak pałąką. Ciężka lufa rozorwała czoło Bella i strąciła mu kapelusz na podłogę.

Przez dzwonięcie w uszach Bell usłyszał słowa komandora:

– Wiem, że nosi derringera w kapeluszu.

Wyłuskali go.

– Weźcie go za ramiona.

Bell się cofnął i zagrał ostatnią kartą.

– Wie pan, co czyni z człowieka wojownika?

– Trzeba go śmiertelnie zranić, żeby go zatrzymać - odparł z całkowitą pewnością siebie mężczyzna z nożem.

– Więc wybaczy mi pan...

Bell dał nura w lewo. Na ułamek sekundy zaskoczył wszystkich trzech. Przetoczył się po podłodze, podkurczył nogi i sięgnął do buta po nóż do rzucania. Ludzie ogona się otrząsnęli i wzięli go na muszki, a sam Reginald unosił *kukri* do zabójczego ciosu.

Jeden rewolwer wypalił z hukiem pioruna i drzazgi z podłogi prysnęły w twarz Bella. Rzucił nożem od dołu. Błysk stali zgasł w przebitym gardle ogona.

Bell zobaczył, że jego głowa jest na linii ognia. Skoczył naprzód. *Kukri* wypadło z dłoni ogona. Bell złapał je i sieknął z całej siły.

Ręka z rewolwerem upadła na podłogę.

Drugi przeciwnik wytrzeszczył oczy z przerażenia i kiedy Bell rzucił się ku niemu, wypadł za drzwi. Bell puścił się za nim z uniesionym do rzutu nożem.

Abbington-Westlake wrzasnęła, cofnął się, gdy ostrze ze świstem przecięło powietrze, i upuścił browninga Bella. Bell porwał pistolet z podłogi i wyprostował się, dysząc ciężko.

– To pański bałagan. Niech pan go posprząta i nie wchodzi mi w drogę, to będziemy kwita.

– Kwita? - Abbington-Westlake wskazał swoich leżących ludzi. Jeden przyciskał tweedowy rękaw do krwawego kikuta, drugi trzymał się za gardło. - Jak możemy być kwita?

Bell podniósł swój kapelusz i derringera.

– Nadal ma pan dwie ręce, prawda?

26.

Bell wszedł do Brytyjskiego Muzeum Ślusarstwa z antywłamaniową kasetą pancerną pod pachą.

– Znalazłem to z kartką, żeby to zwrócić kustoszowi Robertsowi.

– Co się panu stało w twarz?

– Zaciałem się przy goleniu.

Nigel Roberts opasał ramionami ciężką skrzynkę i zataszczył ją na jej miejsce obok niemieckiego pasa cnoty.

– Pożyczyłbym ją panu.

– Nie chciałem, żeby przeze mnie stracił pan pracę i mieszkanie.

– Przez Rozpruwacza.

– Dziękuję za pomoc. Może zdołam się odwdzięczyć. Abbington-Westlake ma taką teorię, że Rozpruwacz wysyłał wiadomość, żeby „oczernić wolnomularzy”, jak się wyraził. Co pan na to?

Oczy Roberta zabłysły.

– Zajmę się tym. Ale powiem panu od razu, że to byłoby dużo bardziej skomplikowane, niż ten szpieg przypuszcza. I o wiele bardziej interesujące.

– Mam nadzieję, że nie wysyłam pana w głąb króliczej nory.

– Lubię królicze nory.

Może nie było to aż tak zwariowane, jak brzmiało, i Bell czuł, że dawny gliniarz poświęci resztę życia na badanie masońskiego tropu. Gdyby taki trop istniał, to Roberts bez wątpienia by go znalazł.

Bell wyciągnął rękę.

– Muszę zdążyć na pociąg do portu.

– Jest pan przekonany, że zabójca pańskiej Anny to Kuba Rozpruwacz?

– Jestem prawie pewny, że jest po czterdziestce, że nie przestał zabijać i że wycina na ciałach tych biednych dziewczyn wiadomość, kim jest. Ale na pewno wiem tylko to, że dopóki nie rozszyfruję jego wiadomości, on nadal będzie na wolności.

* * *

Przed wyjazdem z Londynu Bell wstąpił do biura na Jermyn Street.

– Co się panu stało w twarz? - zapytał Wallace.

– Wpadłem na drzwi. Chcę, żebyś spróbował dowiedzieć się, ile zdołasz, o Jacku Spelvinie.

– Kto to?

– Pracownik teatru rewiewego Wiltona, którego zapamiętała Emily.

– A, tak. Ale myślałem, że ona była zdezorientowana.

– Na wypadek gdybym to ja był zdezorientowany, chciałbym, żebyś ustalił, gdzie pan Jack Spelvin działał w 1889 roku, dziewięćdziesiątym i w pierwszej połowie dziewięćdziesiątego pierwszego. I dokąd się potem udał.

– Trudne zadanie, panie Bell.

– Masz jakichś znajomych w teatrach rewiewych?

– Parę chórzystek, oczywiście, ale...

– Zaczynij od nich.

Wallace z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

– Są za młode.

– Może ich matki go pamiętają - odrzekł Bell.

27.

W jadącym z maksymalną szybkością do Toledo i Detroit pociągu specjalnym Jekyll & Hyde Jackson Barrett i John Buchanan ukrywali się w swoich prywatnych wagonach. Buchanan naradzał się na osobności z głównym księgowym zespołu teatralnego, Barrett częstował grupkę dziennikarzy whiskey z butelki bez dna i opowieściami o teatrze.

– Panie Barrett - zagadnęła go atrakcyjna kobieta z chicagowskiej gazety - zamieniacie się rolami Jekylla i Hyde'a pozornie na chybił trafił. Czy kiedykolwiek zdarzyło się panu zapomnieć, kogo pan gra?

– Cóż, powiem pani - odrzekł zniżonym konspiracyjnie barytonem. - Kiedy mam wątpliwości, to zaglądam za kulisy i rzucam okiem na pana Buchanana. Jeśli jest ucharakteryzowany na Hyde'a, to wiem, że jestem Jekylllem.

Dziennikarze się roześmieli i zapisali to.

Stojący na straży rzecznik prasowy zespołu teatralnego rozpromienił się.

Chłopcy, jak nazywał Barretta i Buchanana, zawsze genialnie promowali każde tournée, ale teraz przechodzili samych siebie. Rezerwacje pokrywały zawiązką koszty podejmowania dziennikarzy. Na ten etap podróży ściągnęli nawet autora artykułów w prasie ogólnokrajowej, żeby jego publikacje zwiększyły sprzedaż biletów w Chicago, Cincinnati, St. Louis i Denver, wszędzie aż do San Francisco.

Barrett pociągnął łyżeczek herbaty z filiżanki i przeprosił pijących, że nie będzie im towarzyszył.

– O ósmej trzydzieści czekają mnie obowiązki - wyjaśnił i po drugim łyżeczku dodał: - Jeśli pan Buchanan wygląda jak Jekyll, to ja prawie na pewno jestem Hyde'em.

– Ale jak pan tak łatwo zmienia się z Jekylla w Hyde'a?

– „Zmienia się”? Nikt nie „zmienia się” z Jekylla w Hyde'a. „Przeistacza się”.

Nie było to usłane różami. Jeden marudny dziennikarz - Barrett nie miał wątpliwości, że to niespełniony aktor - zapytał:

– Właściwie dlaczego czwartkowe przedstawienie w Columbus zostało przerwane?

Rzecznik prasowy wytłumaczył to gładko, nie wymieniając nazwiska Ricka L. Coksa.

– Jakiś mężczyzna na widowni dostał ataku nerwowego. Zaczął krzyczeć, kiedy aktorzy grali. Dyrektor teatru - przezornie, ale mądrze - postanowił opuścić kurtynę i poczekać, aż bileterzy uspokoją mężczyznę lub go wyprowadzą.

Marudny dziennikarz zajrzał do swojego notesu.

– O co chodziło tamtemu mężczyźnie, kiedy krzyczał: „To moje słowa! Ja to napisałem”?

Barrett się wtrącił.

– Po spektaklu pan Buchanan i ja zadaliśmy to samo pytanie. Poinformowano nas, że biedak był tak zdezorientowany, że dosłownie nie wiedział, jak się nazywa. Lekarze kazali zabrać go do zakładu psychiatrycznego na dokładne badania. Niestety w tej chwili nic więcej nie wiemy.

Pokręcił głową i tym najbliżej niego wydało się, że widzą łzy w jego oczach, coś niezwykłego na tej podobnej do lwiego oblicza twarzy.

– Czyż nie jest to smutnym przypomnieniem, że tragedie rozgrywają się nie tylko na scenie?

Przytakiwali tej refleksji, gdy John Buchanan wkroczył do wagonu.

– Państwo wybaczą - zagrzmiał - ale obowiązki wzywają. Kiedy nasi hojni sponsorzy dołączą do nas w Toledo, będą chcieli, żebyśmy rozliczyli się z naszych wydatków co do centa... Dobrze się państwu podróżuje naszym pociągiem?

– Tak, panie Buchanan.

– Bardzo tu gościnnie.

– Mogę o coś zapytać, panie Buchanan? Kiedy studiowałem harmonogram waszego tournée, zauważyłem, że po jednym tygodniu w Toledo i w Detroit, w Cincinnati macie występować przez dodatkowy pełny tydzień, czyli dłużej niż w St. Louis i Denver. Nie denerwujecie się, że w Cincinnati będziecie grali tak długo?

– Ani trochę. W Cincinnati zawsze mieliśmy najbardziej bystrą publiczność. I dla zespołu jest dobrze, kiedy od czasu do czasu wystawia gdzieś dłużej jakąś sztukę.

Jackson Barrett spojrział ukradkiem na notes chicagowskiej dziennikarki i mrugnął do rzecznika prasowego. Pierwszym zdaniem swojego artykułu praktycznie zapłaciła za pociąg.

„Dwaj z najprzystojniejszych aktorów współczesnej sceny jadą do Chicago z nadzieją w sercach i mnóstwem uroku osobistego”.

Stary przebiegły rzecznik prasowy pokazał wyraźnie ruchem głowy, żeby Chłopcy lepiej rzucili monetę, kto jej podziękuje podczas intymnej kolacji po spektaklu.

Buchanan zakończył swoją wypowiedź.

Barrett przejął pałeczkę.

– Cincinnati to wróżba kontynuacji sukcesu *Jekylla i Hyde'a*. Generał dowodzący podczas wojny secesyjnej oddziałami, które uratowały to miasto przed konfederatami, nazywał się Lew Wallace. Na pewno wszyscy pamiętacie, że kiedy po wojnie przeszedł w stan spoczynku, napisał sławną powieść... Jaką?

– *Ben Hur* - odpowiedzieli chórem.

– Na jej podstawie powstała sztuka pod tym samym tytułem.

– Największy sukces w historii amerykańskiego teatru.

– I najbardziej dochodowe tournée - dodał Barrett.

– Przynajmniej, dopóki dobrzy ludzie w Toledo, Detroit i Cincinnati nie kupią biletów - zaznaczył Buchanan.

Dziennikarze znów ponotowali, rzecznik prasowy znów się pouśmiał.

Gdy zegar wybił pełną godzinę, sytuacja stała się jeszcze lepsza.

Isabella Cook weszła do wagonu w przezroczystej sukni popołudniowej. Kilka rzeczy zaskoczyło tych, którzy widzieli ją tylko na scenie: z bliska była chuda, jej okrągłe oczy większe, wygięte w łuk wargi bardziej zmysłowe, a orli nos prostszy, niż to wydawało się możliwe u zwykłej śmiertelniczki.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Dziennikarze zerwali się z miejsc. Kobieta z Chicago napisała:

„Melodyjny kontralt Isabelli Cook brzmi tak, jakby nasz Stwórca wybrał go po to, żeby harmonizował z jej pięknymi rysami twarzy. Ta czarująca blondynka ma fryzurę w modnym stylu dziedziczki Gabrielli Utterson, kluczowej postaci przerażającej fabuły *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*”.

Barrett i Buchanan wstali z zapraszającym gestem i wymienili spojrzenia. Co by nie mówili o swojej wiodącej aktorce - a mogli powiedzieć dużo - „wspaniała i uwielbiana” nigdy nie przestawała robić wrażenia ani nie przepuszczała okazji do promowania sztuki, w której grała za wynegocjowany procent zysku. Następne spojrzenie mówiło: „Warta każdego centa”.

– Jak to miło, że wpadłaś, moja droga.

– Usiądź między nami.

Zrobiła to, prowokując pierwsze pytanie, oczywiście poprzedzone kondolencjami.

– Najgłębsze wyrazy współczucia z powodu niedawnej straty męża, pani Cook. Mogę spytać, czy jako wdowie jest pani bardzo trudno grać co wieczór tak męczącą rolę?

Isabella uśmiechnęła się dzielnie.

– Byłoby to dużo trudniejsze, jeśli nie niemożliwe, bez silnych ramion Jacksona Barretta i Johna Buchanana, na których mogę polegać, oprzeć się i, za co jestem im wdzięczna, czasem wypłakać.

Dziennikarka z Chicago zastanowiła się, jak sformułować nurtujące jej czytelników pytanie.

– Można powiedzieć, że dzięki nim czuje się pani trochę mniej samotna?

Isabella Cook uśmiechnęła się do jednego, potem do drugiego.

– Więcej niż trochę.

Jak teraz zapytać, który z najprzystojniejszych aktorów współczesnej sceny sprawia, że wdowa prawie nie czuje się samotna? Ale reporterzy stawali się niecierpliwi i whiskey dodała jednemu pewności siebie.

– To Jekyll czy Hyde?

Isabella zbyła go niewinną odpowiedzią.

– Mój ulubiony Jekyll i mój ulubiony Hyde robią wszystko, co jest konieczne, żeby przedstawienie trwało.

Jak na zawołanie, wszedł inspicjent.

– Proszę mi wybaczyć, pani Cook, panie Barrett i panie Buchanan...

– Tak, panie Young?

– Zaplanowali państwo próbę odtwórców głównych ról.

Aktorzy wstali.

– Obowiązki wzywają, szanowni państwo z prasy. Pan Young zaprowadzi państwa do wagonu restauracyjnego.

Ale zanim dziennikarze zdążyli dopić drinki i zamknąć notesy, nagle wszystko diabli wzięli.

– Jeszcze tylko jedno pytanie.

Dziennikarz z agencji prasowej, starszy mężczyzna, który cuchnął whiskey i tanimi cygarami, odezwał się pierwszy raz. Wsiadł w Columbus. Rzecznik prasowy nie znał go i przypuszczali, że został posłany na zieloną trawkę, skoro pisze o teatrze. Pił dużo i przytakiwał uprzejmie, gdy aktorzy żartowali. Teraz, akurat kiedy kończyli spotkanie, miał pytanie.

– Macie jakieś trudności ze sprzedażą biletów z powodu doniesień o zabójstwach kobiet?

28.

W kołyszącym się wagonie rzecznik prasowy wybałuszył oczy i zaniemówił.

– Co? - zapytał John Buchanan.

– Co pan ma na myśli? - spytał Jackson Barrett.

Wszyscy trzej za późno dostrzegli, że cuchnący whiskey i tanimi cygarami starszy mężczyzna ma chytre spojrzenie doświadczonego reportera kryminalnego i nosa do dobrych tematów. Albo jest dość cyniczny, by taki stworzyć.

– Chodzi mi o to - odrzekł - że odkąd jesteście na tournée, młode dziewczyny są mordowane i okaleczane. Jestem ciekaw, czy groza tych zbrodni wpływa na sprzedaż biletów?

– Dlaczego miałyby wpływać? - wypalił Barrett.

Buchanan daremnie próbował uspokoić go gestem, dopóki Isabella Cook nie położyła dłoni na jego ramieniu.

– Wy, chłopcy, możecie być za młodzi, żeby to pamiętać, ale kiedy byłem początkującym nowojorskim reporterem, zespół teatralny Richarda Mansfielda, który wystawiał *Jekylla i Hyde'a*, wrócił wcześniej z Londynu z podkulonymi ogonami. Zaczęło się wspaniale, tak jak tutaj. „Telegraph” napisał, że kurtyna opadała przy wywołanym szokiem milczeniu, po czym rozległ się głośny aplauz. Ale potem Kuba Rozpruwacz zaczął zabijać. Dziewczynę za dziewczyną, tak jak się dzieje tutaj. Londyńczycy przestali kupować bilety. Tak jakby mówili: „Za dużo krwi na ulicach. Kto chce oglądać to również w teatrze?”

– Nie zanotowaliśmy spadku liczby rezerwacji - odrzekł Buchanan.

– Nie ma pustych miejsc?

– Żadnych - zaprzeczył Barrett.

Rzecznik prasowy wreszcie wziął się w garść i oznajmił:

– Paczek gotówki przybywa.

Pieniądze, które brała kasa teatralna, liczone, kiedy kurtyna szła w górę, pakowano w kostki wielkości cegły i dostarczano pod strażą do sejfu w pociągu specjalnym Jekyll & Hyde, żeby co pewien określony czas podzielić się nimi z braćmi Deaver.

– Jak myślicie, dlaczego sprzedaż biletów jeszcze nie spadła?

– Publiczność uwielbia tę sztukę - odparł rzecznik prasowy - bo to jest coś z klasą i ma świetną fabułę.

– A co z *Alias Jimmy Valentine*? - spytał Barrett.

– Nie rozumiem.

– *Jimmy Valentine* pogrążał nas w każdym mieście, gdzie go graliśmy. To nasza wina czy ich?

Dziennikarz z agencji prasowej uśmiechnął się chłodno.

– Bo w *Alias Jimmy Valentine* nie ma morderstw dziewczyn.

– Bzdura - odparował Buchanan.

– Słyszę z wielu ust, że *Doktor Jekyll i pan Hyde* to pechowa sztuka.

– Bzdura - odparował Barrett.

– Podsumujmy. Pan Medick, poprzedni właściciel praw do niej, spadł ze schodów ewakuacyjnych i zginął. Biedny mąż pani Cook, Rufus S. Oppenheim, prominent w Syndykacie Teatralnym, wyleciał w powietrze na swoim jachcie przed waszą nowojorską premierą. A teraz są mordowane te wszystkie dziewczyny. Chcielibyście jakoś uspokoić publiczność?

Pozostali dziennikarze przygotowali ołówki.

Buchanan wystąpił naprzód, zanim Barrett zdążył się odezwać.

– Tak. Proszę napisać, że John Buchanan i Jackson Barrett mają nadzieję, że ich sztuka da widzom wytchnienie od codziennych trosk.

– Niech pan im powie, że ona ma ekscytującą fabułę - dorzucił rzecznik prasowy. - Będą sobie pluli w brodę, jeśli jej nie zobaczą.

Dziennikarz zapisał obie wypowiedzi i spojrzał na Barretta.

– Ma pan coś do dodania, panie Barrett?

– Współczujemy tamtym biednym kobietom i ich rodzinom, które je kochały, i modlimy się, żeby zabójca został wkrótce aresztowany.

* * *

John Buchanan był czerwony na twarzy i kipiał, kiedy wreszcie zastał Jacksona Barretta samego w jego garderobie w Toledo.

– Musiałeś to powiedzieć tamtemu cholernemu dziennikarzowi?

– Co?

– „Współczujemy tamtym biednym kobietom i ich rodzinom, które je kochały, i modlimy się, żeby zabójca został wkrótce aresztowany”.

– Ktoś musiał to powiedzieć.

– Słyszałeś, co ja powiedziałem? Co powiedział nasz rzecznik prasowy?

– Tak. Dlatego powiedziałem to, co trzeba było powiedzieć.

– Dałeś tamtemu dziennikarzowi dokładnie to, czego chciał. Powiązałeś tamte morderstwa z naszą sztuką. Ta historia zaszkodzi nam w całym kraju, tak jak kiedyś Kuba Rozpruwacz Mansfieldowi.

– Bzdura! Żyjemy w nowoczesnych czasach - odparł Barrett. - Kuba Rozpruwacz był potworem epoki wiktoriańskiej. W dwudziestym wieku nie ma potworów. Nasza publiczność będzie się biła o bilety.

– Tak? A chcesz usłyszeć, co tamten sukinsyn reporter powiedział, kiedy wtargnął z powrotem do mojego wagonu, jak wszyscy wyszli?

– Jeśli cię to uszczęśliwi, to mów. Co powiedział?

– Zapytał, co odpowiemy rodzicom ofiary morderstwa, którzy nam zarzucają, że nasz *Doktor Jekyll i pan Hyde* sprowokował jej zabójstwo.

– Sprowokował? Śmieszne. To sztuka.

– Śmieszne? Powiedz to Richardowi Mansfieldowi.

– Mansfield umarł w dziewięćset siódmym.

– Wiem! - krzyknął Buchanan. - Ale w Londynie, według tamtego cholernego reportera, to była główna przyczyna finansowej klapy Mansfielda. Ludzie pytali, czy sztuka sprowokowała Kubę Rozpruwacza.

– Absurd.

– Obaj to wiemy.

– Tamten reporter też.

– Ale czy kupujący bilety również? A jeśli nas winią? - Buchanan osunął się na krzesło i złapał za głowę. - Leżymy... Jak sobie z tym poradzimy, Jackson?

Barrett uśmiechnął się tak jak zawsze, ilekroć wpadł na dobry pomysł.

– Coś ci powiem. Mamy samolot, zgadza się?

– Jaki samolot?

– Ten, co lata nad sceną. Ten, który według ciebie za dużo by kosztował. Na szczęście przeforsowałem to. Publiczność jest zachwycona.

– I co?

– Pomalujemy go na czerwono. Na skrzydłach damy napisy „Jekyll i „Hyde”. Przeleci nad miastem, gdzie będziemy grali. Billboard na niebie.

– To nie jest prawdziwy samolot, tylko rekwizyt teatralny.

– Wynajmiemy prawdziwy, identyczny jak nasz. Z pilotem.

– To by kosztowało majątek.

– Zaoszczędzimy majątek na billboardach. Po co rozdawać darmowe bilety sklepikarzom, którzy umieszczają nasze reklamy w swoich witrynach, kiedy ma się billboard na niebie?

Buchanan wziął głęboki oddech. Billboard na niebie był śmiałym pomysłem. Gdyby rzecznik prasowy go wykorzystał, mogłoby to ich uratować.

– Mam kogoś do pilotowania samolotu.

– Zadepeszuj do niego! - polecił Barrett.

– Do niej.

– O, to jedna z twoich pań?

– Nic z tych rzeczy. Jest szczęśliwą żoną, ma dzieci i znam jej ojca.

– I pewnie jest brzydka?

* * *

– Woźnica! Stop. Do Chelsea.

Bell jechał na stację Waterloo, żeby złapać pociąg do portu w Southampton. Pod wpływem nagłego impulsu kazał dorożkarzowi zmienić kierunek.

– Zdaży pan na statek, szefie?

– Załatwię to szybko i zapłacę ci potrójnie, jeśli dowieziesz mnie na dworzec na czas.

Wayne Barlowe pracował w swoim lofcie, kończył rysunek wieloryba.

– Co się panu stało w twarz?

– Pośliznąłem się w wannie.

– Znalazł pan Emily?

– Podobał jej się pański portret pamięciowy - odrzekł Bell i powiedział mu o Jacku Spelvinie. - Widział go pan kiedykolwiek na scenie u Wiltona?

– Nie.

– Zapamiętałby pan jego twarz?

– Oczywiście.

– Dałem jej pański rysunek. Mógłby mi pan zrobić drugi?

Tak jak podczas ich ostatniego spotkania Barlowe wykonał go bez wahania.

– Jak ona się miewa? - spytał.

– Ledwo żyje. Chyba trafiła w bezpieczne miejsce w Armii Zbawienia. Jak długo tam zostanie, będzie zależało od tego, czy wróci do laudanum.

Rysunek był w rękach Bella po kilku chwilach, prawie identyczny jak pierwszy.

– Mógłby pan go sportretować jako starszego? Tak jak wyglądałby dziś, jeśli żyje.

– Podejrzewa pan, że Spelvin nie był niewinnym aktorem?

– Muszę brać pod uwagę każdą ewentualność - odparł Bell. - Łącznie z taką, że jeśli Emily nie miała halucynacji, to Spelvin nie był niewinny.

Barlowe się zawahał.

– Muszę uwzględnić zmiany, jakie mogły zajść w jego wyglądzie przez dwadzieścia lat z powodu palenia, picia, choroby, wypadku, smutku.

– Radości - powiedział Bell. - Jeśli to on, to wątpię, żeby czuł smutek.

– On jest Kubą Rozpruwaczem?

– Niech pan go narysuje tak, jakby był - polecił opryskliwie Bell. - Chcę zobaczyć, jak mógłby wyglądać teraz. Niech pan zacznie od tego, co ludzie widzieli, kiedy był młody - szybki jak zając, przystojny, anielski - i wyobrazi sobie, że był szczęściarzem, na nic nie chorował, nie miał żadnego wypadku i doznał niewielu rozczarowań.

Barlowe niechętnie wziął ołówek. Pracował przez kilka minut i wręczył Bellowi rysunek sympatycznie wyglądającego, dość eleganckiego mężczyzny po czterdziestce. Twarzy brakowało przykuwających uwagę cech młodego Jacka Spelvina.

– To jest zbyt ogólne, Bell - stwierdził Barlowe. - Rozumie pan, o co mi chodzi? To mógłby być każdy.

– Jest pan za skromny - odrzekł Bell. - O wiele za skromny.

– Co pan ma na myśli?

– Jest pan prawdziwym artystą.

Barlowe uchwycił twarz kameleona.

Dwadzieścia trzy lata po tym, jak tak zwany Jack Spelvin zauroczył Emily, ten mężczyzna po czterdziestce rzeczywiście mógłby być każdym - prawie niewidocznym w pierwszej chwili, nijakim w następnej i rzucającym się w oczy w kolejnej. Jakaś dziewczyna mogłaby go nawet nie zauważyć, dopóki by tego nie chciał. Mogłaby postrzegać go jako nieszkodliwego. Niegroźnego. Albo intrygującego. Wręcz olśniewającego.

Wybór należałby do niego.

29.

Nożownik zanurzył pędzelek charakteryzatorski w fiolce z klejem i naniósł go na tiul z tyłu siwych wąsów z ludzkich włosów. Potem znów zanurzył pędzelek i posmarował skórę nad swoją górną wargą, wypuszczając nosem powietrze, żeby nie wdychać przyprawiającego o mdłości odoru alkoholu i żywicy sosnowej. Żeby klej szybciej wysechł, powachlował go starym pamiątkowym programem, który ukradł tamtej nocy, gdy Mansfield rozpoczął swoją feralną londyńską turę z *Doktorem Jekylllem i panem Hyde'em* w teatrze Lyceum.

Nosił go wszędzie podczas swojego wędrownego życia i uwielbiał ilustracje scen ze sztuki. Zwykły papierowy program rozpadłby się lata temu, ale pamiątkowy wydrukowano na mocnym jedwabiu. Choć ubrudzony oliwą na jego palcach i klejem, kolory nie wyblakły. Każda strona przenosiła go z powrotem w tamtą pamiętną noc melodramatu, maestrii i śmierci.

Dotknął wargi trzonkiem pędzelka. Drewno przywarło do kleju i pociągnęło skórę. Gotowe. Przycisnął wąsy do wargi i przytrzymał mocno. Miejsce połączenia kleju z klejem przez chwilę było ciepłe, potem wąsy przylgnęły ściśle do skóry. Przyjrzał się im w lustrze z łagodnym, ojcowskim uśmiechem. Poruszały się w naturalny sposób.

Posiwił włosy prasowanym pudrem, używając gęstego pędzla charakteryzatorskiego z koziego włosia. Staromodne okulary w złotej drucianej oprawce postarzyły go jeszcze bardziej, ich przyciemnione szkła zasłoniły ogień w jego oczach. Włożył na palec obrączkę ślubną; nosiło ją niewielu żonatych mężczyzn i wzbudzała zaufanie u dziewczyn. Przypinane mankiety koszuli - zamiast współczesnych przyszytych na stałe - były już tak samo niemodne jak jego okulary i zrobione ze sztywnego celulooidu, który chronił jego nadgarstki przed paznokciami ofiar.

Zanim wyszedł w noc, spojrzął na okładkę programu.

RICHARD MANSFIELD W SZTUCE
DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE
PAMIĄTKA Z TEATRU LYCEUM
NAJEMCA I DYREKTOR, PAN HENRY IRVING
8 SIERPANIA 1888

Nożownik poczuł, jak rytm jego serca przyspiesza. Wyżebrał wtedy pieniądze na najtańsze miejsce z tyłu widowni. Sztuka doprowadziła do kulminacji obsesji, która pogłębiała się co noc, odkąd pierwszy raz przeczytał nowelę Roberta Louisa Stevensona, i sprawiła, że doznał olśnienia. Całkowicie inaczej spojrzął na to, co każdy człowiek miał w najciemniejszym zakamarku swojej duszy. Wszyscy wiedzieli, że w każdym człowieku jest dobro i zło. Wszyscy wiedzieli, że złu trzeba się opierać. Dopóki *Jekyll i Hyde* nie obiecał tego, czego wszyscy chcieli: można mieć jedno i drugie.

O sztuce krążyły różne pogłoski. Podobno jakiś amerykański aktor kupił od Stevensona prawa do adaptacji scenicznej. Potem przyszła wiadomość, że nowojorska premiera miała wspaniałe recenzje. Następny był Londyn i w premierowy wieczór Nożownik nie liczył na więcej niż najtańsze miejsce na widowni.

W adaptacji Mansfielda Hyde atakował i kobiety, i mężczyzn. Dla Nożownika wszystko, czego chciał, się ułożyło. Zaledwie kilka godzin po opadnięciu kurtyny zamordował kobietę, która go odrzuciła. Miał szczęście i jakimś cudem go nie złapano. Zanim pozbył się ciała w kawałkach, trzymał je w beczce z zepsutym winem w magazynie w St. Katharine Docks, gdzie dostał łóżko za pracę nocnego stróża.

Postanowił być ostrożniejszy. Planować. Delektować się. Oczekiwać. Wracił do teatru i przygotowywał się do następnego razu. Uznał, że najbezpieczniejsze są prostytutki, bo załatwiają swoje interesy w odosobnieniu. Bezpieczniej jest zabijać je tam, gdzie działają, zostawiać ich ciała i spać bezpiecznie u siebie. Trzy tygodnie później zamordował pierwszą prostytutkę. Sztuka wyzwoliła w nim demona. W międzyczasie

wiódł przykładne życie. Pod każdym względem był Jekylllem i Hyde'em. Ale w przeciwieństwie do Jekylla nie potrzebował tajemnego napoju, żeby stawać się Hyde'em. Sztuka go zmieniała.

Ale nagle został ukarany. Kiedy pewnego wieczoru wrócił do Lyceum, zastał teatr ciemny i zamknięty. Sztuka Mansfielda zniknęła z afisza przez jego Kuby Rozpruwacza zabójstwa. Widownia świeciła pustkami. Kto w Londynie chciałby oglądać grozę na scenie, kiedy miał ją w prawdziwym życiu? Musiał czekać trzy lata, żeby zobaczyć *Jekylla i Hyde'a* w Nowym Jorku.

Znów przyjrzał się wąsom z uśmiechem, wziął jedną z peleryn ukrytych pod podwójnym dnem jego kufra i zarzucił ją na ramiona. Chwycił laskę i poszedł dziarskim krokiem ciemnymi ulicami. Kiedy ją zobaczył, jasnowłosą w blasku latarni, zwolnił i zaczął iść o lasce jak stary człowiek.

Przyjrzała mu się, zobaczyła, że jest stary i bogaty, i posłała mu pełen nadziei uśmiech.

– Podasz mi swoje imię, panienko?

30.

Przed wejściem na statek w Southampton Bell wysłał do Nowego Jorku dwie ostatnie depesze. Do swojego oddziału Nożownik:

Lusitania

Łódź pilota

Do Grady'ego Forrera z działu badań:

Zamordowane dziewczyny

Zaginione dziewczyny

Trasa podróży

„Lusitania” wyprzedziła żaglowe łodzie pilotów, gdy popruła wzdłuż wybrzeża Fire Island ze swoją prędkością eksploatacyjną dwudziestu pięciu węzłów. Pierwszy raz od wyjścia w morze przy Needles, czterokominowy liniowiec Cunarda zwolnił dopiero na widok latarniowca „Ambrose” i zatrzymał się obok niego na początku farwateru. Parowa pilotówka „New York” z Sandy Hook zwodowała mocno obciążony jol po zawietrznej podobnego do klifu czarnego kadłuba „Lusitanii”. Wioślarz na jolu dopłynął do statku i pilot morski wspiał się po drabince sznurowej z drewnianymi stopniami.

Czwórka zwinnych vandornowów z oddziału Nożownik wdrapała się za nim. Pomocnik ochmistrza „Lusitanii”, wynagrodzony tak sownie jak załoga pilotówki, zaprowadził ich prosto do luksusowej kabiny Bella.

– Siadajcie. Mamy cztery godziny spokoju na głośne myślenie, zanim holowniki dociągną nas do Trzynastej ulicy. Oczekuję dobrych pomysłów.

Archie Abbott, Harry Warren, James Dashwood i Helen Mills stłoczyli się na krzesłach i brzegu łóżka. Grady Forrer oparł się o sekretarzyk, Bell zaczął spacerować.

– Nie ma już pytania, czy Annę Waterbury zamordował Kuba Rozpruwacz, tylko jak udało mu się uniknąć złapania przez dwadzieścia lat zabijania kobiet w naszym kraju.

– Ale czy to Kuba Rozpruwacz? - zapytał Harry Warren.

– Tak może wyglądać, jeśli to on.

Fotograf okrętowy zrobił wcześniej kopie ostatniego rysunku Wayne’a Barlowe’a. Bell je rozdał.

– To może być ktokolwiek po czterdziestce - ocenił Archie Abbott.

– Raczej przystojny „ktokolwiek” - zauważyła Helen Mills. - Rzuca się w oczy.

– Ale nie jest wyjątkowy.

– Wygląda jak dorosły ministrant - stwierdził Harry Warren.

– To eliminuje wyglądających starszej i młodziej mężczyzn - podsumował Dashwood. - On nie ma ani pięćdziesięciu ani trzydziestu lat.

– Może wydrukujemy to jak listy gończe? - zaproponowała Mills. - Żeby ostrzec uliczne dziewczyny przed gościem o tym wyglądzie.

Bell pomyślał o Barlowie, który miał podobny zgrzyz - nie chciał zrobić rysunku anielskiego i być może niewinnego młodego człowieka do policyjnych plakatów i od tamtej pory wyrzucał to sobie.

– Nie - odrzekł. - Archie ma rację. Tak może wyglądać wielu mężczyzn po czterdziestce. Jeśli to wydrukujemy, dojdzie do linczów i niewinni zawisną na latarniach.

– To prawda - przyznała Helen. - Ale zabijane przez niego dziewczyny też są niewinne.

– Rozważę to - odrzekł Bell - kiedy ustalimy, w którym mieście on działa. Na razie trzeba rozszyfrować znaczenie półksiężyców, które on wycina na zwłokach.

– Londyński Rozpruwacz robił to samo?

– Wycinał symbole, ale inne.

– Jak to możliwe, że nikt nie widział jego ataku? - zapytała Helen. - Nikt nawet nie słyszał krzyku?

– Z trzech powodów - odparł Bell. - Po pierwsze, on jest jak drapieżnik: wyjątkowo czujny i świadomy swojego otoczenia. Prawdopodobnie ostatni raz musiał uciekać tamtej nocy w osiemdziesiątym ósmym, kiedy zauważył go pewien kanciarz nazwiskiem Davy Collins. Po drugie, nigdy nie przeraża swojej ofiary, dopóki nie ma nad nią całkowitej kontroli. Doskonale potrafi wzbudzać zaufanie. Po trzecie, Ameryka to duży kontynent. Kiedy tu przybył, zorientował się, że nigdy nie zostanie złapany, jeśli będzie stałe w ruchu. Gdybyśmy nie prowadzili śledztwa w sprawie śmierci Anny, nikt by nie dostrzegł, co ją łączyło z Lillian Lent w Bostonie i Mary Beth Winthrop w Springfield. Na szczęście prowadzimy to śledztwo i dzięki alertowi dla wszystkich biur terenowych wyszło na

jaw mnóstwo jego zabójstw. Wiemy, że on wciąż działa, i jak wyglądają jego ofiary. Założę się, że on jest podobny do tego rysunku.

– Zabił dziewczyny w dwudziestu miastach - przypomniał Warren. - Jak się przemieszcza?

– Właśnie na tym musimy się skoncentrować - odrzekł Bell. - Jak podróżuje? Po co? W jakiej jest branży?

* * *

– Jest akwizytorem - podsunął Archie Abbott. - Kto podróżuje więcej niż handlowiec?

– Albo jakimś dyrektorem - zasugerowała Helen. - Jeździ z miasta do miasta i odwiedza fabryki swojej firmy.

– Rabusiem bankowym - powiedział Warren. - Z nowego pokolenia, które przekracza granice stanów samochodami.

Bell pokręcił głową.

– Morduje od 1891 roku. Jak by przekraczał granice stanów przed erą samochodów?

– Krytym wozem konnym.

Bell się nie uśmiechnął. Detektywi wymienili ostrożne spojrzenia. W kabinie panowała taka cisza, że słyszeli, jak stewardzi taszcą bagaż korytarzem, i ciche gwizdki pilota, gdy „Lusitania” sunęła wolno na inspekcję kwarantannową.

– Przepraszam, Isaac.

– To cyrkowiec - odezwał się Archie. - Oni zawsze są w drodze. Albo aktor wodewilowy.

Było teraz tak, jak Bell chciał - najtęższe umysły w agencji pracowały na pełnych obrotach nad tym, żeby zmienić spekulacje w fakty. Spojrzał na Abbotta.

– Gdyby był londyńskim aktorem rewiiowym, to mógłby występować tutaj w wodewilach?

– Czemu nie? Muzyka to muzyka, a w skeczach chodzi o to samo: o tło, przesłanie i puentę. Był na afiszu?

– Nie mam afiszów ani programów z tamtych czasów. Tamten teatr nawet już nie istnieje.

– Jakie nosił nazwisko?

– Jack Spelvin.

– To miał poczucie humoru. Spelvin to pseudonim.

– Rozpruwacz lubił gierki.

Jeśli półksiężycowe nacięcia miały być dowcipem mordercy, pomyślał Bell, to z jaką puentą?

– Może to hobo - podsunął Harry Warren. - Jeździ na gapę pociągami towarowymi.

– Tylko skąd hobo miałby gotówkę do pokazania dziewczynie? - zapytała Helen Mills.

– A może on nie jeździ na gapę? - ciągnął Warren. - Może jest kolejarzem? Oni stale są w ruchu. Hamulcowi wymyślili dzielnice czerwonych latarni, bo takie mają.

– Trudno jest mi sobie wyobrazić - odrzekł Bell - że kolejarz w pelerynie i homburgu przekonał Annę Waterbury, że jest producentem z Broadwayu. Choć mógł być strażnikiem wagonu depozytowego.

Ci dobrze opłacani agenci mogli sobie pozwolić na eleganckie ubrania i często je nosili.

– Związkowcy podróżują - powiedział Warren.

– I inżynierowie - dodała Mills. - Służbowo. Lekarze specjaliści i chirurdzy też. Oraz aktorzy, jak już mówiliśmy.

– To jakiś prywatny detektyw.

Wszyscy spojrzeli na Archiego Abbotta.

Bell skierował rozmowę z powrotem na właściwy tor.

– W kraju jest trzysta lub czterysta tysięcy podróżujących służbowo. Jeśli on jest podróżującym handlowcem, to zapewne na prowizji. Oni sami

układają sobie terminarze. Podróżujących związkowców, inżynierów i specjalistów może być niewiele tysięcy. Ilu jest aktorów, Archie?

– Wszystkich? Może trzydzieści tysięcy.

– A mężczyzn?

– Może dwadzieścia tysięcy.

– Raczej nie zawęża to zakresu poszukiwań - zauważył Warren.

Milczenie zapadło. Mills je przerwała.

– Skoro mowa o pelerynie i homburgu, to jak Kuba Rozpruwacz ubierał się w Londynie?

– To było dawno temu i zależy od tego, kto go widział. Ilustratorzy przeważnie byli zgodni, że miał pelerynę i cylinder dżentelmena, ale takiego wyglądu spodziewali się po mężczyźnie, którego było stać na prostytutki.

– Innymi słowy, nie wiemy, co on robi ani jak się przemieszcza.

– Możemy założyć - odrzekł Bell - że musi mieć jakieś środki na dobre ubrania i podróże. Jeśli nie jest bogaty i musi pracować, to jego zajęcie prawie na pewno wymaga podróżowania.

– Jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia - powiedział Warren.

– Niezupełnie - zaprzeczył Bell. - Posunęliśmy się daleko naprzód.

Spojrzał na Grady'ego Forrera, który dotąd się nie odezwał.

– Mamy pewien wzorzec - oznajmił szef działu badań. - Możemy go dopasować do podróży.

– Jaki wzorzec?

– Jego trasę - odparł Bell. - Wyjaśnij im to, Grady.

Forrer wyliczył miasta na swoich ogromnych palcach:

– Nowy Jork, Boston, Springfield, w kolejności morderstw młodych drobnych blondynek. Albany, Filadelfia, Scranton, Binghampton, Pittsburgh, Columbus, w kolejności zaginięć dziewczyn. Dziesięć dni temu w Cleveland zniknęła następna.

– On znów doskonale ukrywa ciała - powiedział Bell. - Albo znów ma szczęście.

Grady Forrer wyjął mapę z fałd swojego płaszcza wielkości namiotu i rozwinął ją na łóżku. Trasa była zaznaczona na czerwono. Prowadziła łukiem na północ z Nowego Jorku do Bostonu, meandrowała przez gęsto zaludnioną północno-wschodnią część Ameryki, gdzieś przecinając samą siebie, i biegła dalej na zachód do coraz mniejszych miast.

– Dlaczego zakreśliłeś kółkiem Cincinnati?

Duże przemysłowe i handlowe miasto nad rzeką Ohio stykało się z granicami Indiany i Kentucky sto sześćdziesiąt kilometrów za najbardziej wysuniętym na zachód Columbus.

– Bo nie pasuje do wzorca. Zaginęła tam dziewczyna podobna do innych ofiar, ale zniknęła miesiące przed zabójstwem Anny. Śpiewaczka wodewilowa. Zadowolona z pracy, według innych wykonawców. Nic nie wskazywało, że zamierza uciec, i nie miała żadnego powodu.

Bell wskazał mapę.

– Przed tymi wszystkimi?

– Niezgodność - odrzekł Forrer. - Ale niezgodności czasami czegoś dowodzą. Dlatego ją zakreśliłem.

– Jak ona się nazywała?

– Rose Bloom.

– To sceniczne nazwisko - powiedział Archie Abbott.

– Urodziła się z takim - odparł Forrer. - Ładna mała Irlandka... I w tym rzecz, panowie... i pani. - Skłonił się dworsko Helen Mills. - Dwa pytania dla was do przemyślenia: dlaczego on rusza w drogę, czyli w jakiej jest branży, i dokąd się teraz wybiera?

– Trzy pytania - poprawił go Bell. - Czy zdążymy ustalić, dokąd się teraz wybiera, zanim zabije jakąś biedną dziewczynę, kiedy tam dotrze?

31.

Prosperując od stu lat na rozległym zakręcie rzeki Ohio, Cincinnati przywykło do spektakularnych wizyt. Osiem tysięcy parowców przyplęło tam w samym 1852 roku z bezcennym ładunkiem i ambitnymi pasażerami, którzy chcieli mieć udział w bogactwach przeżywającego boom miasta. W ponurym okresie wojny secesyjnej Cincinnati zbudowało most pontonowy z barek węglowych dla pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy Unii, którzy przybyli w mgnieniu oka, żeby odeprzeć natarcie armii konfederatów. A kiedy brat kajzera - uwielbiany Henryk Hohenzollern - zawitał do Ameryki, policja musiała przepędzać z dachów wagonów jego pociągu podziwiające go tłumy, a Zjednoczone Niemieckie Towarzystwa Śpiewacze śpiewały mu serenady.

Ale żadna wizyta nie mogła przygotować Cincinnati na przyjazd pociągu specjalnego Jekyll & Hyde.

Dni wcześniej gazety opisywały ze szczegółami prywatne wagony Jacksona Barretta i Johna Buchanana, urządzone według gustu aktorów dyrektorów; luksusowe przedziały grających główne role aktorów i aktorek; pulmanowskie slipingi dla reszty obsady, maszynistów sceny, stolarzy, elektryków, urzędników, rzeczników prasowych, księgowych i muzyków; wagon restauracyjny - „serce pociągu, które serwuje apetyczne potrawy przez całą dobę”; wagony towarowe z wymyślnymi dekoracjami i wagon depozytowo-bagażowy z ogromnym stalowym sejfem na wpływy z kasy, strzeżonym przez zimnookiego agenta z sekcji usług ochroniarskich Van Dorna, pomocniczego działu słynnej agencji detektywistycznej, którego detektywi pilnowali najlepszych hoteli, eskortowali kosztowności, byli goryłami i dyskretnie wspomagali oddział Secret Service Williama Howarda Tafta, kiedy prezydent wyjeżdżał z Białego Domu - w sumie dziesięć lśniących czerwonych wagonów ciągniętych z miasta do miasta przez zbudowaną w fabryce Deaver lokomotywę Atlantic 4-4-2, „dobry szybki parowóz”, jak powiedział „Cincinnati Enquirerowi” jej maszynista.

Telegrafisci relacjonowali przejazd pociągu przez Denver na południe. Czy Jekyll & Hyde Special zdąży dowieźć aktorów, dekoracje i muzyków na czas?

Nikt nie wiedział, że Barrett i Buchanan zaplanowali przyjazd na styk, żeby zbudować napięcie i zachęcić kolej Cincinnati, Hamilton & Dayton, do zwolnienia dla nich toru, bo bez tego ryzykowaliby gniew miasta, które uwielbiało swoje teatry. W saloonach, ogródkach piwnych i klubach dżentelmenów robiono zakłady, kiedy pociąg minie kolejną stację, i fortuny zmieniały właścicieli.

Nagle, gdy od celu dzieliło go szesnaście kilometrów i nie można było sobie wyobrazić większego podniecenia, krwistoczerwony dwupłat - identyczny jak samolot w sztuce, o którym wszyscy słyszeli - przeleciał nad miastem, spikował ku rzece i przemknął pod wiszącym mostem Roeblinga.

* * *

Nożownik potknął się na najbardziej nieprawdopodobnej rzeczy.

Zadarty nosk słodkiej tancerczki okazał się tak czuły jak jego.

– Czuję klej do charakteryzacji.

Trzymał się swoich zasad. Ćwiczył samodyscyplinę i powściągliwość. Planował. Czekał. Miał nadzieję. A jednak się potknął: nos małej Beatrice okazał się tak czuły jak jego. Akurat w Cincinnati, mimo wyjątkowo solidnych przygotowań.

– To sztuczna broda?

Sięgnęła w górę, żeby ją pociągnąć. Odsunął gwałtownie głowę od jej ręki.

– Tak, prawda? - Roześmiała się i stanęła na palcach, żeby się lepiej przyjrzeć. - Najlepsza, jaką kiedykolwiek widziałam. - Zamilkła, kiedy sobie uświadomiła, że to dziwactwo.

Przypomniawszy sam sobie, że jest szybki. Lepiej, żeby był. Zmrużyła oczy, podejrzewając niebezpieczeństwo. Ale nadal uważał, że ma przewagę. Ona kierowała się tylko instynktem. On miał rutynę.

– Dlaczego pan nosi sztuczną brodę?

– Żeby ukryć...

Spuścił wzrok, jakby skrępowany. Nadal panował nad sytuacją.

– Co? - spytała ostro.

Miała nieprzyjemny, zgrzytliwy głos i pragnął ją uciszyć. Ale wiedział, że nie może tego zrobić, dopóki nie namówi jej, żeby weszła z nim do domku. Stał nad rzeką na końcu ciemnej uliczki. Ostatnia dziewczyna, którą tu przyprowadził, Rose - Rose Bloom - zgodziła się chętnie. Ale Rose nie poczuła zapachu kleju ani nie zauważyła niczego, na czym mógł się potknąć.

Łatwo było sobie wyobrazić, jakie wrażenie robi na ostrożnej dziewczynie ten domek na uboczu, w dzielnicy magazynów, jedyny budynek mieszkalny na tej uliczce. Kazał pomalować ganek na żółto, żeby wyglądał gościnnie, zainstalował na nim światło elektryczne i zostawił drugie zapalone w środku.

Przyjemny, zamieszkały, gościnny, przytulny domek na obrzeżach miasta nad rzeką Ohio z przystanią dla łodzi wiosłowej.

– Moją twarz - odrzekł.

– Przede mną? Nie rozumiem.

Zatrzymała się nagle i rozejrzała, jakby dopiero teraz się zorientowała, że na ulicy nie ma ludzi. Właśnie doszli do magazynów na rogu jego uliczki. Poczuli zapach rzeki.

– Dlaczego przede mną?

– Nie przed tobą - wydukał. - Dla ciebie. Żeby cię ochronić.

– Przed czym?

– Przed widokiem blizn. Odniosłem straszliwe rany w czasie wojny hiszpańskiej.

Sztuczna broda była tak siwa, że prawie biała, więc wyglądał za staro, żeby walczyć w 1898 roku. Ale miał nadzieję, że dla tak młodej dziewczyny wojna sprzed trzynastu lat mogłaby się toczyć wiek temu. Zamierzchna historia. Wojna secesyjna. Wojna o niepodległość. Wojna 1898 roku.

– Acha - powiedziała, nadał stojąc i rozglądając się wokół, jakby szukała pomocy, czego się obawiał. - Ja też.

Przyjrzał się jej ładnej twarzy w blasku latarni.

– Masz blizny?

– Po oparzeniu.

– Gdzie?

– Tam, gdzie nie widać.

– Nie widać? Widziałem, jak tańczyłaś na scenie.

– Gorset to zasłania. Lampa eksplodowała, kiedy byłam małą dziewczynką. Wygląda to strasznie. Nigdy nikomu tego nie pokażę.

– Biedactwo.

– Pan też.

– Jesteśmy parą.

– Skoro pan tak mówi...

– Tak. I obiecałem ci kolację. Moja gospodyni będzie zła, jeśli jedzenie wystygnie.

– Jest teraz w domu?

– Lepiej, żeby była. Bo kto poda kolację i pozmywa, jak myślisz?

Wciąż się wahała.

Zaryzykował i postawił wszystko na jedną kartę.

– Wiesz, Beatrice, odkąd organizuję tournée po kraju, jeszcze nie spotkałem tancerki, która nie byłaby głodna po występie.

Uśmiechnęła się, marszcząc ładny nosek, i nagle stali się przyjaciółmi.

– Umieram z głodu!

Zrzucił pelerynę z jednego barku i zaoferował jej ramię.

– Tędy.

* * *

Późną nocą posadził Beatrice na krześle kuchennym i zjadł zimną kolację. Tuż przed świtem owinął ją swoją peleryną, wziął ją na ręce i

zszedł po stromych schodach na przystań. Rzeka cuchnęła. Wartki prąd był tak głośny, że ledwo usłyszał plusk jej ciała.

– Dobranoc. Byłaś piękna.

Jakże się mylił co do tego.

32.

Bell wyskoczył w Cincinnati z ekspresu St. Louis Limited z dopłatami do biletów i poszedł prosto do kostnicy w szpitalu miejskim. Rozmowny koroner, który powitał go na frontowych stopniach, zaczął przeproszać za stan budynku.

– Postawiono go w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Budujemy nowy szpital na drugim końcu miasta.

– Mogę zobaczyć tę dziewczynę?

Załogant barki zauważył jej okaleczone ciało zaklinowane pod pirem na rzece Ohio. Biuro terenowe Van Dorna zameldowało już o zaginięciu tancerki wodewilowej z tego samego teatru, skąd miesiąc wcześniej zniknęła śpiewaczka Rose Bloom.

Beatrice Edmond powiedziała przyjaciółce, że stara się dostać do teatru objazdowego, ale nie wymieniła jego nazwy. Szef biura terenowego nie znalazł nikogo, kto ją widział w jakimkolwiek miejscowym teatrze, gdzie grano sztuki na wyjeździe - ani w Bethel w *Koszmarze Tillie Marie Dressler*, ani w Lyric w *Alias Jimmy Valentine*, ani w Clark w *Doktorze Jekyllu i panu Hydzie*, ani tym bardziej w German w *Salome*.

– Jej peleryna zaczęła się o pirs - wyjaśnił koroner. - Inaczej podryfowałyby do Nowego Orleanu, zanim ktokolwiek by ją zauważył.

– Mogę ją zobaczyć? - zapytał drugi raz Bell. Mógł się założyć, że „jej peleryna” to standardowe okrycie z domu towarowego dwa razy większe, niż nosiłaby drobna dziewczyna.

– Nie ma wiele do zobaczenia. Prąd nią miotał, a miejskie ścieki są tak zrzące...

Hałas pod niebem przerwał mu w pół zdania.

Bell spojrział w górę, zdumiony. Natychmiast rozpoznał dźwięk, ale nie spodziewał się usłyszeć nad Cincinnati warkotu rotacyjnego silnika lotniczego na pełnych obrotach. Czerwona maszyna przemknęła obok szpitala piętnaście metrów powyżej kanału Miami i oddaliła się w kierunku rzeki Ohio.

– Założę się, że pan nie wie, co to jest - powiedział koroner.

Bell był zapalonym lotnikiem i wiedział dokładnie, co to jest.

– Nowy dwupłat Breguet Type IV ze śmigłem ciągnącym i silnikiem rotacyjnym Gnome. Ale co on tu robi?

– Reklamuje! Po to...

Warkot znów go zagłuszył.

Breguet przeleciał tak nisko nad mansardowym dachem trzypiętrowego szpitala, że dachówki pospadały i Bell nie mógł się powstrzymać od uśmiechu - zazdrościł szczęśliwemu pilotowi. Potem zobaczył na spodach skrzydeł reklamę sztuki, w której miała nadzieję wystąpić Anna Waterbury: „Jekyll” na lewym, „i Hyde” na prawym.

Czerwony samolot ciągnął za sobą smugę dymu z oleju rycynowego o zapachu zdmuchniętych świec.

– Pierwszy samolot, jaki kiedykolwiek latał nad Cincinnati - poinformował Bella koroner. - Reklamuje *Doktora Jekylla i pana Hyde a*. Bilety sprzedają się jak ciepłe bułeczki. Zabieram żonę w sobotę. Niech pan wejdzie. Mam ją na stole.

* * *

Bell powędrował potem przez dzielnicę teatrów, czytając afisze i zbierając programy. Zatrzymał się przed teatrem wodewilowym. Nazwisko Beatrice Edmond wciąż widniało na afiszu. Jej peleryna rzeczywiście była za duża.

Przyniósł programy teatralne do dwupokojowego biura terenowego Van Dorna na Plum Street. Szef nazwiskiem Sedgwick, podkupiony z

policji gorliwy młody detektyw, który zabłąsnał w Nowym Jorku dzięki treściwym telegramom w środku nocy, pracował do późna. Bell rozłożył programy na stole i otworzył swój notes.



Pożonglował w myślach symbolami, poodwracał półksiężycy, powyginał niektóre rogi i spróbował pogrupować je we wzory. Potem wyjął pióro wieczne. Rysował na marginesach programów teatralnych i sięgał po następny, gdy nagle zobaczył półokrągłe kształty tak, jak je wycinał Kuba Rozpruwacz.

* * *

– Muszę skorzystać z twojego telegrafu.

– Mam coś wysłać dla pana?

– Pamiętam alfabet Morse'a.

Bell usiadł przy kluczu i wystukał szyfrem rozkazy dla Nowego Jorku.

Cincinnati

Migiem

Forrer - powiąż spektakle wyjazdowe z mapą morderstw

Dashwood - pomóż biuru terenowemu w Cincinnati

Przywieź plakaty ostrzegające przed Rozpruwaczem

Abbott, Mills, Warren - po cichu

– Dlaczego po cichu? - zapytał głos nad jego ramieniem.

– Cześć, Joe. - Bell wstał i uściśnął wielką dłoń Josepha Van Dorna. -
Chyba słyszałem, jak wchodziłeś.

– Nowy Jork zawiadomił mnie, że tu jesteś, więc złapałem B&O z Waszyngtonu.

- Dlaczego?
- Żeby zobaczyć, dokąd zmierza twoje śledztwo.

Bell uśmiechnął się triumfalnie.

- W dobrym kierunku.
- A dlaczego po cichu?
- Bo kamufluję moich ludzi.
- Jako?
- Pokażę ci.

Bell zaprowadził Van Dorna do stołu, gdzie wśród programów leżał jego otwarty notes.



Wskazał kolejno piórem półksiężycy.

- Tu jest uśmiech - powiedział do Van Dorna.
- A tu?
- Zmarszczenie brwi.
- Skoro tak mówisz...
- Usta! Oczy!
- Isaac! - wybuchnął Van Dorn. - O czym ty, do diabła, mówisz?
- Usta. Wesołe i smutne. Oczy. Patrzące w górę i spuszczone.

Elementy.

- Czego?



CZEŚĆ TRZECIA ZA KULISAMI

33.

Cincinnati

Bracia Deaver zaczynali się denerwować.

– Wyjaśnij jeszcze raz, kto to jest Isaac Bell - zażądał Jeff.

– Pan Bell - odrzekł Joe Deaver - jest ubezpieczeniowcem z Hartford w Connecticut, który...

– Nie potrzebujemy ubezpieczenia! Nie będziemy mieli czego ubezpieczać, jeśli *Jekyll i Hyde* zniknie z afisza.

Jeff nie golił się i nie opuszczał ich apartamentu hotelowego od kilku dni. Wychodzenie na zewnątrz spadło na Joe'go i traf chciał, że zwrócił się do niego potencjalny wybawiciel.

– To bogaty ubezpieczeniowiec, który zebrał grupę inwestorów, żeby finansować spektakle teatralne. Ma nedorzeczny pomysł, żeby zrobić musical na podstawie *Wyspy skarbów* Roberta Louisa Stevensona. Jesteśmy zaproszeni na lunch do klubu Queen City. Nie możemy kazać mu czekać. Ubieraj się!

– Szło nam doskonale - jęknął Jeff. - Sztuka przynosiła krociowe zyski.

– I kosztowała krocie, co nie stanowiło problemu, dopóki teatry były pełne. Teraz, kiedy jest grana przy pustych miejscach...

– Jeśli matka się zorientuje... - zaczął Jeff.

– Nie kończ - przerwał mu Joe.

Podczas gdy ci teatralni sponsorzy wydawali się bajecznie bogaci pracującym aktorom i zarabiającym trzy dolary dziennie maszynistom sceny, w rzeczywistości utrzymywali się z kieszonkowego. Było na tyle wysokie, że wystarczało na dobre życie, ale z woli dziadka, który zmusił ich do przyjęcia nazwiska rodziny Deaver, zamiast ich ojca, ich matka trzymała kasę. A ponieważ winiła teatr za to, że girlaski stale uwodziły jej

męża, nie wypłaciłaby im przyszlórocznego kieszonkowego, gdyby się dowiedziała, że tegoroczne stracili, bo zainwestowali w *Doktora Jekylla i pana Hyde*.

– Poderżnę gardło tamtemu cholernemu reporterowi i przepchnę jego nogę przez nie - zagroził Jeff.

Joe nie wątpił, że Jeff zabiłby tego dziennikarza, gdyby miał okazję, lub mógłby ją nawet stworzyć.

– Przestań - powiedział. - Nawet matka wywęszyłaby tamten artykuł.

Matka zaszyła się w rodzinnej posiadłości na przedmieściu Cincinnati Lower Merion przy głównej linii kolejowej. W jej pięćdziesięciu pokojach i na jej dwustu akrach - które Joe i Jeff mieli nadzieję pewnego dnia odziedziczyć do podziału na mniejsze części - odwiedzali ją tylko jej bankierzy i jej ksiądz.

– O co chodzi z *Wyspę skarbów*? Nie mamy pieniędzy na następną sztukę.

– Właśnie dlatego - zaczął cierpliwie tłumaczyć Joe - wmanewrujemy pana Isaaca Bella w zainwestowanie w *Jekylla i Hyde'a*. Jeśli te morderstwa dziewczyn nas rozłożą, to przynajmniej wycofamy część naszych pieniędzy.

– Ale dlaczego Bell miałby zainwestować w *Jekylla i Hyde'a*, skoro gazety są pełne morderstw dziewczyn?

– Częściowo po to - odrzekł Joe - żeby zaangażować Barretta i Buchanana w realizację jego wymarzonej *Wyspy skarbów*, a częściowo po to, żeby zapewnić rolę w *Jekyllu i Hydzie* swojej przyjaciółce.

Jeff uśmiechnął się szeroko. Nareszcie motyw, który rozumiał.

– Wygląda na to, że nasz ubezpieczeniowiec zakochał się w aktorce.

– Helen - odparł Joe. - Atrakcyjna brunetka, która wie, jak się ubrać. Bell twierdzi, że miała w Bryn Mawr stypendium jednego z jego inwestorów.

– Brzmi prawdopodobnie.

Joe pokręcił głową.

– Bell jest tak purytański, jak można się spodziewać po ubezpieczeniowcu. I przykro mi to mówić, ale Helen nie robi wrażenia przeciętnej chórzystki karierowiczki.

– Kogo chce grać?

– Pan Bell uważa, że powinna zastąpić Barbarę.

– Barbarę? Nie! Barbara wykonuje pierwszorzędną robotę. Skąd mamy wiedzieć, że przyjaciółka Bella nadaje się na dublerkę?

Joe tracił cierpliwość.

– Twoja Barbara - odparował - dostaje dwadzieścia dolców tygodniowo za odkurzanie biblioteki Jekylla w jednej scenie i kwestię: „Pan Hyde nie przyszedł jeszcze do domu, doktorze Jekyll w innej; i jest duszona w te wieczory, kiedy któraś ze stałych aktorek się przeziębi. Jeśli Isaac Bell pokryje połowę kosztów naszej inwestycji, to gwarantuję, że jego przyjaciółka Helen nada się na dublerkę.

* * *

Szybki pociąg towarowy Baltimore & Ohio z Pittsburgha zwolnił przed wjazdem do depo w Cincinnati i z wagonu wyskoczył hobo. Detektyw kolejowy z pałką pobiegł za nim.

– Ty! Chodź tu!

Harry Warren zrobił, co mu kazano. Ubranie miał brudne, ręce i twarz uwalane sadzą, ale jakiś bardziej bystrooki gliniarz mógłby zauważyć, że jest sprawniejszy, silniejszy i lepiej odżywiony, niż większość gapowiczów.

– Dokąd to?

– Chciałbym do Frisco.

– To załatwiłeś sobie długi marsz. - Ochroniarz uniósł wysoko pałkę. - I rozwalony łeb za jazdę na gapę. Powiedz swoim kumplom, że do Cincinnati wstęp wzbroniony.

– Naprawdę chce pan tego spróbować?

Warren zapytał o to niemal towarzyskim tonem. Zaczekał, aż gliniarz się zastanowi, ale facet zadał cios. Sezonowane drewno hikorowe

przebieło ze świstem powietrze tam, gdzie moment wcześniej była czaszka Warrena. Zatoczyło łuk przed detektywem kolejowym i trafiło w żwir przy jego lewej stopie. Stracił równowagę i odsłonił się z prawej strony.

Dziesięciocentymetrowa ołowiana rurka pojawiła się w dłoni Warrena. Wykorzystał okazję i zdzielił gliniarza powyżej skroni z tak wyliczoną siłą, że posłał go na ziemię twarzą w dół z dzwonieniem w uszach i zbyt trzęsącymi się nogami, żeby mógł zaraz wstać.

– Którędy do teatru Lyric?

– Że co?

– Do teatru Lyric. Tam, gdzie grają *Alias Jimmy Valentine*. Sztukę o detektywie, który się wziął na niewinnego kasiarza.

Gliniarz wskazał kciukiem drogę do dzielnicy handlowej.

Zapewniwszy sobie to, że zostanie zapamiętany jako twardy gapowicz, gdyby ktoś później pytał, Warren poszedł szybko ulicami, które blokowały zaprzężone w konie i muły wozy poirytowanych furmanów i dymiące na niebiesko ciężarówki. Zjadał w saloonach kielbaski na śniadanie i popijał je niemieckim piwem. Poznawał lokalnych twardzieli i dał miejskiemu gliniarzowi półlitrowkę whiskey. Nigdy nie wiadomo, kto się później może przydać.

Przyswoił sobie szybko charakter miasta, gdzie w południe saloony wypełniali wykwalifikowani rzemieślnicy, których żony pracowały za nędzne pieniądze w fabrykach, i dotarł do dzielnicy, gdzie grano filmy, wodewile i sztuki.

Teatr Clark miał reklamę świetlną:

DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE
PROSTO Z BROADWAYU
JACKSON BARRETT I JOHN BUCHANAN
PRZEDSTAWIAJĄ
SZCZYT TECHNICZNEGO REALIZMU
DWA SENSACYJNE EFEKTY SCENICZNE

Plakaty na froncie pokazywały czerwony samolot i pędzące metro.
Warren skierował się do Lyrica obok.

ALIAS JIMMY VALENTINE
PROSTO Z NOWEGO JORKU
„NAJLEPSZE OPOWIADANIE O. HENRY’EGO
PRZEBOJEM SCENICZNYM” - „VARIETY”

– Jestem umówiony z Nate’em Stewartem - powiedział do starszego faceta przy wejściu dla aktorów i podał nazwisko, które budziło zaufanie elementu w Hell’s Kitchen. - Niech pan go zawiadomi, że przyszedł Quinn.

Główny stolarz dostał telegram polecający od nowojorczyka, który znał Warrena jako Quinna. Wysłany chłopiec pobiegł. Nate Stewart zjawił się szybko z wyciągniętą do uścisku ręką.

– Jaką miał pan podróż?

– Darmową - odparł z uśmiechem Warren, dając do zrozumienia, że pieniądze na bilet wolał oszczędzić na lepsze rzeczy. - Nadal ma pan miejsce dla maszynisty teatralnego?

– Przyjechał pan w samą porę. Sukinkoty od *Jekylla i Hyde* skaperowali mojego najlepszego specja, kiedy ich człowiek dał nogę na pola naftowe w Oklahomie.

* * *

Lucy Balant uwielbiała aptekę Dow Drugs na rogu Piątej i Vine, kawałek od teatru, gdzie grali *Alias Jimmy Valentine*. Mieli w niej „bezlodowy” saturator Beckera - najnowsze urządzenie do chłodzenia syropów, wody sodowej i lodów solanką zamiast lodem, dzięki czemu napoje były przyjemnie zimniejsze w gorący dzień. Saturator otaczała ośmiokątna marmurowa lada i szesnaście łatwych do obrócenia stołków ze względu na bliskość stacji kolejowej. Dla aktorki, która wreszcie miała

stałą pracę, choćby tylko dublerki, i mogła sobie coś zafundować, było to doskonałe miejsce na szybkie wypicie napoju imbirowego. A obsługa pilnowała, żeby nikt się nie narzucił samotnej dziewczynie.

Wysoka ciemnowłosa detektyw zajęła stołek obok niej, gdy tylko się zwolnił.

– Mam nadzieję, że mnie pamiętasz, Lucy.

– Oczywiście. Co robisz w Cincinnati?

– Szukam zabójcy Anny.

– Z powodu tego, co spotkało tamtą tancerkę wodewilową?

– To ten sam człowiek.

Lucy się wzdrygnęła.

– To było straszne. Jakbym znów usłyszała o Annie. Widziałaś tamte plakaty?

– Gość wygląda znajomo?

– Zwyczajnie. Jak nadziany, starszy facet.

– Liczę, że plakat coś da. Portret nikogo ci nie przypomina?

– To może być każdy.

– Nikogo w twojej sztuce?

– Chyba trochę pana Lockwooda i nawet nieco pana Buchanana albo pana Barretta - w końcu poszłam zobaczyć *Jekylla*, pierwszy akt - a nawet pana Vietora. Ale oczywiście to nie on.

– Czy mężczyzna na plakacie jest podobny do kogoś zza kulis w którejś ze sztuk?

– Nie. Dlaczego pytasz o sztuki?

– A do inspicjenta od *Jekylla i Hyde'a*?

– Do pana Younga? Nigdy nie widziałam jego twarzy.

– Wasze teatry sąsiadują ze sobą.

– On podobno nigdy nie wychodzi z teatru. Sypia na łóżku polowym. Dlaczego pytasz o tych mężczyzn?

– Bo oba ich teatry objechały miasta, gdzie były morderstwa lub zaginięcia kobiet.

Wcześniej tego ranka - w eleganckim zielonym wagonie kolejowym na prywatnej bocznicy na stacji Union - Grady Forrer rozwinął mapę, którą oddział Nożownik widział ostatni raz pięć dni temu w kabinie Bella na „Lusitani”. Bell, Archie Abbott i Helen przycisnęli zwijające się rogi pistoletami kieszonkowymi.

Trzy nowe linie przecinały czerwoną, która pokazywała szlak śmierci Nożownika przez Północny Wschód i Środkowy Zachód. Miasta były teraz oznaczone literami M lub Z. Żółta linia biegła z Nowego Jorku przez Filadelfię do Bostonu i urywała się w Albany w stanie Nowy Jork. Linie zielona i niebieska kończyły się obok czerwonej w Cincinnati.

– Co to jest ta krótka żółta linia?

– Trasa musicalu *Tajemnica faraona*, który przestali grać w Albany. Sprzedali dekoracje wesołemu miasteczku i odesłali aktorów do domów. Morderstwa i zaginięcia - M to morderstwa, Z to zaginięcia - nie ustały. Zielona linia to *Alias Jimmy Valentine*, a niebieska *Doktor Jekyll i pan Hyde*.

Helen Mills powtórzyła Lucy Balant sedno tego, co powiedział Bell.

– W jednym z tych zespołów teatralnych jest silny morderca po czterdziestce, który przybył z Anglii. Miał dwadzieścia lat na zrobienie kariery w Ameryce.

– Jest aktorem?

– Może być każdym. Aktorem, reżyserem, maszynistą sceny, dyrektorem, sponsorem, scenografem, elektrykiem, stolarzem.

– Pan Vietor - nasz Jimmy Valentine - jest Anglikiem.

– Słyszałam.

– Ale on jest bardzo miły... - Zamilkła. - Oczywiście byłby, gdyby oszukiwał dziewczyny...

Helen szybko jej przerwała.

– Nie mówię, że to on. Nie wyciągaj takiego wniosku.

Bell ostrzegał przed tym. Nie skazuj niewinnego na lincz.

Lucy Balant rozważyła to, co usłyszała. Zakochany w niej członek obsługi zapytał, czy nalać jej następny napój imbirowy. Pokręciła głową i odeszła.

– Spójrz na mnie, Lucy - powiedziała Helen.

Lucy się odwróciła.

– Zrobię wszystko, żeby powstrzymać tego nożownika - obiecała detektyw - ale muszę działać w przebraniu, a nie będę mogła, jeśli nagle wypalisz: „Ja znam Helen. W Filadelfii włamała się do mojego pokoju. Ona jest prywatnym detektywem”.

– Powierzysz mi swoje życie.

– Znałaś Annę Waterbury. Nie była tylko postacią z artykułu w gazecie, prawda?

– Była miłą dziewczyną.

– O to chodzi.

– Twój szef wie, że rozmawiasz ze mną?

– Nie - skłamała Helen.

Bell niechętnie zgodził się na jej pracę w Cincinnati, ale uznał, że nie ma wyboru, jeśli chce ulokować kobietę w jednym lub obu teatrach objazdowych. Wymyślili historykę dla Lucy Balant, która wiedziała, że Helen jest detektywem Van Dorna.

– Prowadzę to śledztwo na własną rękę. Nikt nie wie, że tu jestem. Wzięłam wolne... a właściwie odeszłam.

– To z czego żyjesz?

– Oszczędzałam pieniądze, odkąd zostałam praktykantką.

– Ryzykujesz, Helen.

– Warto, żeby go złapać.

– Mogę spytać, w jakim przebraniu będziesz działała?

– Proszę bardzo - odrzekła Helen z ulgą, że jej historyjka zabrzmiała przekonująco. - Nie chcę cię zaskoczyć, jeśli wpadniemy na siebie. Będę

udawała aktorkę, która stara się o pracę dublerki w *Jekyllu i Hydzie* i *Jimmym Valentine*.

– Nasza chce jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku.

– Słyszałam.

– Ja chciałam tę pracę - powiedziała Lucy. - Ale inspicjent powtarza, że jestem za niska. Ty jesteś wysoka. Występowałaś kiedykolwiek na scenie?

– W szkole.

– Życzę szczęścia z *Jimmym Valentine'em*. Będzie ci potrzebne, bo na pewno nie dostaniesz się do *Jekylla i Hyde'a*.

– Dlaczego?

– Słyszałam, że chłopak dziewczyny, która ma tam miejsce, sponsoruje *Jekylla i Hyde'a*.

– Mój jest większym sponsorem.

Duże oczy Lucy zrobiły się ogromne.

– Masz chłopaka, który inwestuje w teatr?

Jej spojrzenie pytało, czy dlatego Helen mogła rzucić pracę.

Helen trzymała się swojej historyjki, że pracuje sama.

– To nie jest mój chłopak. Po prostu poznałam go w czasie tego śledztwa. Jest żonaty. Ale naprawdę bardzo miły. I kiedy ludzie przypuszczają, że pomaga mi z niewłaściwych powodów, to wyprowadza ich z błędu.

Lucy skinęła głową.

– W trasie musisz być ostrożna. To pewne. - Roześmiała się smutno. - Im są milsi, tym są ostrożniejsi. Kończy się tak, że jesteś ostrożna i nikt nie robi pierwszego ruchu. Co mi przypomniało, Helen, że skoro mowa o ruchach, to kiedy masz przesłuchanie do *Jimmy'ego Valentine'a*? Uważaj na pana Lockwooda.

– Uwodziciel?

– Myśli, że nie można mu się oprzeć.

– Dzięki za ostrzeżenie. Co słyszałaś o uwodzicielach w *Jekyllu i Hyde*?

Lucy się uśmiechnęła.

– Dziewczyny mają nadzieję, że pan Buchanan je uwiedzie. Ale on nie chce mieć nic wspólnego z aktorkami. Jest miły, ale ogranicza stosunki do czysto służbowych. Mówią, że chodzi z bogatymi damami, bo one niczego od niego nie potrzebują.

– A pan Barrett?

– Ach, pan Barrett! Zostałam mu przedstawiona na przyjęciu dla obsady w Chicago. Pochylił się nad moją ręką jak starszy dżentelmen. Potem spojrzał mi w oczy. Zarumieniłam się jak czternastolatka. - Lucy powachlowała policzek serwetką. - Ale nie mam szans. Wszyscy mówią, że on też ogranicza stosunki do służbowych.

– A co z twoim Jimmym Valentine'em?

– Pan Vietor to dżentelmen. Uczy mnie. Jedna rola może być do obsadzenia, jeśli dziewczyna weźmie pracę w Nowym Jorku. Mogłabym ją dostać. Albo przynajmniej być przesłuchana przez inspicjenta, kiedy pan Vietor uzna, że jestem gotowa.

– Ostrzegłaś mnie, Lucy, a teraz ja muszę ostrzec ciebie. Bardzo, bardzo uważaj, z kim idziesz sama. Zwłaszcza jeśli to mężczyzna po czterdziestce. Anna nie była jedyną drobną blondynką, którą zabił Nożownik.

– Pan Vietor jest dopiero po trzydziestce.

– Ale czy aktorzy nie „modyfikują” czasami swojego wieku?

– Pan Vietor nie zawracałby sobie tym głowy. Jest tak przystojny, że nikogo nie obchodzi, ile on ma lat.

34.

– Kiedy pierwszy raz połączyliście siły, panowie?

Asystent krytyka teatralnego z „New York Sun” - elegancki, pachnący dżinem facet w nienagannie zawiązanym krawacie - dogonił zespół Barretta i Buchanana w Cincinnati.

Barrett i Buchanan sączyli kawę w pokoju dla aktorów za kulisami teatru Clark, gdzie zgodzili się odpowiedzieć na kilka pytań. Sprzedaż biletów spadała i potrzebowali każdej możliwej pomocy. Ich rzecznik prasowy stał przezornie obok, gotów wkroczyć, gdyby krytyk stał się nieprzyjazny lub żarty Chłopców wymknęły się spod kontroli.

– Pan Barrett - odrzekł Buchanan - był pomocnikiem inspicjenta, kiedy występowałem w *Hamlecie* i...

– Byłem suflerem - przerwał mu Barrett. - Miałem wyższe stanowisko niż pomocnik inspicjenta. Pan Buchanan wnosił w *Hamlecie* latarnię, żeby pokazać, że jest noc, a ja miałem za zadanie przypominać mu, żeby ją trzymał nad głową i nie zasłaniał publiczności pana Otisa Skinnera, który grał Hamleta.

– Kiedy pan Barrett nie suflerował, to malował dekoracje - powiedział Buchanan. - I okazji przewodził wydawaniu pozwoleń na wypożyczanie lornetek teatralnych.

Reporter uśmiechnął się niepewnie.

– Macie, panowie, odmienne wspomnienia z waszych młodych lat.

– Niech pan mi przypomni, jak pan się nazywa - zwrócił się do niego Barrett.

– Scudder Smith. „New York Evening Sun”.

Rzecznik prasowy się wtrącił.

– Zastanawiam się, dlaczego nie wygląda pan znajomo. Myślałem, że znam wszystkich w „Sun”.

– „Sun” zatrudniło mnie, kiedy zawarłem umowę z „Denver Post” i „San Francisco Inquirer” pana Prestona Whiteway na publikowanie

artykułów, które się zbiegają z rozpoczęciem sprzedaży biletów na spektakle wyjazdowe w ich miastach.

– Whitewaya?

Smith wyjął z kieszeni płaszcza pismo z nagłówkiem „Sun.”

– Proszę. Przepraszam, że nie pokazałem tego wcześniej. To mój list polecający od pana Actona Daviesa. Zobacz pan, że wspomina tu o Whitewayu.

Rzecznik prasowy zwrócił pismo z dużo cieplejszym uśmiechem. Davies był głównym krytykiem w „Sun” i uznanym biografem legendy teatru Maude Adams. „San Francisco Inquirer” Prestona Whitewaya wchłonęło wiele gazet, a on był również właścicielem Świata Obrazów, wytwórni kronik filmowych, które pokazywano w kinach i teatrach wodewilowych na całym kontynencie.

– No, dobrze, panie Smith z „Sun”, „Post” i „Inquirera” - powiedział Barrett. - Na jakie jeszcze pytania możemy odpowiedzieć?

– Kiedy zostaliście współnikami?

– Wieki temu! - zagrzemiał Buchanan. - Kiedy to było, Jackson? Chyba w dziewięćset trzecim.

– Czwartym - poprawił go Barrett. - Wyruszyliśmy w trasę z *Nieźrównanym Crichtonem*. Ja byłem Crichtonem, a pan Buchanan grał lorda Loama.

– Ile to było lat po waszym *Hamlecie*'?

– *Hamlecie* pana Skinnera - uściślił Barrett. - Z latarnią pana Buchanana.

– Dziesięć lat - odparł Buchanan.

– Więc pierwszy raz spotkaliście się w dziewięćdziesiątym czwartym. Siedemnaście lat temu.

– Wydaje się, że dawniej - stwierdził Barrett.

– Zauważyłem, że fechtujecie bardzo realistycznie. Spodziewałem się rozlewu krwi. Założyłbym się, że walczyliście prawdziwymi szablami.

– Bo my nie „fechtujemy”, tylko się pojedynkujemy.

– Dla mnie to wyglądało jak prawdziwa walka na śmierć i życie.

– Prawdziwe szable robią prawdziwy hałas - odrzekł Buchanan. - Szczęk stali działa na zmysły.

– I zadają prawdziwe rany - dodał Barrett - co trzyma nas w gotowości.

– Jak się nauczyliście takiej szermierki?

– Tak samo, jak uczymy się wszystkiego - odparł wprost Buchanan. - Zapoznajemy się z czymś, ćwiczymy to i wypróbujemy.

– Bierzemy sobie do serca radę wielkiego showmana Davida Belasco dla aktorów - dorzucił Barrett. - Nie zarywamy nocy w klubach i restauracjach ani nie wylegujemy się rano w łóżkach.

– Ale kto nauczył was tak realistycznie walczyć?

– Pewien zabójczy pojedynekowicz.

Reporter uniósł ołówek i zapytał o jego nazwisko.

– Przyrzekliśmy, że nigdy nie ujawnimy jego tożsamości.

– Dlaczego?

– Bo niewielu, którzy z nim przegrali, przeżyli to.

Scudder Smith przestał się uśmiechać, jakby nie był pewien, czy nabijają go w butelkę. Zauważył, że rzecznik prasowy aktorów posłał im ostrzegawcze spojrzenie, żeby nie drwili z prasy.

Żarty na bok, pomyślał Smith.

– Są problemy z tą produkcją?

– Problemy? - spytał rzecznik prasowy. - Jakie problemy?

– Odgrzebuje pan tamtą bzdurną publikację? - zapytał Barrett.

– Wszyscy czytali, że *Jekyll i Hyde* to pechowa sztuka - odparł Scudder Smith. - Był śmiertelny upadek Medicka, eksplozja jachtu męża pani Cook. I gdziekolwiek gracie, dziewczyny znikają lub giną.

Buchanan poczerwieniał.

– Kobiety są mordowane cały czas.

– I często znikają - dodał Barrett. - Nic dziwnego, zważywszy, jakie mają perspektywy z mężczyznami.

– Po tamtym artykule sprzedaż biletów wzrosła - skłamał odważnie rzecznik prasowy. - Taką mam wiadomość dla Actona Daviesa i pana Prestona Whitewaya. Nie chcę być bezduszny, ale mnóstwo ludzi pociąga rozlew krwi.

Smith zapisał to stenograficznie. A teraz, chłopcy, z grubej rury:

– Jeśli tak - odrzekł - to interes rozkwitnie.

– Co pan ma na myśli?

– Dział badań mojej gazety zrobił mapę wszystkich morderstw i zaginięć.

– I?

– A potem mapę trasy waszego tournée. I wiecie co? Mapy się pokrywają.

– O czym pan mówi?

– To mapy rozlewu krwi. Często, kiedy gracie w jakimś mieście, jakaś dziewczyna znika lub ginie.

– Ale my w większości miejsc graliśmy łeb w łeb z *Alias Jimmy Valentine* - odparł Barrett. - Niech pan pójdzie porozmawiać z nimi.

– Jestem umówiony na wywiady z panem Vietorem i panem Lockwoodem, jak tylko skończymy. Jeszcze parę szczegółów.

– Nie może pan wydrukować tej bzdury.

– Nawet nie mam zamiaru - powiedział Smith. - Przynajmniej na razie.

– Wieziemy osiemdziesiąt osób - oznajmił Buchanan trzęsącym się ze zdenerwowania głosem. - Stracą pracę, jeśli przerwiemy objazd.

– Współczuję im - stwierdził Smith. - Sam wiele razy straciłem pracę.

– Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał, kiedy zechce pan opublikować swój artykuł - odezwał się chłodno Barrett.

– Oczywiście - zapewnił Smith. - Nie jestem z kamienia. Gdzie graliście tamtego *Hamleta*, kiedy się spotkaliście?

– W jakiejś zapadłej dziurze na zachodzie - odpowiedział Buchanan. - Na bezkresnych ugorach między Denver a San Francisco.

– Pan Skinner ostrzegł tych, co chcieli zdezerterować: „Góry Skaliste są usłane kośćmi aktorów, którzy usiłowali wrócić do domu do Nowego Jorku”.

– Gdzie dokładnie na zachodzie?

– W Butte w Montanie. W namiocie.

– Oczywiście obaj występowaliście już w Nowym Jorku, zanim się spotkaliście?

– Jeśli estrada stała jeden stopień wyżej od chodnika i za kurtynę służyło prześcieradło, to graliśmy - odparł Barrett.

– W którym roku pierwszy raz wystąpiliście w Nowym Jorku?

Buchanan wstał.

– Zabawiał nas pan o wiele za długo, panie Smith. Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój czas. Bardzo się cieszymy, że podobała się panu nasza sztuka.

Rzecznik prasowy otworzył drzwi.

Smith zamknął swój notes i podniósł się z błyskiem w oku, który mówił, że wykonał poranne zadanie.

– A, byłbym zapomniał. Przepraszam. Jeszcze jedno pytanie. Gdzie się urodziliście, panowie?

– Na polu kapusty.

– W bocianim gnieździe.

Smith obowiązkowo się roześmiał.

– Ale nasi czytelnicy bardzo chcieliby się dowiedzieć więcej o waszym pochodzeniu.

– Będą mogli przeczytać o nim, kiedy napiszemy pamiętniki - odrzekł Barrett i odprowadzili Smitha za próg.

– Gdybyście potrzebowali autora widmo - zawołał przez ramię - to jestem do dyspozycji. - Odwrócił się do rzecznika prasowego. - Po co czekać, aż będą starzy? Niech ich wielbiciele przeczytają pamiętniki swoich idoli w pełni życia.

Rzecznik prasowy odprowadził go do drzwi dla aktorów.

– Moglibyśmy płacić autorowi widmo - powiedział w zamyśleniu.

– Nie jestem tani.

– Zgodzilibyśmy się na pańską cenę pod warunkiem, że „New York Sun”, „Denver Post” i „San Francisco Inquirer” nie wydrukowałyby zwrotów „mapa rozlewu krwi”, „mordowane dziewczyny” i słowa „pechowa”.

* * *

Scudder Smith poszedł prosto na stację Central Union. W odległym kącie poczekalni dworcowej nieoznakowane przejście prowadziło na perony dla prywatnych wagonów. Krzepki gliniarz kolejowy blokował drogę.

– Dokąd to?

Smith pokazał mu swoją odznakę.

– A, to przepraszam pana. Nie wie pan przypadkiem, czy jest teraz nabór do waszej agencji?

– Sekcja usług ochroniarskich zawsze poszukuje dobrych ludzi - odrzekł Smith. - Najlepszy sposób, żeby zostać zauważonym, to włożyć czystą koszulę i wypolerować buty.

Wszedł do hali peronowej, dokładnie sprawdzając, czy nikt nie wygląda z innych prywatnych wagonów na bocznicy. Na szczęście zasłaniały one widok z długiego pociągu specjalnego Jekyll & Hyde, który stał dalej. Na końcu rzędu był luksusowy zielony wagon. Zasłonięte okna lśniły jak kryształ. Przewody telefoniczne, telegraficzne i elektryczne biegły do sieci stacyjnych. Bystrooki konduktor w mundurze ze złotymi lamówkami pilnował drzwi.

Frontowy przedział z palisandrową boazerią wyglądał jak ruchomy gabinet biurowy milionera. Było w nim dębowe biurko, wygodny skórzany fotel, klucz telegraficzny i telegraficzny aparat odbiorczy pod szklaną kopułą. Za biurkiem ani na fotelu nikt nie siedział. Bell stał.

- Co o nich myślisz?
- Strasznie zarozumiali - odrzekł Scudder Smith.
- Któryś jest mordercą?
- Trudno powiedzieć.
- Któryś jest niezaprzeczalnie niewinny?
- Tak daleko bym się nie posunął.
- Jak zareagowali na informację o mapie?
- Przestali dowcipkować. Oczywiście jeśli są tymi, za których się podają, to mapa uderzy ich po kieszeni.
- Gdzie się urodzili? - spytał Bell.
- Zrobili unik, jak w każdym artykule o nich. Zgrany duet.
- Zdradzili, jak nauczyli się szermierki?
- Podobno brali lekcje u jakiegoś zabójczego zbiegłego pojedyńkowicza. Rzecz w tym, że trochę tajemniczości nigdy nie szkodzi karierze w show-biznesie.
- Nie lubię tajemnic.
- Jak mawia P.T. Barnum: „Nigdy nie mów wszystkiego”.
- Są skryci czy kłamią?
- Anna Waterbury nie była pierwszą aktorką z przeszłością do zmiany - odparł Smith i natychmiast tego pożałował na widok gniewnego błysku w oczach swojego starego przyjaciela. Lepiej zmienić temat. - Mógłbym zwilżyć gardło?

Bell krótkim ruchem głowy wskazał mu kredens. Smith nalał sobie dżinu i wypił go haustem.

- Muszę przyznać, że dobrze się bawiłem. Brakuje mi pracy w gazecie.
- Wyłapałeś jakiś ślad angielskiego akcentu w głosie któregoś z nich?
- Mówią jak wszyscy aktorzy - odrzekł Smith.

Bell przytaknął ponuro. Wielu amerykańskich aktorów naśladowało wymowę angielskich wyższych sfer, często bardzo głośno, żeby słyszeli ich widzowie na balkonie. Archie Abbott nazywał „aktorską mową” ich

teatralny styl wyrażania się z dokładną dykcją i wyśmienitą fleksją, którym towarzyszyła władcza postawa.

– Ustawiłem sprawę tak, żeby móc spróbować jeszcze raz - powiedział Smith. - Zainteresowałem rzecznika prasowego zatrudnieniem mnie jako autora widmo ich pamiętników. Czy wolisz Helen albo Archiego?

– Teraz moja kolej - odparł Bell.

35.

Jak prawie co wieczór w każdym mieście, gdzie grali, Barrett i Buchanan poszli po spektaklu do swojego pociągu. Dziś w wejściu na prywatne perony wysoki, szczupły młody blondyn w białym garniturze dotknął róna swojego kapelusza w przyjaznym salucie.

– Dobry wieczór panom. Nazywam się Isaac Bell i byłbym zaszczycony, gdyby zjedli panowie ze mną kolację w moim wagonie.

Bell wskazał wspaniale wyposażony ciemnozielono-złocisty wagon. Aktorzy już zauważyli, że jest z dużo wyższej półki niż wagony pociągów innych milionerów, które przyjechały na noc do Cincinnati.

– Dziękuję, panie Bell - odrzekł Buchanan - ale to był długi dzień.

– Ja miałem wiele długich dni - powiedział Bell - ale wreszcie mogę złożyć panom lukratywną propozycję. - Znów wskazał swój wagon. - Wiem, że nie skuszę panów szampanem, ale mój kucharz grilluje jedno z waszych ulubionych dań - marylandzkiego rokusa.

– Jak pan się o tym dowiedział? - zapytał Buchanan.

Bell się uśmiechnął.

– Teatr to dla mnie nowość, ale działając z należytą starannością w imieniu mojego syndykatu, nauczyłem się, że aktorzy słyną z dobrego apetytu po przedstawieniu - a po doskonałym spektaklu są głodni jak wilki - i że panowie szczególnie lubią rokusa. Choć my, hartfordzcy Jankesi, nazywamy go skalnikiem.

– Gdzie pański kucharz dostał świeżego rokusa w Cincinnati? - spytał Barrett.

– Zamienił szampana, którego panowie nie pijecie, na mrożone ryby z ekspresu St. Louis.

– Przekonał mnie pan - oznajmił Barrett.

Buchanan przytaknął.

– Mnie też.

Bell zaprowadził ich do swojego wagonu. Pierwsze danie złożone z krewetek na zimno i homara podano do oświetlonego świecami stołu z kryształami, srebrem i porcelaną kostną Staffordshire ze scenami z Szekspira.

Jak przewidział Archie Abbott, Barrett i Buchanan pochłonęli krewetki i homara w pełnym wdzięczności milczeniu. Bell patrzył z podziwem, jak z równym apetytem zajadają rybę, szparagi i młode ziemniaki. Barrett odezwał się dopiero przy omlecie norweskim.

– Co lukratywnego pan proponuje, panie Bell? - zapytał.

– Niedawno jadłem lunch z waszymi sponsorami - odrzekł Bell - i postanowiłem zwrócić się bezpośrednio do was.

– Innymi słowy, nie byli zainteresowani? - spytał Barrett.

– Starali się namówić mnie do współfinansowania *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*.

– Dlaczego?

– Ależ, panowie, tamten artykuł to żadna tajemnica. Jestem pewien, że przetrwacie, ale nie dziwię się Deaverom, że chcą rozłożyć ryzyko i wycofać część swoich pieniędzy. Osobiście nie wątpię, że wasz *Doktor Jekyll i pan Hyde* będzie grany na wyjazdach przez wiele lat.

– Miejmy nadzieję - wtrącił Buchanan.

– Ale wyobrażam sobie, że w pewnym momencie zechcecie pójść dalej.

– To znaczy?

– Wystawić nową sztukę - odparł Bell.

– Przerzucić się z czegoś pewnego na niewiadomą? - zdziwił się Buchanan. - O, nie, dziękuję bardzo. Chyba że mógłbym wystawić nową sztukę za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zamiast za pieniądze, ale bilety nadal sprzedawałbym za pieniądze.

– Pierwsza zasada teatralna - wtrącił się Barrett. - Dbaj o swoje przeboje. Kiedy przestajesz wystawiać dobrą sztukę, to tracisz ją na zawsze. Jesteś nieśmiertelny - jesteś bogiem - dopóki kurtyna nie spadnie po twoim ostatnim spektaklu. Następnego ranka pukasz do drzwi bankiera z czapką w ręku.

– Mój syndykat zapłaci za nową sztukę - obiecał Bell. - Nie będziecie musieli zbierać pieniędzy.

– Dlaczego my?

– Wasz współczesnik *Jekyll i Hyde* pokazuje, że utwór Roberta Louisa Stevensona jest tak pewnym sukcesem finansowym, jak był dwadzieścia pięć lat temu. Jesteście odpowiednimi ludźmi do powtórzenia tego z *Wyspą skarbów*.

– Czy nie słyszeliśmy, że Julie Goodman pisze *Wyspę skarbów*? - zwrócił się Buchanan do Barretta.

– Nieważne, co robi Jules Eckert Goodman - skwitował to Bell. - Nasza wersja będzie musicaliem.

– Musicaliem? Dziwny pomysł.

Bell odwzajemnił lekki uśmiech.

– Nasza należyta staranność to nie tylko rok. Robiliście już musicale. I one zarabiały pieniądze.

– Fakt, nie straciliśmy na tym - przyznał Buchanan.

– Krytycy i publiczność - ciągnął Bell - przyklaskują waszej zamianie ról w *Jekyllu i Hydzie*. Spodoba im się *Wyspa skarbów*. Jednego wieczoru będzie pan Długim Johnem Silverem, panie Barrett, a następnego dziedzicem Trelawneyem.

Aktorzy popatrzyli na Bella z chytrymi minami, co mu powiedziało, że przykuł ich uwagę. Czas zastosować się do wskazówki Archiego Abbotta: do ludzi teatru przemawia gotówka.

– Wzbogaciecie się na *Wyspie skarbów*. Same tantiemy za scenariusz mogą wynieść pięćdziesiąt tysięcy, jeszcze zanim policzycie wasze zyski z broadwayowskiej produkcji i tournée.

– Z *Wyspą skarbów* jest jeden wielki nierozwiązywalny problem - oznajmił Buchanan.

– Nie widzę żadnego. Wdowa po panu Stevensonie przyjęła naszą ofertę co do praw autorskich, a milion ludzi, którzy w dzieciństwie uwielbiali tę książkę, ustawi się w kolejce po bilety.

– Problemem jest brak dziewczyny w tej historii - wyjaśnił Barrett. - Nie ma żadnego romansu. Żadnej nadziei, że bohater i bohaterka zakochają się w sobie. W musicalu *Wyspa skarbów* musi być romantyczny wątek, jeśli ma on być grany przy pełniejszych widowniach, niż na bożonarodzeniowych pantomimach dla dzieci.

– Ależ tam jest dziewczyna - odparł Bell.

Barrett się roześmiał.

– Proponuje pan zabrać w podróż matkę młodego Jima Hawkinsa?

Buchanan też się roześmiał.

– Matka Jima zakocha się w Długim Johnie Silverze, a on pod wpływem miłości się nawróci i przekształci swoją tawernę Luneta w misję metodystów.

– Doktor Livesey jest waszą dziewczyną - powiedział Bell.

Oczy aktorów zabłysły jak złote dwudziestodolarówki.

– Pomagier dziedzica Trelawneya zmieni się w jego narzeczoną - podsunął Barrett.

– W osiemnastym wieku nie było kobiet lekarzy - zaprotestował Buchanan.

– Akcja waszej współczesnionej *Wyspy skarbów* będzie się rozgrywała w dwudziestym wieku - odrzekł Bell. - Tu i teraz, w 1911 roku, jak *Jekyll i Hyde*.

– W 1911 roku nie ma piratów - zauważył Barrett. - Królewska Marynarka Wojenna zlikwidowała ich.

Bell popatrzył im obu w oczy.

– W 1911 roku nie brakuje nożowników.

Barrett i Buchanan wymienili spojrzenia.

– To prawda - przyznał Buchanan i Bell powstrzymał chęć, żeby wycelować pistolet w ich twarze i zapytać ostro, jaka jest prawda.

– Ale skąd się wziął zaginiony skarb bez piratów? - zapytał Barrett.

Bell miał gotową odpowiedź.

– Z wojny hiszpańsko-amerykańskiej.

– Właśnie! - wykrzyknął Barrett, nagle podekscytowany. - Zabrali skarb, kiedy „Maine” wyleciał w powietrze na Kubie.

– Długi John Silver zdradził kubańskich rebeliantów - zawtórował mu Buchanan i obaj wzniesli okrzyk bojowy z 1898 roku: - Pamiętajcie „Maine”!

– Możecie namówić panią Isabellę Cook, żeby zagrała doktor Livesey? - zapytał Bell.

– Pani Cook zażąda udziału w zyskach.

– Zgodzę się na każdą umowę, jaką z nią zawarliście, żeby była zadowolona z roli w *Jekyllu i Hydzie*. Co mi przypomniało, że chcę jeszcze raz zobaczyć waszą produkcję, zanim zdam relację moim inwestorom.

– Jutro wieczorem będzie pan naszym gościem.

– Nie, dziękuję, kupię bilet. To wyłącznie interes. Ale chciałbym poprosić o przysługę.

– Co tylko pan chce!

– Jeśli postanowimy ruszyć naprzód z *Wyspą skarbów*, to chciałbym spędzić jakiś czas z waszym zespołem teatralnym, który wystawia *Jekylla i Hyde'a* - za kulisami i w waszym pociągu w drodze na Zachód.

– Zanudzi się pan, panie Bell - uprzedził Buchanan. - To wyłącznie interes.

– W melodramatach nie ma chórzystek - wyjaśnił Barrett.

Bell się uśmiechnął.

– Niedawno się ożeniłem. Niepotrzebne mi chórzystki. Ale mam obowiązek poznać tyle tajników sztuki teatralnej, żeby chronić moich współników.

– Niech pan przyczepi swój wagon do naszego pociągu - zaproponował Barrett.

– Na czas jazdy do San Francisco - uściślił Buchanan.

– Będzie pan naszym brankardem.

– Nie mógłbym prosić o więcej - odrzekł Bell.

36.

Nożownik naniósł pędzelkiem klej na górną wargę i zaklął głośno. Właśnie się ogolił, skóra była podrażniona i piekła jak diabli. Wiedział, że będzie jeszcze gorzej, kiedy usunie wąsy, tym razem wielkie, sumiaste. Powachlował tiul programem pamiątkowym i przymocował je pod nosem.

Miał na sobie czerwoną kraciatą koszulę i niebieski pasiasty kombinezon, który wypchał końskim włosiem. Teraz włożył znoszony melonik i okulary w drucianej oprawce. Obcinaki do rur, klucze maszynowe, piła do metalu, pilniki i benzynowa lutlampa w drewnianej skrzynce narzędziowej uzupełniały wizerunek gazownika. Miał nawet wizytówkę z Cincinnati Gas and Electric Company z hasłem „Ogrzewaj gazem, oświetlaj elektrycznością”. Firma się rozwijała, zdobywając takich nowoczesnych, obiecujących klientów, jak Agencja Detektywistyczna Van Dorn na Plum Street.

Wziął skrzynkę narzędziową na ramię, wyszedł ze swojego żółtego domku nad rzeką, poszedł na przystanek tramwajowy i pojechał do śródmieścia. Wsiadł blisko Plum Street i poszedł do biura Van Dorna na parterze wyglądającego solidnie budynku. Tylne drzwi były w głębi uliczki, ale wszedł frontowymi.

Jedną ścianę zajmowały listy gończe, łącznie z jego postarzoną z wyobraźnią podobizną, która przykuła jego wzrok w dzielnicy czerwonych latarni. Bystrooki młody detektyw pracujący w samej koszuli i kamizelce miał pistolet w kaburze pod pachą. Zerwał się zza biurka z uśmiechem, skory do pomocy.

– Witam. Czym mogę służyć?

– Mam sprawdzić wasz gazomierz.

Detektyw otworzył drzwi na schody do piwnicy.

– Niech pan krzyknie, gdyby pan czegoś potrzebował.

– Dziękuję. - Nożownik przystanął na stopniach i popatrzył na ścianę z listami gończymi. - Uważacie, że złapiecie tych wszystkich facetów?

– Takie mamy zadanie.

– Zrobicie to?

– Co?

– Złapiecie ich?

– Nigdy się nie poddajemy.

– Nigdy?

Nożownik przyjrzał się swojej podobiznie. Rozpoznał rękę londyńskiego ilustratora gazetowego. Dobry rysownik, ale wizerunek nie był wierny. Kusiło go, żeby stanąć obok, oderwać swoje sumiaste wąsy i zapytać, czy wygląda znajomo.

* * *

Umiał używać każdego narzędzia w swojej skrzynce. W teatrze całe oświetlenie było teraz elektryczne, ale nauczył się wszystkiego o instalacji gazowej jako praktykant w czasach, kiedy w lampach na brzegu sceny, nad

nią i za kulisami płonął gaz miejski. Tutaj, w Cincinnati, używano nowego, wydajniejszego ziemnego wydobywanego ze złóż, a nie wytwarzanego z węgla.

Znalazł rurę doprowadzającą gaz, potem główny zawór i zamknął go. Zdjął licznik z rur wlotowej i wylotowej. Otwory wlotowy i wylotowy powinny być dobrze uszczelnione, żeby powietrze nie dostało się do resztek gazu w liczniku. Zostawił je otwarte i położył licznik na podłodze piwnicy dokładnie pod rurą zasilającą, za co każdy kierownik natychmiast wyrzuciłby montera z pracy, gdyby to zauważył. Potem połączył rury wlotową i wylotową nagwintowanym wcześniej kawałkiem ołowianej rurki, w której wywiercił mikroskopijną dziurkę. Otworzył główny zawór i wydostający się wolno przez dziurkę gaz zaczął wypełniać piwnicę.

Dostające się do odkręconego licznika powietrze tworzyło z gazem wewnątrz wybuchową mieszanę. Wsunął do jednego z otworów koniec długiego kawałka lontu wolnopalnego, rozwinął go wzdłuż ściany piwnicy i zapalił. Wolno sunący płomień miał zapalić mieszanę powietrzno-gazową w liczniku, żeby ta mała eksplozja spowodowała potężny wybuch reszty nagromadzonego gazu, tak jak spłonka wywołuje detonację dynamitu.

Wspiął się po schodach i zamknął drzwi.

– Co to za zapach? - zapytał detektyw.

Nożownik wyjął ze skrzynki lutlampę.

– Musiałem podgrzać rurę.

– Mam nadzieję, że nie świecił pan tym sobie w poszukiwaniu nieszczelności - zażartował detektyw.

Nożownik się roześmiał.

– Może pan wierzyć lub nie, ale mimo że stale ostrzegamy ludzi, żeby tego nie robili, wciąż zapalają zapałkę, kiedy czują gaz w ciemności. Przepraszam za swąd, zaraz się ulotni.

* * *

Bell uchylił kapelusza przed Isabellą Cook.

Aktorka piła herbatę w wiklinowym fotelu paw w palmiarni hotelu Pałace. Inne damy były w kapeluszach z szerokimi rondami ze stertami kwiatów i piór na wierzchu, a la Wesoła Wdówka, które wplątywały się w wysokie oparcia foteli. Pani Cook nie miała tego problemu - siedziała w najmodniejszym paryskim nakryciu głowy: turbanie projektu Paula Poireta, który ściśle przylegał do jej pięknej twarzy i podkreślał jej oczy, łukowe wargi i orli nos.

– Wszędzie pani szukałem.

– Z biletem będzie pan blisko jeszcze przez trzy wieczory w teatrze Clark. Potem może pan obejrzyć przedstawienie w St. Louis, Denver i San Francisco.

– Nie mogę zaryzykować i wykrzyzczyć mojej propozycji w teatrze - odrzekł Bell. - Publiczność zlinczowałaby mnie za przerwanie pani występu.

Zmierzyła go wzrokiem z lekkim uśmiechem i chytrym wyrazem w oczach.

– Wygląda mi na to, że mieliby pełne ręce roboty, gdyby spróbowali. Kim pan jest?

Bell zdjął kapelusz.

– Isaac Bell. Mogę się przysiąc?

– Czego pan chce, panie Bell?

– Mam propozycję, która uczyni panią bogatą i szczęśliwą.

– Nabrałam się na to, kiedy wychodziłam za mąż.

– Proszę przyjąć moje kondolencje - powiedział Bell. - Wiem, że pani owdowiała zeszłej jesieni.

Zignorowała kondolencje.

– Czy to propozycja finansowa? - spytała.

– Tak.

– Niech pan siada, panie Bell.

Przywołała gestem kelnerkę i Bell zamówił herbatę. Pogawędzili o Cincinnati, przyjemnościach i uciążliwościach podróżowania, jej występach na scenie, jego sprzedaży ubezpieczeń bankom, kolejom i potentatom tartacznym. Zapytała go, gdzie mieszka, kiedy nie podróżuje.

Odpowiedział zgodnie z prawdą, bo zgadzała się z jego przykrywką ubezpieczeniowca od Daggeta, Staplesa & Hitchcocka.

– Mamy z żoną dom w San Francisco.

– Nowo zbudowany po trzęsieniu ziemi?

– Jeden z niewielu, które ocalały na Nob Hill.

Wydawała się pod wrażeniem, że na Nob Hill.

– Czytałem w chicagowskich gazetach, że jest pani bliską przyjaciółką panów Barretta i Buchanana.

– Pracowaliśmy razem w przeszłości. I dobrze jest nam razem teraz. Chłopcy są poważnymi biznesmenami i doskonałymi showmanami, rzadkie połączenie w teatrze.

– Skąd pochodzą?

– Z teatru! - odparła z szatańskim uśmiechem i Bell, który natychmiast ją polubił, polubił ją jeszcze bardziej. - Urodzili się w kufrze z rekwizytami.

– Obaj?

Zażartował tak jak ona, żeby skierować ją w stronę tajemnicy, gdzie się urodzili.

– A gdzie indziej mieliby się urodzić, panie Bell? W jakimś ponurym mieście w głębi kraju? W jakimś przygnębiającym miasteczku bez sztuki i teatru?

– Czytałem w czasopiśmie, że pani jest z małego miasta.

– Wiem, o czym mówię. Choć wyznam, że gdybym się urodziła w wielkim mieście, to może aspirowałabym co najwyżej do stanowiska najmłodszej przewodniczącej Kobiecego Towarzystwa Ogrodniczego.

– Z pewnością najbardziej pociągającej - zauważył Bell.

– Flirtuje pan ze mną?

– Nie, proszę pani. Nigdy nie flirtuję z pięknymi kobietami.

Uniosła brwi w uśmiechu.

– Dlaczego?

– Jestem wierny żonie.

– Szkoda... Jaka jest pańska oferta?

– Zaproponowałem wsparcie dla nowej sztuki Barretta i Buchanana. Mam nadzieję, że panią to zainteresuje, i dlatego pytałem o ich pochodzenie. Jako pełnomocnik finansowy mojego syndykatu mam obowiązek znać charakter i pochodzenie ewentualnych współników.

– Ich „charakter i pochodzenie” to otwarta książka. Są na scenie całe życie i mają opinię tak uczciwych jak większość producentów. Poważnie, panie Bell. Gdyby kiedykolwiek była jakaś oznaka oszustwa, rozstałabym się z nimi. Uważam, że może pan śmiało polegać na nich. Są tymi, kim się wydają - niepokonanymi ludźmi teatru.

– Wygląda na to, że pani ich podziwia.

– Podziwiam tych, co potrafią przetrwać i odnosić sukcesy z minimalną szkodą dla innych. Teatr nie jest łatwy. Oni go dobrze robią. Dlatego nie obchodzi mnie, gdzie się urodzili. Skoro o tym mowa, to nie wiem, dlaczego pana to obchodzi. A teraz, niech pan mi przedstawi swoją propozycję. Po to się pan przysiadł.

– Moi mocodawcy zobowiązali mnie do sfinalizowania umów z Barrettem i Buchananem w pierwszej kolejności. Mam wielką nadzieję, że potem porozumiem się również z panią.

– Zanim straci pan czas, uprzedzę pana: nie będę pracowała dla nich, tylko z nimi.

– To oczywiste - odrzekł Bell. - Sensacja, jaką dzięki pani stał się *Jekyll i Hyde*, zapewnia pani główną rolę.

– Zatem czekam na pytania.

– Jestem ciekaw jednego. Wydaje się dziwne, że aktor Medick i pani mąż, Rufus Oppenheim, zginęli w odstępie kilku dni.

– Dziwne? Raczej niesamowite. Gdyby nie ich śmierć, nie byłoby ani sukcesu na Broadwayu, ani tournée, ani mojego „triumfalnego powrotu.”

– Dlaczego?

– Medick miał prawa do spektakli wyjazdowych *Jekylla i Hyde’a* Richarda Mansfielda. Sponsorzy Barretta i Buchanana nie zainwestowaliby w ich nową wersję, gdyby Medickowi powiodło się tournée.

– Nic dziwnego, że użyła pani słowa „niesamowite”. To prawda, że Medick spadł ze schodów ewakuacyjnych?

– Podobno ścigany przez męża jakiejś kobiety. Medick był znanym kogutem, że się tak wyrażę, nienawidzonym przez panów młodych i uwielbianym przez panny młode.

– Jak John Buchanan? - zapytał Bell.

– Skąd ten pomysł?

– Należyta staranność wymaga sprawdzania pogłosek.

Isabella Cook pokręciła głową.

– Pan Buchanan nigdy nie grasuje w swoim kurniku. Robi eskapady tam, gdzie nie jest to niczyją sprawą - daleko od sceny i na wyższe szczeble hierarchii społecznej, gdzie unika się złośliwych moralistów.

– Słucham tego z ulgą. Pan Barrett też jest taki wrażliwy?

– Według mojego doświadczenia - odrzekła - pan Barrett też trzyma się z daleka od aktorek... Jak zeszliśmy na eskapady, panie Bell?

– Mówiliśmy o dwóch dziwnych zgonach - Medicka na schodach ewakuacyjnych i pani męża na jachcie.

– Ja też o mało nie zginęłam, a niesamowite jest właśnie to, że tender akurat zabrał mnie na brzeg na lunch w Knickerbockerze. Usłyszałam eksplozję, kiedy weszłam na pirs. Odwróciłam się i zobaczyłam koszmarny widok - zamiast jachtu była przerażająca kula ognia. Miałam szczęście, że byłam umówiona. Nie, żeby słowo „szczęście” pasowało do tamtej sytuacji.

– Z kim się pani spotkała na lunchu?

– Z Chłopcami. Jackson i John chcieli, żebym namówiła pana Oppenheima, żeby mi pozwolił wrócić na scenę. Czego oczywiście nigdy by nie zrobił. Mężczyźni są niemożliwi pod tym względem, nie jest tak? Jak długo jest pan żonaty, panie Bell?

– W przyszłym tygodniu będziemy świętowali naszą pierwszą rocznicę.

– Pozwala pan żonie robić własną karierę?

– Miała ten zwyczaj, zanim ją poznałem.

– Czym się zajmuje?

– Kręci filmy.

– Naprawdę? Często się wymykam na popołudniowe seanse. Dobra zabawa. Na pewno widziałam coś jej.

– Nazywa się Marion Morgan Bell.

– Marion Morgan! Oczywiście! Twórczyni filmów, która wyszła za ubezpieczeniowca. Pan jest ubezpieczeniowcem, ale nie tak statecznym, jak sugeruje ta nazwa. Uwielbiam jej filmy.

– Chętnie zobaczyłaby panią w którymś.

– Nie wyobrażam sobie pracy z filmowcami - odparła chłodno Isabella Cook. - Na scenie gram dla mojej publiczności, nie dla jakiejś anonimowej istoty, która tnie kawałki celuloideu.

– Marion jest za urocza na anonimową istotę. Jest fantastyczna... Przepraszam! To było bezmyślne.

– Co pan ma na myśli?

– Zachwycanie się własnym małżeństwem, kiedy pani właśnie straciła męża.

Isabella Cook musnęła koniuszkami palców wierzch dłoni Bella.

– Rufus Oppenheim był łajdakiem - powiedziała.

* * *

Po powrocie do swojego wagonu Bell zdepeszcował do Nowego Jorku:

Przyspieszyć śledztwo

Medick schody ewakuacyjne

Oppenheim jacht

Chwytał się brzytwy.

Gdyby tylko mógł wymyślić jakiś sposób na zdekongrowanie Nożownika. Na zmuszenie go do oglądania się za siebie. Na wytrącenie go z równowagi, zanim znów zabije.

37.

– Panno Mills - powiedział inspicjent sztuki *Alias Jimmy Valentine* - niech pani przeczyta ten tekst z panem Douglasem Lockwoodem, który gra detektywa Doyle'a.

Helen Mills przytaknęła z zapalem.

Lockwood był wysoki, przystojny i szorstki, co pasowało do postaci Doyle'a, detektywa zdecydowanego posłać nawróconego kasiarza Jimmy'ego Valentine'a z powrotem do więzienia. Wziął Helen mocno za ramię swoją silną ręką i stanął bardzo blisko.

Wypowiedział swoją kwestię.

Helen wypowiedziała swoją:

– Tak, panie Doyle.

Inspicjent poprosił ich, żeby to powtórzyli. Wciąż trzymając ją za ramię, Lockwood powtórzył swoją kwestię. Helen powtórzyła swoją. Potem Lockwood zwrócił się do inspicjenta, jakby Helen nie stała na scenie między nimi:

– Jest trochę zielona. Właściwie sztywna jak deska. Może nie beznadziejnie... Która godzina? Coś panu powiem: ja ją przesłucham. Niedługo przyprowadzę ją z powrotem.

- Za pół godziny, panie Lockwood.
- Choć, kochana. Weź swój scenariusz.

Lockwood wszedł z nią za kulisy, zaprowadził ją do garderób aktorów pierwszoplanowych i otworzył drzwi ze swoim nazwiskiem. Pokój miał wygodną wielkość, oświetlone lustro do charakteryzacji, umywalkę z bieżącą wodą i kanapę.

– Usiądź tam. Teraz tak, kochana. Jeśli chcesz dobrze zagrać swoją rolę, to musisz wywołać wrażenie, że detektyw Doyle cię pociąga. Jest tchnieniem świeżego powietrza w twoje ograniczone życie i bardziej cię podnieca niż chłopcy, którzy się do ciebie zalecają. Więc kiedy mówisz: „Tak, panie Doyle”, to musisz pokazać, że jesteś uradowana - wręcz zachwycona - jego propozycją... Okej? To spróbujmy. Ułatwię ci to, usiądę obok ciebie.

Usiadł blisko niej, wziął ją mocno za ramię i wypowiedział swoją kwestię.

- Tak, panie Doyle - odrzekła Helen.
- Nie, nie, nie, nie.

Najwyraźniej zawiedziony i zniecierpliwiony, przeczesał włosy palcami. Potem poklepał ją po ramieniu.

– Chyba mogłabym się trochę odprężyć, gdyby pan po prostu mówił do mnie przez chwilę. Opowiedział mi o sobie.

Lockwood się uśmiechnął.

- A co chcesz wiedzieć? - zapytał chrapliwym głosem.
- Och, sama nie wiem... Gdzie się pan urodził? Mówi pan jak Anglik.
- To bardzo miłe z twojej strony, ale niestety moje miejsce urodzenia nie jest aż tak romantyczne.
- Czytałam w jakimś czasopiśmie, że pan jest z Londynu.
- Mylisz mnie z moim kolegą gwiazdorem. Pan Vietor jest z Anglii.
- O rety, bardzo przepraszam.

Badacze Grady'ego Ferrera przepytali redaktora naczelnego czasopisma, który trzymał się tej historii, ale nie przedstawił dowodu.

– Publicyści czasami przesadzają.

– Gdzie pan się urodził?

– W Jersey City. Po przeciwnej stronie rzeki niż Nowy Jork. Nie jesteś z Nowego Jorku, prawda?

– Nie, z małego miasta w Marylandzie, o którym pan nigdy nie słyszał.

Lockwood westchnął.

– Wy, dziewczyny z Południa, jesteście tak podniecające, że nie mogę zapanować nad sobą.

– Proszę mnie puścić, panie Lockwood.

– Odpręż się, kochana, i wejdź w nastrój twojej kwestii. Ostatecznie mówisz „tak”.

– Nie za kulisami.

– Lepiej zrób to i tutaj, jeśli chcesz wyjść na scenę - odparł szorstko. - No, dalej, kochana, nie mamy całego popołudnia. Mogę załatwić ci tę rolę jednym pstryknięciem palcami.

– Jeśli nie zabierze pan rąk ode mnie, panie Lockwood, to powalę pana na podłogę.

Jedną ręką sięgnął do jej bluzki, drugą spróbował zadrzeć jej spódnice.

– Nie zdołasz mnie powalić. Jestem większy od ciebie.

Usłyszała słowa Bella: „Jesteś silną dziewczyną, Helen. Nigdy się nie poddawaj. Atakuj”.

„A jeśli przeciwnik będzie za duży, żeby go pokonać?”

„Zmyl go. Zneutralizuj”.

Roześmiała się.

– Śmiejesz się ze mnie?

Lockwood nagle zrobił wredną minę. Uniósł rękę, żeby ją spoliczkować.

Całkowicie się odsłonił.

* * *

– Dziękuję panom za czytanie - powiedział Henry Young. - Będziemy w kontakcie.

Czterech aktorów uśmiechnęło się dzielnie, podziękowało inspicjentowi i poszło przejściem przez pustą widownię teatralną.

– Panie Abbott, mógłby pan chwilę zostać?

Archie Abbott podszedł do sceny.

Henry Young, wysoki i smukły jak bocian - silny bocian - stał przed stylową dekoracją do *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*. Powieka drgała mu nerwowo. Jedna rola została nieobsadzona, kiedy grającego w *Jekyllu i Hydzie* aktora skusił powrót do Nowego Jorku na przesłuchanie do nowej sztuki Paula Armstronga - występując w *Jimmym Valentinie*, stał się bożyszczem tamtego miasta i chętnie wyświadczył przysługę Josephowi Van Dornowi. Inspicjent pilnie potrzebował zastępcy, żeby samemu nim nie zostać.

– Mam nadzieję, że zostanę dłużej niż chwilę - odrzekł Abbott z zawodowym uśmiechem, który wyrażał wiarę we własny talent, zdrowe zwyczaje i chęć do ciężkiej pracy.

– Pamiętam pana sprzed kilku lat, panie Abbott.

– Ma pan doskonałą pamięć. To było w dziewięćset drugim. Przesłuchiwał mnie pan do roli w objazdowych spektaklach *Serca Maryland* pana Belasco.

– Zdaje się, że to było przed wiosennym tournée po Środkowym Zachodzie.

– Nie dostałem tamtej roli.

– Był pan za młody. I obawiam się, że do tej też pan jest. Niech pan pamięta, że pan Pool jest lokajem pana Hyde'a od ponad dwudziestu lat.

– Mówię to z przykrością - odparł Abbott - ale naprawdę uważam, że mogę zagrać mężczyznę po pięćdziesiątce.

– Mam jeszcze inne zastrzeżenia.

– Mogę je usłyszeć, żeby pana uspokoić? - spytał Abbott.

– Sposób, w jaki pan to powiedział, budzi moje następne zastrzeżenie. Sprawia pan wrażenie wysoko urodzonego. Jak publiczność ma uwierzyć, że pan jest lokajem?

– Najlepsi lokaje, jakich znam, mogą łatwiej uchodzić za dżentelmenów niż większość tak zwanych dżentelmenów. Zgoda, część publiczności może nie wiedzieć z własnego doświadczenia, że od służącego dżentelmenowi lokaja wymaga się chłodnej głowy i bystrego oka przy wykonywaniu obowiązków, ale wszyscy docenią jego pozytywne nastawienie.

Henry Young nadal wydawał się mieć wątpliwości, więc Abbott zapewnił:

– Potrafię wywołać wrażenie służalczości.

Inspicjent milczał.

Abbott uznał, że gdyby nie był poważnym kandydatem do tej roli, to ta rozmowa już by się skończyła.

– Wspomniał pan o innych zastrzeżeniach.

– Trudno mi uwierzyć, że pan naprawdę chce dostać tę rolę.

– Bardzo chcę. Potrzebuję tej pracy.

– Ale słyszałem, że pan się dobrze ożenił - odparł inspicjent.

Abbott przytaknął.

– Z pewną dziedziczką.

– Czyli wyjątkowo dobrze.

– Jest urocza - odrzekł Abbott - przemiła, wielkoduszna, inteligentna, niezwykle piękna i odziedziczy wiele kolei po swoim kochającym ojcu, który jest starym człowiekiem o słabym sercu.

– To dlaczego chce pan dostać małą rolę w sztuce, która przestaje być grana w zapomnianym przez Boga Cincinnati i będzie wystawiana w jeszcze bardziej zapomnianych przez Boga miejscach na zachodzie?

– Bo moja żona oprzytomniała.

* * *

– Dziewczyny z zespołu teatralnego, który wystawia *Jimmy'ego Valentine'a*, powiedziały mi, że pan Vietor twierdzi, że w 1888 zaczął naukę w szkole z internatem w Bedford - zameldowała Bellowi Helen Mills.

– Bedford jest sto dwanaście kilometrów na północ od Londynu. Półtorej godziny jazdy pociągiem.

– Problem w tym, panie Bell, że Vietor mówi, że miał wtedy dwanaście lat.

– Dwanaście?

– W dziewięćdziesiątym pierwszym był jeszcze w szkole i miał piętnaście lat. Czyli dziś miałby trzydzieści pięć. Nie ponad czterdzieści.

– Kiedy przybył do Ameryki?

– Pierwszy raz w dziewięćdziesiątym siódmym.

– W wieku dwudziestu trzech lat.

– Najpierw wyrobił sobie nazwisko w Londynie. Od tamtej pory podróżuje tam i z powrotem.

– Zatelegrafuję do Joela Wallace'a - powiedział Bell - żeby to sprawdził w szkole w Bedford, ale to może zająć wieczność. Vietor musi ukrywać swój prawdziwy wiek. Jeśli Mapes miał rację, to Vietor jest po czterdziestce.

– Jest jeszcze coś, panie Bell. On przygotowuje Lucy Balant do zagrania większej roli. Ostrzegłam ją, żeby nie zostawała sama z żadnym mężczyzną. Łącznie z nim. Nie wiem, czy posłucha.

– Każę Harry'emu Warrenowi obserwować go - odrzekł Bell. - Kto jeszcze w obsadzie *Valentine'a* jest podejrzany?

– Aktor, który gra detektywa Doyle'a, na pewno ukrywa swój wiek. Twierdzi, że ma trzydzieści dwa lata. Dziewczyna, która dobrze go zna, przysięga, że on ma pięćdziesiąt dwa. I powiedział mi, że urodził się w Jersey City, nie w Londynie.

– Jak go oceniasz?

– Dla mnie mówi jak Anglik, ale według Archiego większość z nich tak robi. Tyle że na pewno nie ma trzydziestu dwóch lat. Co najmniej pięćdziesiąt.

– Skąd ta pewność?

– Ma słaby refleks.

38.

Życie w teatrze - na scenie i za kulisami - nauczyło Henry'ego Bookera Younga, że przesłuchanie do roli ma ją zapewnić protegowanej sponsora. Od inspicjenta, jak zwykle, oczekiwano odpowiedzialności. Ale zniecierpliwienie musiała łagodzić uprzejmość. A talent, nawet niewielki, miał być zauważony i jakoś pochwalony. Zwłaszcza gdy sponsor - wysoki, przystojny i według Younga groźnie wyglądający pan Bell - siedział na brzegu krzesła w pierwszym rzędzie pustej widowni i obserwował wszystko jak sokół.

– Może mi pani opowiedzieć o swojej pracy na scenie, panno Mills?

– Grałam Norę w *Domu lalki* - odrzekła szybko Helen Mills - Gwendolen Fairfax w *Bądźmy poważni na serio*, *Candidę* w *Candidzie* i...

– Gdzie?

– W Bryn Mawr.

– W college'u.

– Tak, panie Young.

– Występowała pani z jakimiś uznanymi zespołami teatralnymi?

– To będzie mój pierwszy raz.

– Była pani kiedykolwiek przesłuchiwana w jakimś uznanym zespole teatralnym?

Helen wyglądała na speszoną.

– No, więc?

– Do roli w *Jimmym Valentinie*.

– Jak pani wypadła?

– Zrezygnowałam.

Young uśmiechnął się lekko.

– To by się zgadzało z krążącą opowieścią o złamanym nosie pana Lockwooda. Pani tak urządziła gwiazdora, panno Mills?

– Niestety straciłam panowanie nad sobą.

– Atrakcyjnej dziewczynie nie jest łatwo w teatrze - odrzekł współczująco Young. - Radziłbym się dobrze zastanowić, ile jest pani gotowa poświęcić, żeby wyjść na scenę.

Wykroczył tak daleko poza zwyczajowe granice rozmowy kwalifikacyjnej z protegowaną sponsora, że sponsor wyraźnie zeszywniał.

Denerwował się przy Bellu. Ten pozornie typowy bogaty mężczyzna, który upatrzył sobie aktorkę, różnił się od innych. Był dużo bardziej wysportowany niż obiboki w rodzaju braci Deaver. I wydawał się naprawdę troszczyć o tę dziewczynę, prawie jak ojciec - choć gdyby rzeczywiście nim był, to w chwili jej narodzin nie miałby więcej, niż dziewięć lub dziesięć lat. Może to prawda, że Helen Mills jest siostrzenicą jednego z jego inwestorów? Może Tennyson myślał o inspicjentach, kiedy pisał: „Nie im do przyczyn docierać, im wykonywać i umierać”?

Choć wiedział, że to niebezpieczne, brnął przekornie dalej, zdecydowany z jakiegoś nieokreślonego powodu oszczędzić jej rozczarowania.

– Uprzywilejowane kobiety rzadko próbują zostać aktorkami. Inaczej niż na przykład ekspedientki z wielkimi ambicjami, przywykłe do ciężkiej pracy, która jest wymagana na scenie.

– Niech pan się o mnie nie martwi, panie Young. W college’u miałam stypendium. Dorastałam w przemysłowym mieście bez grosza przy duszy.

– Doskonale - odparł Young. Wytworność młodej kobiety wprowadziła go w błąd. - Będzie pani pojawiała się sporadycznie na scenie jako pokojówka odkurzająca miotełką z piór bibliotekę pana Hyde’a i w razie potrzeby zastępowała aktorkę grającą duszoną kobietę. Zobaczmy, jak to pani wyjdzie.

Wręczył jej stronę scenariusza.

– Niech pani się nie spieszy i zacznie, kiedy pani będzie gotowa.

– Jestem gotowa.

– To jedziemy.

Zwinęła kartkę w rulon, wzięła ją jak miotełkę z piór, spuściła wzrok, jakby onieśmielona obecnością swojego pracodawcy, i powiedziała:

– Pan Hyde nie przyszedł jeszcze do domu, doktorze Jekyll.

– Da pani radę.

– To znaczy, że mam tę rolę?

– Będzie pani dostawała dwadzieścia dolarów tygodniowo i posiłki w pociągu, zajmie pani górną kuszetkę w pulmanie i sama kupi sobie ubrania.

Bell odchrząknął. Zabrzmiało to jak warknięcie.

– Dobrze, panie Bell, zapewnimy pani kostiumy i będzie mogła zająć pierwszą dolną kuszetkę, jak się zwolni.

* * *

James Dashwood wprosił się do teatru Clark i rozpytywał o Henry'ego Younga, dopóki go nie znalazł.

– Detektyw Dashwood.

– Pamięta mnie pan?

– Jestem inspicjentem, nigdy nie zapominam twarzy, nawet kiedy chcę. Spotkaliśmy się w Bostonie. Pytał pan, czy przesłuchiwałem Annę Waterbury, i zdawało się panu, że już mnie pan gdzieś widział. Przypomnił pan sobie gdzie?

– W Syracuse. Ale nie widziałem pana osobiście. Byłem jeszcze dzieciakiem, kiedy pan był skarbnikiem Syrakuzańskiego Zespołu Teatralnego.

– Musiał pan widzieć stary list gończy.

– Barrett i Buchanan wiedzą?

– Wszystko. Zdefraudowałem pieniądze za bilety. Hazard doprowadził mnie do tego. Głupio uciekłem, zostałem aresztowany i trafiłem do więzienia.

– To dlaczego pana zatrudnili?

– Uznali, że dostałem nauczkę.

– Więc ufają panu.

– Nigdy ich nie zawiodłem.

Dashwood sceptycznie uniósł brew.

– To porządni ludzie, detektywie... A teraz przepraszam, ale muszę załadować do pociągu osiemdziesiąt osób i rekwizyty do dwóch sensacyjnych efektów scenicznych, które są szczytem technicznego realizmu.

* * *

Bell zebrał oddział Nożownik w swoim wagonie.

– Zinfiltrowaliśmy oba objazdowe zespoły teatralne i zawęziliśmy grono podejrzanych. Harry Warren i Grady Forrer wykluczyli z niego głównego technika w obsłudze *Alias Jimmy Valentine*, Billa Milforda, i scenografa, Rolanda Phelps. Obaj dorastali w Nowym Jorku i mieszkali tam w okresie, kiedy Rozpruwacz popełniał zbrodnie w Londynie - Milford w Tenderloin, a Phelps w miejskiej rezydencji jego rodziny na Washington Square.

Helen Mills wyeliminowała grającego w *Alias Jimmy Valentine* aktora Lockwooda, bo ustaliła, że jest za słaby i za wolny, żeby obezwładnić swoją ofiarę. Z drugiej strony, dowiedziała się, że Lucy Balant jest „uczona” przez gwiazdora przedstawienia, pana Vietora. Jej współlokatorkę, Annę Waterbury, uczył Nożownik. Toteż kwestia pana Vietora pozostaje otwarta. Na szczęście *Jimmy Valentine* dogoni nas pojutrze w St. Louis.

Tymczasem Grady odkrył, że bracia Deaverowie spędzili późne lata osiemdziesiąte i wczesne dziewięćdziesiąte w college'u w Anglii po wykopaniu ich ze szkół w Pensylwanii i Massachusetts. Ale kiedy im

towarzyszyłem, przekonałem się, że ani Joe Deaver, ani Jeff Deaver nie ma takiej głowy, żeby się nie potknąć na niczym przez dwadzieścia minut, a co dopiero nie dać się złapać przez dwadzieścia lat.

– Jest pan pewien, że to nie gra, panie Bell?

– Nawet Edwin Booth nie potrafiłby tak zagrać. A teraz, co z panem Rickiem L. Coksem, obłąkanym pisarzem?

– Coksa - odrzekł Forrer - zamknięto w szpitalu psychiatrycznym w Columbus, zanim Beatrice Edmond została zamordowana w Cincinnati.

– Scudder i ja nie zdołaliśmy wiele wyciągnąć z Jacksona Barretta i Johna Buchanana - powiedział Bell.

– Ściana - wtrącił Smith. - Nic nie wskazuje na to, że któryś jest z Anglii.

Dashwood przekazał twierdzenie Henry'ego Younga, że Barrett i Buchanan mu ufają.

– Sprawdź, co on na nich ma. Jakie narzędzie nacisku. Trzymają się wzajemnie w szachu.

– Henry Young - odezwał się Archie Abbott - podobno rzadko wychodzi z teatru. Dopiero wtedy, kiedy musi wsiąść do pociągu do następnego miasta.

– Zostali nam Barrett, Buchanan, Vietor i Young - podsumował Bell. - Do roboty, wszyscy. Widzimy się jutro w St. Louis.

Wychodzili z wagonu, gdy eksplozja zatrzęsa oknami.

– To gdzieś blisko!

* * *

– Lepiej zobaczmy, czy możemy pomóc - zarządził Bell. - Idź pierwszy, James, jesteś detektywem. Reszta, pamiętajcie, żeby zachowywać się jak zwykli pomocni obywatele.

Weszli szybko do hali dworcowej, Dashwood na czele.

Ludzie tłoczyli się przed frontowym wejściem. Zobaczyli stamtąd słup dymu w blasku pomarańczowych płomieni kilka przecznic od stacji.

Przyłączyli się do biegnącego tam tłumu. Bell wysforował się naprzód ze złym przeczuciem, że to na Plum Street. Dogonił Dashwooda i dotarli na Plum, gdy sikawki parowe ciągnięte przez konie z wybałuszonymi oczami pędziły w kierunku pożaru. Dym buchał z roztrzaskanych drzwi wejściowych i okien biura terenowego i sąsiedniego budynku.

– Nasz szef zwykle pracuje do późnej nocy.

Bell przepchnął się przez tłum. Ominął strażaków, którzy rozciągali węże i przystawiali drabiny do okien domu obok, i skręcił w boczną uliczkę. Tylne drzwi stały otworem. Wbiegł w ciemność.

– Sedgwick! Jerry!

Nikt nie odpowiedział. Bell zmoczył ręcznik w łazience, zasłonił nim usta i nos i przebiegł przez hol do biura od frontu. Pokój był zdemolowany. Tynk odpadł od sufitu, drzwi do piwnicy były otwarte, schody płonęły.

Wdarł się do frontowego pokoju, gdzie zatrzymała go ściana dymu i ognia. Wydało mu się, że widzi przez nią postać na biurku. Strażacy akurat skończyli przyłączać węże do hydrantów miejskich. Strumienie wody trysnęły przez okna, rozrzuciły szkło i przydusiły płomienie do podłogi.

Dym się rozrzedził. Jerry Sedgwick zakaszłał gwałtownie i spróbował wstać.

Bell pokonał pół drogi do niego, zanim woda przestała tryskać. Kiedy dotarł do biurka szefa, płomienie znów strzelały pod sufit i mokry ręcznik wysechł od gorąca. Zarzucił sobie Sedgwicka na ramię i spróbował się wycofać po swoich śladach. Ale dym nagle tak zgęstniał, że nie widział drogi odwrotu. Strumienie wody znów trysnęły i dym opadł. Ulga trwała krótko, dym znowu zgęstniał. Zaczynało mu brakować powietrza.

– Panie Bell!

Dashwood go wołał.

– Panie Bell! Isaac!

Bell zatoczył się w kierunku głosu.

Zobaczył, że Dashwood sięga ku niemu, a za młodym detektywem są drzwi na uliczkę. Wepchnął Sedgwicka w ramiona Dashwooda. Na ulicze szef wziął pół tuzina głębokich oddechów i świeże, chłodne powietrze otrzeźwiło go.

– Nic mi nie jest - wydyszał. - Nic mi nie jest.

– Do szpitala - zarządził Bell.

– Nie! Nic mi nie jest. Muszę z panem porozmawiać.

– Porozmawiamy w ambulansie - odparł Bell.

Oddział Nożownik wszedł do akcji i po cichu zapłacił załodze ambulansu za pomoc, a policji za utorowanie drogi.

– Na pewno nic ci nie jest? - zapytał Bell, gdy tylko znaleźli się w samochodzie medycznym. Sedgwick stracił brwi i większość włosów.

– Jako dzieciak kopałem węgiel. Tutaj to było nic w porównaniu z tamtym. On nas wysadził w powietrze, panie Bell.

– Kto?

– Gazownik. Powiedział, że jest z firmy Cincinnati Gas and Electric i nabrałem się na to. Niedawno poczułem dziwny zapach i zszedłem na dół, żeby sprawdzić, co to jest. Zdjął licznik i ułożył lont wolnopalny. To poczułem. Chciałem go zgasić, ale się spóźniłem. Wybuch wyrzucił mnie z powrotem na górę. Nie wiem, kto to był i dlaczego to zrobił.

Bell i Dashwood wymienili spojrzenia.

– Wie, że tu jesteśmy? - spytał Dashwood.

– Nie - zaprzeczył Bell po chwili zastanowienia. - Bardziej prawdopodobne jest to, że pobudził go do działania nasz list gończy. I teraz wiemy o nim coś więcej.

– Co takiego?

– Że kontruje.

* * *

Kiedy pociąg specjalny Jekyll & Hyde ruszył do St. Louis, Bell wziął udział w przyjęciu dla obsady w wagonie restauracyjnym. Udając

pogawędkę, Archie Abbott wyjaśnił połączenie gazownika z Nożownikiem.

– Jeśli się nie mylimy, że on ma doświadczenie w pracy za kulisami, to nieprzypadkowo jest gazownikiem. Teraz wszystkie efekty świetlne są elektryczne. Ale elektrycy teatralni wywołują również efekty wodne, takie jak deszcz czy powódź. Dlatego że hydraulicy i gazownicy to podobne zawody, jedni i drudzy montowali rury do gazowych instalacji oświetleniowych teatrów.

– On przede wszystkim jest aktorem - odrzekł Bell. - Znać się na instalacji gazowej to jedno, ale żeby wcielić się w montera - ubrać odpowiednio i ucharakteryzować na robotnika na tyle przekonująco, że dał się na to nabrać tak bystry detektyw, jak Jerry Sedgwick, w naszym biurze terenowym, gdzie miał jego twarz na liście gończym - Nożownik musi być cholernie dobrym aktorem.

39.

St. Louis

– Mój tak zwany ekspres St. Louis się spóźnił - powiedziała Marion Morgan Bell. - Nie zdążyłam na spektakl i nawet się nie przebrałam, ale miałam nadzieję, że jeszcze panią złapię, zanim pani wyjdzie z teatru.

Isabella Cook usuwała charakteryzację w swojej garderobie w Grand Opera House.

Przyjrzała się wysokiej blondynce i kobieta spodobała się jej. Ubrana w modny strój podróżny - tweedowy żakiet, spódnicę do cholewek butów i kapelusz w kształcie dzwonka - Marion Morgan miała zielone oczy, śmiały uśmiech i sprawiała wrażenie rzeczowej, jak ona sama.

- Pani mąż twierdzi, że jest wierny swojej żonie, i nie dziwię mu się.
- Wygląda na to, że pani go sprawdzała.
- To byłaby przegrana sprawa. Jadła pani coś?
- Tak, w pociągu, dziękuję.

– Ma pani ochotę na kieliszek wina, ja właśnie wypijam kilka.

Jej służąca naląła Marion kieliszek szampana Billecart-Salmon Brut i dołąła go Isabelli.

– Pani telegram był pierwszym w moim życiu, który oferował nieśmiertelność.

– Isaac napisał do mnie, że nie ma pani wysokiego mniemania o przemyśle filmowym. Chciałam przykuć pani uwagę.

– Udało się pani. Co pani proponuje?

– Pewnego dnia ostatni ludzie, którzy podziwiali panią dziś wieczorem w St. Louis, umrą i zabiorą do grobu pamięć o pani występie. Ale jeśli pozwoli mi pani sfilmować swój występ, będzie on żył wiecznie.

– Ale ja nie będę żyła wiecznie.

– Ale obie będziemy żyły dłużej, niż możemy to sobie teraz wyobrazić. Isaac wrócił właśnie z Londynu, gdzie widział mój film o pogrzebie króla Edwarda. Nie byłam w Londynie od roku, ale wciąż go pokazują w kinach. Jeśli pozwoli mi pani sfilmować swój występ w *Doktorze Jekyllu i panu Hydzie*, będzie pani mogła wielokrotnie oglądać siebie w roli Gabrielli Utterson, rok po roku, do końca życia - i pani publiczność też.

– Znudzi im się po dwudziestu latach.

– Nie występ, który widziałam w Columbus - odrzekła Marion i Isabella Cook się roześmiała.

– Zawsze jest pani tak przekonująca?

– Tylko w dobrych sprawach.

– Owinęła pani sobie swojego Isaaca wokół palca?

– Ja jego, a on mnie.

Isabella Cook westchnęła.

– Mogłabym się założyć, że tak jest. Czy on może ma brata?

Marion pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

– Jest jedynakiem. Jego matka umarła, kiedy był mały... Chcę przenieść akcję tej sztuki na zewnątrz, poza scenę.

– Dlaczego?

– Chcę, żeby wtedy, gdy pan Hyde podkrada się do pani w roli Gabrielli podczas burzy, w pięknym Central Parku szalała wichura.

– Dlaczego?

– Śmierć to złodziej. Kradnie nasze radości. Kiedy przeniesiemy Gabriellę Utterson na dwór, zobaczymy jej radość w słońcu, deszczu, śniegu, wśród drzew i pod niebem - radość, którą straci, jeśli zło w Jekyllu i Hydzie odbierze jej życie.

– Jak pani robi wichurę?

– Nie zrobiłam jeszcze żadnej, ale kiedy w zeszłym miesiącu kręciłam pewną komedię w Biographie, scenograf, pan Sennett, wymyślił maszynę do wiatru, którą zamierzam wypróbować.

– Co to takiego?

– Ogromne śmigło napędzane silnikiem lotniczym.

– Wycelowane w aktorów?

Marion się uśmiechnęła.

– Nie obiecałam, że będzie łatwo.

Isabella się roześmiała.

– Co pani na to, pani Cook?

– Podchodzę nieufnie do przedstawień poza moją kontrolą. Oficjalnie sztukę reżyserują panowie Barrett i Buchanan, ale nie robię na scenie nic, czego nie chcę. Jestem inteligentną kobietą, która ufa swojemu instynktowi. Ale kiedy pani kamera przestanie filmować, będzie to dopiero połowa spektaklu. Nie będę miała wpływu na ostateczne decyzje, co zobaczą ludzie w kinie.

– Oczywiście, że będzie pani miała.

– To znaczy?

– Ja też jestem inteligentną kobietą, która ufa swojemu instynktowi, a on mi podpowiada, że podejmuje pani decyzje dobre dla spektaklu.

Montaż filmu to mozolna praca. Będzie pani mogła stać obok mnie jak długo pani wytrzyma.

Isabella Cook odstawiła kieliszek i pokręciła głową.

– Może przedyskutujemy to rano.

Marion się zasepiła.

– Niech zgadnę - powiedziała Isabella Cook. - Kiedy zobaczy się pani ze swoim Isaakiem, chce się pani pochwalić, że mnie przekonała.

Marion przytaknęła.

– Mieszkam w apartamencie hotelowym, kiedy mam dosyć pociągu - powiedziała Isabella Cook. - Niech pani przenocuje u mnie. Porozmawiamy rano, ale niczego nie obiecuję.

* * *

– Dzień dobry, panie Bell! - zawołał pilnujący wejścia dla aktorów dozorca teatru Olympic w St. Louis, gdzie sprzedaż biletów na *Alias Jimmy Valentine* biła rekordy. - Czym możemy dziś służyć?

Bell myślał, że będzie musiał się wprosić do garderoby gwiazdora, a tymczasem został powitany jak członek rodziny królewskiej. W teatrze wieści rozchodziły się szybko i wspierających nowe musicale sponsorów nie odprawiano z kwitkiem od drzwi dla aktorów.

– Mógłbym się zobaczyć z panem Vietorem?

Dozorca pstryknął palcami.

– Quinn! - krzyknął do maszynisty teatralnego, który snuł się w pobliżu. - Zaprowadź pana Bella do garderoby pana Vietora.

Harry Warren odgarnął lok z czoła.

– Tędy, panie Bell.

Bell dał mu dolara.

– Masz, kolego.

– Bardzo pan hojny. - Quinn schował dolara do kieszeni i zapukał do drzwi Vietora. - Pan Isaac Bell do pana, panie Vietor.

Aktor z kręconymi włosami otworzył drzwi i uśmiechnął się. Był przystojny, prawie wzrostu Bella i równie szczupły. Miał mocny głos.

– Wiele o panu słyszałem, panie Bell. Zapraszam.

– Przywożę pozdrowienia od wspólnego znajomego, Jamesa Mapesa - powiedział Bell.

– Mapes. Wesoly Mapes. Szczęściarz. Widział się pan z nim w Londynie?

– Wypiliśmy parę drinków w klubie Garrick.

– Jak wypłynęło moje nazwisko?

– Mapes wskazał puste miejsce na ścianie z portretami, które czeka na pana.

– Wesoly Mapes. Przyjemna myśl. Proszę wejść, proszę wejść. Napije się pan?

– Nie, dziękuję. Czeka mnie długi dzień. Ale pan niech się nie krępuje.

– Ja też się wstrzymam. Nie mogę łyknąć ani kropli, dopóki spektakl się nie skończy. Niech pan siada, Bell.

Bell zajął fotel. Vietor usadowił się na stołku przy swoim stoliku charakterystycznym. Odwrócony bokiem do Bella, wpatrzył się w lustro. Bell się zastanawiał, dlaczego nałożył makijaż teatralny tak wcześnie. Vietor w końcu przestał się sobie przyglądać, otworzył szufladę i wyjął jedwabny woreczek na biżuterię.

– Widział pan tę sztukę?

– W Nowym Jorku. Powiedziałem Mapesowi, że moim zdaniem pański Jimmy Valentine naprawdę się nawrócił.

Vietor rozwiązał sakiewkę, wyciągnął z niej złotą obrączkę i zaczął się nią bawić.

– Mapes mówił panu, że mnie uczył?

– Wydawał się bardzo dumny z pańskiego sukcesu - odrzekł Bell. - Uważa, że właśnie dzięki roli Jimmy'ego Valentine'a trafi pan na ścianę w Garricku.

Vietor spojrział na obrączkę, którą obracał w palcach.

– Założę się, że nazwał mnie człowiekiem o mrocznej duszy.

Wesołość aktora nieoczekiwanie zastąpiła zaduma i Bell dostrzegł okazję, żeby pociągnąć go za język.

– Mapes wspomniał, że walka z ciemną stroną pańskiego charakteru była jak wyrywanie zębów.

– Ha! Uwielbia to głupie zdanie... Jak pan myśli, ile mam lat?

Bell przyjrzał mu się uważnie.

– Czterdzieści sześć.

– Mój Boże! Skąd ten pomysł?

– Nie ma pan trzydziestu sześciu lat.

– Niestety. Widzi pan to? - Vietor uniósł obrączkę. - To obrączka ślubna mojej babki. Musiała być dużą kobietą, wielką jak dom. Widzi pan? - Włożył obrączkę na palec serdeczny lewej ręki. - A nie mam małych dłoni.

Bell przypomniał sobie, że Anna Waterbury powiedziała Lucy Balant, że „stary” broadwayowski producent, który ją uczy, nosi obrączkę.

– Nosi pan ją? - zapytał.

– Właściwie nie. - Vietor znów popatrzył w lustro. Odwrócił się tyłem do Bella i zobaczył jego odbicie. - Przeszłość powraca.

– Jaka przeszłość? - spytał Bell z przeczcuciem, że zaraz usłyszy jakąś spowiedź.

– Kłamstwa.

– Jakie kłamstwa?

– Nie zamierzam się zwierzać komuś zupełnie obcemu.

– Już pan zaczął.

– Ha! Chyba tak.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i bardzo ładna drobna blondynka wpadła do pokoju.

– Panie Viet... Och, bardzo przepraszam, nie wiedziałam...

Vietor zerwał się z miejsca.

– W porządku, moja droga. Chodź, poznasz pana Isaaca Bella. Mamy w Londynie wspólnego przyjaciela. Panie Bell, to jest panna Lucy Balant, bardzo utalentowana młoda aktorka.

– Pan Bell! Jakże miło pana poznać. Pan jest sponsorem... Och, przepraszam, to było głupie z mojej strony.

– Nazywano mnie już gorzej - odrzekł Bell. - Miło mi panią poznać, panno Balant.

– A teraz, Lucy, mogłabyś wrócić za dziesięć minut? Pan Bell i ja musimy jeszcze trochę porozmawiać.

Lucy się pożegnała i zamknęła drzwi za sobą.

– I o to chodzi. - Vietor podrzucił wysoko obrączkę, złapał ją zgrabnie i spojrzał przez nią na Bella jak przez lunetę.

– O co?

– Czterdzieści sześć. Trafił pan od razu... Guzik mnie obchodzi, że jestem stary. Tak bystra i mądra dziewczyna, jak ona, nigdy nie znajdzie wartego jej rówieśnika, który dorówna jej zapałem i zdopinguje ją do odniesienia zwycięstwa. Zajmę się sobą, rzucę się w wir ćwiczeń fizycznych. Nie umrę młodo. Nie będę potrzebował pielęgniarstwa. Okazał się pan tak pomocny, Bell, że powinienem uczynić pana swoim... Nie, zrobimy to w Londynie. Matka tam jest, nie może już podróżować. Mapes będzie drużbą. Mam nadzieję, że będzie pan mógł przyjechać.

– O czym pan mówi? - zapytał Bell.

– Zamierzam się ożenić z tą dziewczyną. Wreszcie to powiedziałem! Widzę, że szczęka panu opadła, panie Bell.

Bell się roześmiał. Wstał i wyciągnął rękę.

– Moje gratulacje. Życzę szczęścia panu i tej młodej damie.

Mógłby dodać: „Dziękuję, panie Vietor. Dziękuję ci, Lucy. Oddziałowi Nożownik zostało trzech podejrzanych”.

* * *

Isabella Cook popatrzyła na Marion Morgan nad brzegiem filiżanki kawy. Żadna z nich nie spała dobrze.

– Gdzie robiłybyśmy ten film?

– W Los Angeles.

– W Los Angeles? - jęknęła aktorka. - Po miesiącach podróży? Musimy tam?

– Światło jest doskonałe i rzadko pada. Mogę robić zdjęcia przez trzysta dwadzieścia dni w roku, gdzie tylko zechcę. A przy okazji, w Kalifornii kobiety mogą głosować.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała zostać tam tak długo, żeby głosować.

– Pojadę wcześniej i wszystko przygotuję. Jak dobrze pójdzie, będzie pani w drodze do Nowego Jorku po dwóch tygodniach.

Isabella się rozpromieniła.

– Tak szybko? Będę udawała, że odwiedzam mojego męża w piekle.

– Oczywiście może pani zostać dłużej, żeby być przy montażu filmu... Mogę poprosić Isaaca, żeby przedstawił tę propozycję panom Barrettowi i Buchananowi w imieniu jego syndykatu?

– To będzie wymagało perswazji. Oni potrafią być strasznie zacofani, staroświeccy. Ale jest na to sposób - niech pani powie swojemu Isaac'owi, że jedyną rzeczą, jaką Chłopcy lubią bardziej od pieniędzy, jest uznanie. Są sprytnymi biznesmenami, ale w głębi duszy pozostają aktorami. Aktorzy lubią uznanie. Nieśmiertelność przeważy szalę.

* * *

Takiś lekkomyślny? - zapytał głos ostrożności, dzięki któremu wciąż pozostawał wolny.

Czyż listy gończe nie ostrzegają prostytutek przed tobą?

Nie w St. Louis. Satysfakcjonujące bum w Cincinnati prawdopodobnie skłoniło detektywów do głębszego zastanowienia się nad listami

gończymi. Poza tym interesująca go kobieta nie była dziewczyną z ulicy, tylko damą, bywalczynią country clubu z przedmieścia.

Nie jestem lekkomyślny.

Jednak na niezaplanowane morderstwa, tak jak na ciężkostrawne jedzenie i mocne trunki należało sobie pozwalać z umiarem. Działanie pod wpływem impulsu podwajało niebezpieczeństwo złapania. Ale dziś był jeden z tych wieczorów, kiedy podniecenie warte było ryzyka, sprawdzenia swojej odwagi na kobiecie z towarzystwa.

Takiś niezdyscyplinowany?

Co ty wyrabiasz?

Drobna blondynka. Bogata młoda dama. Dobry smak, ostrożność i mądrość nakazywały zostawić ją w spokoju. Ale uciekła, ukrywała się i teraz znów ją znalazł, swoją Emily. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy szok w jej oczach.

* * *

James Dashwood obserwował uliczkę w bok od Market Street, która prowadziła do wejścia dla aktorów w Grand Opera House. Miał nadzieję, że tak późnym wieczorem przyłapie Henry'ego Younga, jeśli inspicjent pójdzie spać do pociągu Jekyll & Hyde po ostatnim spektaklu. Nagle spotkała go niespodzianka.

Potargany pisarz, obłąkany Cox, którego Dashwood ostatni raz widział w Bostonie krzyczącego: „Ja to napisałem!”, przywędrował Market Street i przystanął u wylotu bocznej uliczki. Przyczaił się tam, jakby nabierał odwagi do szturmowania drzwi dla aktorów.

Dashwood podszedł do niego.

– Witam znowu, panie Cox. Co pana sprowadza do St. Louis?

Pisarz wyprostował się do swojego pełnego wzrostu. Dużo wyższy od Dashwooda, spojrzął z góry na młodego detektywa.

– Witam znowu? Co to znaczy „znowu”? Znamy się?

– Spotkaliśmy się w Bostonie.

Rick Cox pokręcił głową.

– Na próbie do *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* - przypomniał mu Dashwood.

– Był pan jednym z bileterów, którzy wyrzucili mnie z teatru?

– Nie, ale widziałem to. Co pana sprowadza do St. Louis? Ostatnie, co słyszałem, to że jest pan pod kluczem w Columbus.

– Wyszedłem.

– Frontowymi drzwiami czy przez mur?

Żart Dashwooda odniósł pożądany skutek. Lekki uśmiech zagościł na zagniewanej twarzy pisarza.

– Frontowymi drzwiami.

– Kiedy?

– Kilka tygodni temu.

Wracamy do pięciu podejrzanych, pomyślał Dashwood. Musiał podtrzymać rozmowę.

– Jak pan to załatwił? Po prostu pana wypuścili?

– Nie mogli mnie trzymać, kiedy przestałem płacić.

– Płacić? Za co?

– To prywatny psychiatryk. Barrett i Buchanan zapłacili za pierwszy tydzień. Za parę następnych dni zapłaciłem sam. Uznałem, że potrzebuję więcej czasu, żeby się uspokoić.

– Skąd pan wziął pieniądze?

– Z tantiemów. Barrett i Buchanan płacą mi procent - niewielki, nędzne grosze - żeby ich nie pozwał za kradzież mojego tekstu.

– Kto ukradł pański tekst? Barrett czy Buchanan?

– Obaj.

– Nie rozumiem - odrzekł Dashwood. - Skoro dostaje pan pieniądze, to niezupełnie ukradli pański tekst.

– Ale zdobyli uznanie. A ja nie mogę z tym dłużej żyć.

– Mogę postawić panu drinka? - zapytał Dashwood.

Na twarzy Coksa znów pojawiła się podejrzliwość.

– Po co?

– Jestem prywatnym detektywem od Van Dorna - wyjaśnił Dashwood, obserwując reakcję pisarza.

Cox przysunął się bliżej.

– Naprawdę? Prowadzi pan jakieś śledztwo?

– Wziąłem dziś wolny wieczór i akurat zobaczyłem pana.

Wokół stacji Union było wiele saloonów. Weszli do jednego z zamożnie wyglądającymi klientami.

– Ja stawiam - oświadczył Cox.

– Nie, ja pana zaprosiłem. Ja stawiam.

– Mogę być wykorzystywanym przez Barretta i Buchanana frajerem, ale i tak zarabiam lepiej niż tajniak, nawet vandornowiec.

Cox zamówił whiskey. Dashwood poprosił o piwo.

– Zdrowie.

Dashwood poszukał odbicia Coksa w lustrze za barem i kiedy ich spojrzenia się spotkały, powiedział:

– Nie widzę korzyści. Jak okrzyki w teatrach mają przynieść panu uznanie?

Cox wychylił whiskey i zaczął bawić się szklanką, jakby rozważał dolewkę.

– Zadawałem sobie to samo pytanie. Jak dotąd, przez okrzyki byłem tylko aresztowany i posyłany do wariatkowa.

– To po co kręcił się pan dzisiaj przy teatrze?

– Po prostu się uspakajałem... próbowałem się zastanowić... zaplanować, jak zdobyć uznanie, na które zasługuję.

Cox popatrzył przez okna na tłumy ludzi, które nagle pojawiły się na chodniku i szły w kierunku stacji kolejowej. Spektakl w teatrze się skończył i widzowie spieszyli do swoich domów na przedmieściach. Coś przykuło jego uwagę.

– Muszę iść. Spotkajmy się tu jutro na lunchu. Dzięki za drinka.

– Pan zapłacił - odrzekł Dashwood. - To ja dziękuję.

– Lunch. Jutro.

Cox przepchnął się przez uchylne drzwi i Dashwood stracił go z oczu w tłumie.

* * *

– Niech pan śpi dobrze - powiedział konduktor Bella, co Bell uznał za nietypowo prywatną wypowiedź małomównego starego pryka.

– Dobranoc, Kux.

Wziął prysznic w marmurowej łazience, nalał sobie whiskey Bushmills na dwa palce i zaniósł ją do luksusowego przedziału właściciela na końcu wagonu. Światła były przyćmione, łóżko opuszczone i serce zabiło mu żywiej.

– Nie bój się, to tylko ja.

– Marion! - zawołał Bell. - Skąd przyjechałaś?

– Z Nowego Jorku.

– To cudownie. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Miałam spotkanie służbowe. Gdyby poszło źle, to pewnie wołałabym się wymknąć po kryjomu.

– To cieszę się, że poszło dobrze.

– Bardzo dobrze. Isabella Cook zgodziła się zagrać w moim filmie.

Bell ją puścił.

– W jakim?

– Mówiłam ci: *Doktor Jekyll i pan Hyde*.

– Nie - odrzekł Bell.

– Nie? Dlaczego?

– To zbyt niebezpieczne. Bardzo możliwe, że jeden z Chłopców jest Nożownikiem. A jeśli żaden z nich, to ich inspicjent. Nie chcę, żebyś w ogóle się zbliżała do ich zespołu teatralnego, dopóki go nie złapiemy.

– Isaac, jeśli zrobię ten film, to będę mogła powiedzieć Prestonowi Whitewayowi, żeby się utopił ze swoim Światem Obrazów.

– Myślałam, że mu to powiedziałaś, kiedy zrobiłaś *Żelaznego konia*.

– Nie spaliłam za sobą mostów i cieszę się z tego. Nie miałam szczęścia nakręcić sama pełnometrażowego filmu. *Jekyll i Hyde* to najlepsza okazja.

– Nie narażę cię na niebezpieczeństwo.

– Nie zmarnuję tej szansy. Jestem pewna, że nic mi się nie stanie.

– Przykro mi, ale to nie wystarczy.

– Ale ja to wiem, tylko nie potrafię tego wyrazić słowami.

– Może prześpimy się z tym - zaproponował Bell - i porozmawiamy rano?

– Nie jestem zmęczona.

– Nie? Ja też nie.

* * *

Lekkomyślny? - zapytał znów Nożownik.

Pociąg dla widzów teatralnych, podmiejski ekspres z ograniczoną liczbą przystanków, ruszył ze stacji Union dziesięć minut przed północą. Czterdzieści minut do Tuxedo Park. Czterdzieści minut na decyzję.

Lekkomyślny?

Może byłem taki w młodości.

Niezdyscyplinowany?

Bierzesz mnie za głupiego? Zdyscyplinowanie to teraz moja druga natura, mój zawsze czujny strażnik.

Rozwinął swoje wrodzone zdolności. Potrafił tak trafnie oceniać zagrożenie i tak umiejętnie zacierać za sobą ślady, że szanse na złapanie go od dawna były nikłe.

Lekkomyślny? Nie ma mowy. I dzisiejszej nocy miał przewagę, bo działał na znajomym terenie, gdyż dla niego wszystkie miasta na Środkowym Zachodzie były podobne - teatry dzieliła od bogatych przedmieść krótka jazda pociągiem. Najpierw osiadł w Cincinnati, kiedy

przyplął z Anglii wiekowym „półkliprem” bawełnianym, który wracał pusty do Nowego Orleanu. Inni pasażerowie żartowali, że są balastem, ale kapitan chował do kieszeni pieniądze za bilety i nie obchodziło go ani jego nazwisko, ani to, czy ma paszport, ani to, że w Nowym Orleanie zszedł na ląd w przebraniu marynarza.

Kursująca po Missisipi barka z teatrem na pokładzie zabrała go do Cincinnati, gdzie poznał kobietę z pieniędzmi. Po jej śmierci żółty domek nad rzeką stał się jego i bywał tam sporadycznie od prawie dwudziestu lat.

Znał teren. Pociąg dla widzów teatralnych wiozł wesoły tłum głównie młodszych ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na spanie do późna następnego ranka. To, że wszyscy się znali - Tuxedo Park było miastem prosperujących firm, które korzystało z bliskiego sąsiedztwa elektrowni na Missisipi - stanowiło ryzyko, bo musiał ją uwolnić od zabiegających o jej względy prostaków.

Znam ryzyko.

Usiadł z tyłu wagonu kilka rzędów za nią i wyobraził sobie początek dramatu. Kurtyna pójdzie w górę na cichym ciemnym podmiejskim chodniku, gdzie kwitnące wiosną drzewa zasłaniają światło latarni. Ona powie coś w rodzaju: „Wygląda pan znajomo”.

Ruszą wolno obsadzonymi drzewami ulicami, coraz ciemniejszymi i węższymi.

– Podasz mi swoje imię, panienko?

Skręcali w boczną uliczkę, gdy kurtyna opadła.

Wyobrazone spotkanie znikło. Mężczyzna, który wcześniej wszedł do wagonu z przedsiönka za nim, przysunął się blisko i szepnął:

– Wiem, kim jesteś. Myślałeś, że zdołasz mi uciec. Chcę mieć należne mi uznanie.

40.

Nożownik dostrzegł długie, strąkowate włosy.

Wstał, przepchnął się obok Ricka Coksa i szepnął:

– Za mną.

Wyszedł przez drzwi przedsionka na odkryty pomost między wagonami. Cox dogonił go w prawie zupełnej ciemności. Oświetleni tylko blaskiem z wagonów z tyłu i z przodu, na wpół ogłuszeni hałasem lokomotywy i stukotem kół na złączach szyn, popatrzyli na siebie. Dziwacznie ruchome rysy twarzy Coksa wyrażały tuzin pytań. Zadał jedno.

– Dlaczego nosisz sztuczną brodę?

Zerknął za siebie na wesoły tłum w jasno oświetlonym wagonie i Nożownik zauważył, że zatrzymał wzrok na drobnej blondynce o melodyjnym głosie.

Pomylenie natychmiast doznał olśnienia.

– A... Nie... To ty!

Sięgnął do brody Nożownika.

Nożownik zablokował go laską. Obrócił gałkę, wyciągnął ostrze i wbił je głęboko w brzuch Coksa. Zamordował o wiele więcej kobiet niż mężczyzn, ale wszyscy mieli taką samą anatomię, a przynajmniej ważne narządy wewnętrzne. Chwycił swoją broń oburącz i z całej siły przeciągnął ją w górę przez mostek.

Sprawdził, czy nikt nie nadchodzi z jednego ani z drugiego wagonu. Przeszedł przez boczne łańcuchy i przewlókł ciało pod nimi. Wychylił się w pęd powietrza, przytrzymał jedną ręką, a drugą szarpnął Coksa. Z niemal nadludzką siłą uniósł zwłoki obok siebie, zamachnął się nimi wysoko i daleko i cisnął je łukiem w dół pod koła.

Jesteś genialny.

Pomylenie rzucił się pod pędzący pociąg.

Genialne.

Podniósł laskę, którą upuścił, wsunął do niej ostrze i czekał na zewnątrz w przedsionku, gdy pociąg zwalniał przed Tuxedo Park, zanim się zatrzymał.

Pasażerowie wybiegli z wagonu. Wyszedł za nimi z okazałej stacji i owinał się szczelnie peleryną, żeby zasłonić krew na marynarce i spodniach. Przed sobą usłyszał, jak blondynka śmieje się ze znajomymi. Znow mu uciekła.

Nadal nie zaspokoił głodu.

* * *

– Isaac! - powiedziała w ciemności Marion.

Bell natychmiast się obudził i sięgnął pod poduszkę. Jego oczy lśniły jak kobalt. Zapaliła światło.

– Wiem, dlaczego wiem, że Nożownik nic mi nie zrobi, jeśli jest w zespole teatralnym, który wystawia *Jekylla i Hyde'a*.

Bell zostawił pistolet, usiadł prosto i otoczył ją ramieniem.

– Mów.

– Uważasz za wysoce prawdopodobne, że on jest w tamtym zespole.

– Na tyle prawdopodobne, że jest to niebezpieczne.

– Nic mi nie zrobi. Nie może. Bo jeśli chce, żeby ten film powstał, to jestem mu potrzebna żywa.

Bell uśmiechnął się szeroko.

– Śmiejesz się ze mnie? - spytała.

– Nie. Jak zwykle jestem ci wdzięczny za twoją mądrość. Ale tym razem nawet ty sama nie w pełni rozumiesz, na co wpadłaś.

– Powiedziałaś ci, że nie musisz się o mnie martwić.

– Dzięki tobie nie muszę się martwić o nikogo.

– Co masz na myśli?

– Przedstawiłaś idealny sposób na zdekoncentrowanie go. Jeśli Nożownikiem jest Barrett lub Buchanan, albo Henry Young, to nikomu nic nie zrobi, bo nie zaryzykuje, że zostanie złapany, zanim skończysz kręcić

film w Los Angeles. Mam teraz całą podróż przez Zachód na to, żeby go przygwoździć, zanim zamorduje następną kobietę.

41.

– Nieśmiertelność, panie Bell?

Barrett i Buchanan patrzyli na Bella sceptycznie nad filiżankami kawy. Ich pociąg właśnie przekroczył granicę Missouri-Kansas i jechał przez pola naftowe pełne opuszczonych wież wiertniczych.

– Zaraz sprzeda nam pan Most Brooklyński.

– Jako dodatek do *Wyspy skarbów*.

Bell nie uważał ich żartów za zabawne. Nie w sytuacji, kiedy wiedział, że ci mężczyźni są dwoma z jego trzech podejrzanych. Jeden z nich mógł zamordować Annę Waterbury, Lillian Lent, Mary Beth Winthrop i wiele innych dziewczyn, które umarły z przerażeniem.

– Film sprawi, że wasze przedstawienia będą żyły wiecznie.

– Nie wiedzieliśmy, że pan jest w branży filmowej, panie Bell.

– Moja żona jest. Marion Morgan Bell.

Obaj aktorzy unieśli brwi.

– Pan jest mężem Marion Morgan? - zapytał Buchanan. - Ona zrobiła *Żelaznego konia*. Widziałeś to, Jackson, ten film o zachodnich kolejach.

Barrett przyglądał się uważnie Bellowi.

– Więc nie jest pan zupełnym laikiem w show-biznesie, panie Bell.

– Wierzę, że zdołam ją namówić, żeby unieśmiertelniła waszego *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* w pełnometrażowym filmie.

John Buchanan pokręcił głową.

– Nie, absolutnie. Jeśli publiczność będzie mogła obejrzeć film, to przestanie przychodzić na nasze przedstawienia.

– Ludzie mogą przeczytać *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*, a jednak przychodzą na wasze przedstawienia.

– Interesujące - stwierdził Barrett. - Trzeba by to rozważyć.

– Kiedyś w przyszłości - powiedział wymijająco Buchanan.

– Musielibyście to zrobić natychmiast po waszym ostatnim spektaklu w San Francisco - odparł Bell. - Film da się nakręcić szybko i niedrogo tylko wtedy, kiedy wasz zespół teatralny będzie jeszcze razem, a kostiumy i dekoracje pozostaną nietknięte.

– Kto za to zapłaci? - spytał Buchanan. - Mówi pan o zatrzymaniu całego zespołu, nie wspominając, ile by kosztowały kamery, i tak dalej.

– Mój syndykat wyłoży pieniądze w zamian za połowę zysku. Drugą połowę będą wasze prawa filmowe do waszej sztuki.

– Trzeba będzie się zastanowić.

– Dlaczego? - zapytał Bell. - To był wasz pomysł.

– Nasz pomysł? O czym pan mówi?

– Panie Barrett, powiedział pan, że nie chce, żeby wasza sztuka zniknęła. A pan, panie Buchanan, że chciałby pan móc sprzedawać bilety na produkcję, która nic nie kosztuje. Nie tak?

– Marzenia.

– Oferuję wam ich spełnienie. Jeśli musicie się zastanowić, to weźcie pod uwagę dwie rzeczy. Po pierwsze, film uwieczni waszą sztukę - a zwłaszcza wasze występy - na zawsze.

Barrett skinął głową.

– Tak, tak, nieśmiertelność - odrzekł Buchanan. - Od tego pan zaczął. A druga rzecz?

– Zysk. W wysokości niespotykanej dotąd w historii teatru. Założmy, że wasza sztuka zarabia osiem tysięcy tygodniowo, pod warunkiem że widownia jest pełna. Ale wydajecie na nią siedem tysięcy tygodniowo, bo musicie wypłacić pensje i pokryć koszty. Tydzień w tydzień, nawet jeśli widownia nie jest pełna.

Bell obserwował, jak Barrett i Buchanan znów wymieniają spojrzenia z uniesionymi brwiami. Ubezpieczeniowiec z Hartford nauczył się czegoś.

– Zrobienie filmu nie będzie was nic kosztowało. Wyświetlany we wszystkich kinach w kraju, przyniesie dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt tysięcy zysku tygodniowo. Co tydzień. A wasze cotygodniowe wydatki wyniosą zero.

– To mi się podoba - oświadczył Buchanan.

– Pieniądze i nieśmiertelność - podsumował Barrett. - Bardzo kuszące, panie Bell.

– Wasz pomysł, panowie. Ja tylko was wysłuchałem. Ale liczy się czas, chyba że chcecie wpędzić się w koszty, zaczynając od początku z całkiem nowym zespołem, dekoracjami i kostiumami.

Barrett i Buchanan popatrzyli na siebie i w milczeniu skinęli głowami.

– Jaki jest następny krok?

Bell wstał.

– Przypieczętujemy to uściskiem dłoni, a potem zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby namówić na to moją żonę.

– Jeśli się nie zgodzi - odparł Barrett - to znajdziemy kogoś innego.

Bell wykorzystał okazję zapewnienia Marion bezpieczeństwa.

– To nie będzie konieczne. Już to przedyskutowaliśmy.

– Więc zapowiedź, że pan ją namówi, była negocjacyjną sztuczką?

– Przepraszam - odrzekł Bell. - To straszny zwyczaj ubezpieczeniowca. Klient chce ubezpieczyć swoje stalownie za najniższą składkę. Ja go rozumiem, ale muszę „uzgodnić to z moimi ubezpieczycielami”, którzy są potwornie skąpi. Prawda jest taka, że nikt nie sfilmuje waszej sztuki lepiej niż Marion, a ją szalenie ekscytuje zrobienie tego w plenerze, poza sceną. Kiedy pan Hyde będzie się podkradał podczas burzy do dziewczyny w Central Parku, Marion użyje maszyny do wiatru, żeby drzewa się kołysały. A wy stoczycie urojony pojedynek w huraganie.

– Ja wyślę mojego dublera - oznajmił Buchanan.

– Ja też. - Barrett się uśmiechnął. - Biedny pan Young będzie miał pełne ręce roboty, zastępując nas obu.

– Pan Young też jest szermierzem? - zapytał Bell.

- Wystarczająco dobrym, żeby nas czasami wyręczać.
- Ale poważnie - powiedział Barrett - gdyby z jakiegoś powodu pańska żona nie mogła...
- Jeśli Marion Morgan Bell nie będzie mogła zrobić tego filmu, to nie zapłacimy za niego - oznajmił Bell. - I nie udostępniemy praw.
- Więc będziemy musieli wypaść bardzo przekonująco. Kiedy możemy się z nią spotkać?
- Jak tylko dotrzemy do Denver. Powiedzmy, jutro na lunchu w Brown Palace, jeśli uda nam się ściągnąć panią Cook i waszego inspicjenta.
- Henry Young nie jest szefem.
- Moja żona będzie miała pytania natury technicznej. Najlepiej, żeby zwróciła się do inspicjenta.

42.

Nożownikowi śniło się, że jest chłopcem w Londynie. Chłopiec znalazł złamany miecz. Usunął rdzę piaskiem i naostrzył obie krawędzie jak w rzymskim gladiusie. Ukradł pilnik i zrobił nim szpic ze złamanego końca.

Śniło mu się, że gonią go wąskimi ulicami.

Uciekł do portu, gdzie cuchnęło solą, tłuszczem i dymem.

Dostał choroby morskiej, leżał i wymiotował na szorstki pokład. Statek w końcu znieruchomiał w gorącym południowym mieście, gdzie dziewczyny mówiły po francusku.

Pozabijał je i uciekł parowcem w górę Missisipi. Nie - sen się cofnął i zaczął od nowa. Parowiec był za nim. On był na ogromnej tratwie, pływającym teatrze, pchanym przez parowiec. W górę szerokiej rzeki od Nowego Orleanu, dniami i nocami, Memphis, za Cairo, do rzeki Ohio. Zszedł z tratwy w Louisville, wrócił na nią, i znów w górę rzeki, i na ląd w Cincinnati. Nareszcie bezpieczny.

Nagle stał się śpiącym w swojej norze zwierzęciem.

Stał się wilkiem. Coś się przemieściło u wylotu jaskini.

* * *

Otworzył oczy.

Leżał bez ruchu, czuł przyływ adrenaliny, serce mu waliło, wszystkie zmysły czuwały.

Wilk w jego śnie wyczuł czyjaś obecność.

Uspokoił oddech i bicie serca. Co to znaczyło?

Osiemdziesiąt mężczyzn i kobiet spało w pociągu. Tak późno w nocy słyszał tylko mechaniczne dźwięki - sapanie zmienianych lokomotyw, zgrzyt kół na szynach, przytłumiony szcęk sprzęgów, sygnały parowozów, dzwonki, syk pary z lokomotyw i długi gwizd ruszającego na Zachód pociągu - tego pociągu, specjalnego do Denver - wyjeżdżającego z dudnieniem z depo, pokonującego z łoskotem zwrotnice, a potem sunącego gładko po głównym torze, kołyszącego się przy nabieraniu szybkości i gwizdzącego wśród stukotu kół napędowych.

Co mu podpowiedział instynkt? Co zauważył? Coś było blisko, prawie obok niego, ale jeszcze nie mógł tego dotknąć. Musiał pozwolić myślom płynąć... Złamany miecz zapoczątkował jego marzenie. Dobrze to pamiętał. Znalazł go, gdy odpływ odsłonił błotnisty brzeg Tamizy. Obrobił pięknie ostrze. Ostrze brzytwy. W końcu stało się ono za lekkie, bo z wiekiem urósł i nabrał siły. Krótki obosieczny miecz rzymski bardziej mu pasował i używał kilku z nich - gladiusa, dłuższej spathy i krótkiego sztyletu pugio; wybierał któryś spontanicznie, gdy wolał ten, a nie tamten, aż wreszcie przeszedł na węższe, bardziej giętkie ostrza, które mógł ukrywać w lasce.

* * *

Usiadł w łóżku z szumem w głowie.

Zmiany nękały zespoły teatralne na tournée. Wszystkie możliwe nieszczęścia spadały na aktorów. Choroby. Pijaństwa. Cięża. Zapominanie swoich kwestii. Aresztowania za długi, wyroki za bigamię. Śluby. Rozwody. Nawet tęsknota za domem. Albo po prostu zniknięcia. Ale bez względu na rodzaj nieszczęścia zespół musiał szukać zastępców, także

pracowników technicznych - stolarzy, maszynistów sceny, elektryków, garderobianych. Stała rotacja była normą w trasie. Ale nie przypominał sobie tylu nowych twarzy, ile zobaczył w zespole wystawiającym *Jekylla i Hyde'a* - wszystkie naraz, jeszcze w Cincinnati.

Dwoje aktorów: nowego pana Poola, Archibalda Abbotta; nową pokojówkę, Helen Mills; nowego pracownika technicznego nazwiskiem Quinn, podkupionego z zespołu, który wystawiał *Jimmy'ego Valentine'a*. Przybył jeszcze reporter, który wkradł się w łaski rzecznika prasowego, Scudder Smith, i sponsor z Hartford, Isaac Bell, a teraz żona Bella, Marion Morgan Bell, która wyglądała znajomo, choć nigdy się nie spotkali przed wczorajszym zebraniem w sprawie filmu.

Wilk z mojego snu wie, że ktoś się zakradł do jego jamy.

Nie jestem już bezpieczny, kiedy śpię.

CZEŚĆ CZWARTA

HOLLYWOOD

43.

Denver

Pociąg specjalny Jekyll & Hyde pędził przez Wysokie Równiny, gdy wieść obiegła cały skład od lokomotywy do prywatnego wagonu Bella i z powrotem. Rozgłaszane w zatłoczonych pulmanach sypialnych, a jednocześnie dementowane i wyolbrzymiane w wagonie restauracyjnym, domysły, plotki i spekulacje dezorientowały aktorów, maszynistów sceny, stolarzy, elektryków, urzędników, rzeczników prasowych, pracowników przygotowujących ich wizyty w miastach i muzyków, i denerwowały wszystkich.

Pan Barrett i pan Buchanan strasznie się pokłócili.

To była o wiele większa awantura niż zwykle.

Tournée z *Jekyll'em i Hyde'em* zostało odwołane.

Bo ten pomyłony pisarz się zabił? Cox. Znaleźli go na przedmieściu.

Objazd będzie przyspieszony.

Ominą Denver... Ale to miasto ze wspaniałym teatrem.

Trasa została wydłużona do Los Angeles.

Tournée zostało odwołane.

Barrett i Buchanan pobili się.

Pan Young usiłował ich rozdzielić. Biedny inspicjent musiał się rzucić między nich. I co zdziałał? Został pobity do krwi. Widok całego i zdrowego pana Younga pijącego kawę w wagonie restauracyjnym tylko zwiększył zamieszanie.

Harry Warren uznał, że inspicjent wygląda wręcz na zadowolonego, inaczej niż zwykle. Poczęstował go jego ulubionym tureckim papierosem Murad.

– Niech cię Bóg błogosławi, Quinn.

Drganie policzka Younga, które według stałych maszynistów sceny pojawiała się zawsze w dni premier i ostatnich spektakli - kiedy wszystkie dekoracje i kostiumy musiały być załadowane do pociągu natychmiast po opadnięciu kurtyny - prawie ustało.

Zapalili.

– Podśledzałem - zaczął Warren - jak chłopcy mówili, że pan zastępuje Barretta i Buchanana.

– Kto to mówił?

– Paru maszynistów sceny... To prawda?

– Czasami.

– Musi pan być zręcznym szermierzem, żeby wychodzić cało z tamtego urojonego pojedynku.

– Udaje mi się. Przynajmniej na razie.

– I cholernie dobrym aktorem, żeby robić z pana Hyde'a takiego złego, jaki ma być.

Young się uśmiechnął na ten komplement.

– Dzięki, Quinn. Powiem ci, że to trudniejsze niż pojedynkowanie się.

– Ludzie na widowni nie narzekają?

– Nie, niech ich Bóg błogosławi. Są uprzejmi. Dostają owacje. Często dłuższe niż Barrett czy Buchanan.

– Gwiazdorzy nie mają nic przeciwko temu?

– Czy zielenieją z zazdrości? - zapytał, znów z uśmiechem, Young.

– Z powodu aplauzu dla pana.

– Są wdzięczni, że mogą zniknąć. I oczywiście nie ma ich w teatrze, kiedy jestem oklaskiwany. A przynajmniej nie ma tego, którego zastępuję tego wieczoru.

– Gdzie znikają?

Henry Young wzruszył ramionami.

– Kto to wie. Pan Barrett pewnie pisze. Stale przerabia scenariusze.

- Buchanan też pisze?
- Nic o tym nie wiem... Która godzina? Muszę iść. Dzięki za fajkę.
- Polecam się, panie Young. A jakie są wiadomości? Kończymy objazd?
- Naprawdę nie wiem.

* * *

Harry Warren składał Bellowi meldunek na wietrznym pomoście między dwoma wagonami. Jechali teraz przez Kolorado i Bell czuł, jak lokomotywa zaczyna się męczyć na lekkim, ale długim wzniesieniu przed Górami Skalistymi.

- Intuicja mówiła mi, żeby go bardziej nie naciskać. Co myślisz?
- Ustaliłeś, jak ich trzyma w szachu. Barrett i Buchanan przymykają oko na przeszłość Younga, bo mogą liczyć na jego zastępstwo, kiedy znikają. Na długo się ulatniają?
- Za kulisami mówią, że pan Young występuje w jeden lub w dwa wieczory pod rząd.
- Często?
- Nie. Parę razy w miesiącu.
- Pan Buchanan prawdopodobnie znika ze swoimi bogatymi przyjaciółkami. Gdzie Barrett chodzi pisać, jak przypuszczasz?
- Popytam. Ktoś będzie wiedział.
- A co sądzisz o panu Youngu? - zapytał Bell.
- Nie wyobrażam sobie, żeby ten inspicjent kiedykolwiek znalazł czas na zabicie kogoś.
- Archie mówi to samo. Helen też.
- A jak ty uważasz, Isaac?
- Nie jestem taki pewien.

* * *

Pogłoska, że pociąg specjalny Jekyll & Hyde nie zatrzyma się w Denver na zaplanowane przedstawienia miała się właśnie wyjaśnić.

Inspicjent zwołał zebranie całego zespołu. Aktorzy, muzycy, maszyniści sceny, stolarze, garderobiane, sprzedawcy biletów i chłopcy na posyłki stłoczyli się w wagonie restauracyjnym i czekali niecierpliwie podczas postoju poza centrum miasta w depo na Trzydziestej Szóstej ulicy. Ich lokomotywa brała wodę, do tendra ładowano węgiel, a przy wagonie restauracyjnym stały ciężarówki ze sklepów spożywczych i wozy rzeźników. Czy po zaopatrzeniu pociągu pojedą na stację Union, czy głównym torem na zachód przez Góry Skaliste?

John Buchanan sprawiał wrażenie odprężonego.

Jackson Barrett też wyglądał tak, jakby nie miał żadnych zmartwień.

Może najgorsze plotki były nieprawdziwe?

Żartujesz? Pan Barrett i pan Buchanan są aktorami. Kto wie, co myślą albo jak się czują?

– Okej - zaczął Buchanan. - Wszyscy są? Obsada jest. Obsługa techniczna i orkiestra są. Załoga pociągu jest. Stewardzi i kucharze są. Nasi goście też są - zarówno nasz sponsor, pan Bell, jak i przedstawiciel prasy, pan Smith, oraz twórczyni filmów, pani Marion Morgan Bell, o której powiem więcej za chwilę. Jest nawet pilotka naszego latającego billboardu „Jekyll i Hyde”, i jeśli pani Bradford wydaje się za młoda na pilotowanie dwupłatu, to przyjrzyjcie się jej, bo jest zamężna i ma dwie córeczki, prawie tak ładne jak ona.

– Pospiesz się - mruknął Barrett z uśmiechem na pokaz.

– Hazel Bradford - szepnął do Marion Bell - ustanowiła w zeszłym roku rekordy wysokości i prędkości.

Buchanan się cofnął.

– Twoja kolej.

Głos zabrał Barrett.

– Pogłoski, które słyszeliście, nie są prawdziwe - oznajmił. - Nasz objazd nie jest zakończony.

Osiemdziesiąt osób uśmiechnęło się.

– Więc nie martwcie się. Nasza sztuka nie znika. I przetrwa tak długo, jak jeszcze żadna na Broadwayu.

Wszyscy przysunęli się bliżej, żeby usłyszeć, co to, do diabła, ma znaczyć.

– Natychmiast po Denver i San Francisco pojedziemy do Hollywood tuż pod Los Angeles, gdzie pani Marion Morgan Bell robi z naszej sztuki film. Tak, dobrze usłyszeliście. Film.

– Nasz ostatni spektakl zagramy przed kamerami pani Marion Morgan Bell, a nie na scenie - poinformował Buchanan. - Nadal będziemy wam płacili pensje w obecnej wysokości. Jeśli ktoś musi koniecznie wrócić do Nowego Jorku, rozumiemy to i zastąpimy go kimś innym.

– Ale mamy nadzieję - powiedział Barrett - że nikt nie zrezygnuje z tego, żeby być oglądany w kinie po wsze czasy.

– Gratuluję - szepnął do Marion Bell. - Masz swój film długometrażowy.

– Twój syndykat inwestorów nie istnieje. Jak za to zapłacę?

– Zawiadomiłem już wujka Andy'ego, że z San Francisco przyjeżdżasz prosto do Los Angeles, żeby nakręcić pełnometrażowego *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*.

Budzący szacunek Andrew Rubenoff, dawny kolega bankier ojca Bella i przyjaciel Isaaca, przerzucił się ze stali, węgla i kolei na samochody, samoloty i filmy, i przeniósł do Kalifornii.

Bell się uśmiechnął.

– Jest pod dużym wrażeniem, że usidliłaś Isabellę. Masz swój syndykat: Rubenoff i Bell.

Po tych słowach wysoki detektyw wyszedł niedbałym krokiem z wagonu restauracyjnego, przyjmując gratulacje od życzliwych. Uśmiechał się, dopóki nie został sam w swoim prywatnym wagonie na końcu pociągu, gdzie położył długie palce na kluczu telegraficznym i zastanowił się, co nadać.

Miał coraz mniej czasu. Wiedział, że zespół teatralny wjedzie do San Francisco i wyjedzie stamtąd do Los Angeles, zanim się obejrzy. Jeśli nie zaaresztuje Nożownika, zanim Marion skończy film, morderca zyska

„nieśmiertelność” i nic go nie powstrzyma przed zabójstwem kolejnej dziewczyny następnego dnia.

W wieczór ostatniego spektaklu w Denver, kiedy Marion chodziła za kulisami teatru Princess i wybierała miejsca do ustawienia kamer, Bell oglądał *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* z miejsca dla specjalnych gości w ósmym rzędzie przy przejściu. Miłośnicy tej sztuki i krytycy, którzy zachwycali się sławnym urojonym pojedynkiem, gdy eliksir transformacyjny Jekylla wywołuje halucynacje, nie przesadzali. Bell był pod wrażeniem.

Fechtował w Yale i nadal sumiennie ćwiczył. W Klubie Szermierczym na Czterdziestej Piątej ulicy jego najlepszym przeciwnikiem był mistrz Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w szabli, porucznik Kenneth Ash, ilekroć obaj znaleźli się w Nowym Jorku. Detektyw i attaché morski opracowali wspólnie nowy sposób natarcia - „atak zza pleców” - który sprawiał, że sędziowie drapali się w głowy, a przeciwnicy byli osłupiali.

W *Jekyllu i Hydzie* szermierka aktorów stała na dużo wyższym poziomie niż fechtunek, którego uczono w szkołach teatralnych. Byli pierwszorzędnymi szablistami - Buchanan szybki i silny, Barrett chyba lepszy od niego, choć niewiele.

* * *

Gdzie ja cię widziałem, pani Bell?

Nożownik obserwował Marion Morgan Bell pogrążoną w rozmowie z głównym stolarzem i brygadierem sceny. Wysoka blondynka była piękna jak aktorka, jednak wydawała się nieświadoma, jakie wrażenie robi na doświadczonych pracownikach technicznych teatru. Mężczyźni chodzili za nią jak szczeniaczki i rywalizowali ze sobą o jej uwagę zawilościami transportu wagonu metra i dwupłata z teatru Princess z powrotem do pociągu.

Gdzie ja cię widziałem?

44.

San Francisco

Pociąg specjalny Jekyll & Hyde mknął przez równiny Nevady, mijając słupy telegraficzne z szybkością stu dwunastu kilometrów na godzinę. Ale dzięki udoskonaleniom indukcji elektrostatycznej Thomasa Edisona Bell nie musiał się na nie wspinać, żeby się podłączyć do linii. Telegraf bezprzewodowy Edisona robił to za niego, wysyłając polecenia Bella z jego prywatnego wagonu do drutów przy torach kolejowych w momencie, gdy dotykał klucza. Nadał szybko trzy pilne depesze.

Dashwood - któremu Bell kazał wrócić do St. Louis i być przy sekcji zwłok Ricka Coksa - dostał:

Cleveland

Żona bankiera

Zniknięcie z przyjaciółką?

Joseph Van Dorn witał serdecznie prokuratorów z Departamentu Sprawiedliwości w waszyngtońskim biurze terenowym agencji w hotelu Willard na Pennsylvania Avenue, kiedy otrzymał:

Pomóc Nowemu Jorkowi

Schody ewakuacyjne

Jacht

Van Dorn zganił telegraficznie swoich ludzi, którzy nic nie zdziałali w żadnej z tych spraw. Potem złapał pociąg Royal Blue kolei B&O do Nowego Jorku, przeczytał ich raporty słowo po słowie i udał się do dzielnic teatrów.

Instrukcja Bella dla Joela Wallace'a brzmiała:

Spelvin

Migiem

Nożownik wciąż był w pociągu do San Francisco, kiedy wreszcie sobie przypomniał, gdzie widział tę kobietę.

W Columbus w Ohio.

W zeszłym miesiącu, przed Chicago, Cleveland, Toledo i Detroit.

Na wieczornym przedstawieniu.

Dyrektor teatru opóźniał podniesienie kurtyny, a on wyjrzał na widownię, żeby zobaczyć dlaczego. Jak zwykle jakaś para szła niespiesznie na swoje miejsca przy przejściu - lokalni luminarze, bez wątplenia najbogatszy mężczyzna w mieście ożeniony z najładniejszą dziewczyną - normalne zdarzenie, którym nie zaprzętał sobie głowy, gdy dawał z powrotem nura na swoje miejsce za kurtyną. Właściwie ledwo ich zauważył, bo jego wzrok przykuła kobieta tuż za nimi. Szła sama, dostojna jak księżna eskortowana przez kawalerię do teatru, żeby jeszcze raz zobaczyć go na scenie. Jasnowłosa i doskonała. Serce zabiło mu żywiej. Emily.

Nie, nie Emily, pani Isaacowa Bell. Co ty robisz w Columbus?

I kim ty jesteś, panie Bell?

Jesteś przywódcą nowych twarzy?

Myślę, że tak. Myślę, że nimi dowodzisz. Myślę, że mnie szukasz.

Nie wiem dlaczego. Wątpię, żebyś był gliniarzem. Ale nie obchodzi mnie, kim jesteś, panie Bell. Żaden martwy człowiek nie zdoła mnie zamknąć.

Ty pierwszy. Potem twoja piękna żona. Jedno po drugim.

Konieczne morderstwo.

Radosna rzeź.

* * *

– Mogę się przyłączyć? - zapytał inspicjenta Bell.

Henry Young siedział w wagonie restauracyjnym z filiżanką kawy. Pociąg pędził w górę Sierra Nevada, pchany przez dwie dodatkowe lokomotywy. Góry w głębokim wiosennym śniegu wyglądały na tak odległe, jak druga strona Księżycy, ale pociąg miał się wkrótce wspiąć na przełęcz Donnera zaledwie pięć godzin jazdy od San Francisco.

– Oczywiście, panie Bell.

– Chyba jeszcze nigdy nie widziałem pana siedzącego.

Young się uśmiechnął. Wyglądał dziesięć lat młodziej i drganie jego policzka zniknęło.

– I sprawia pan wrażenie bardzo zadowolonego.

– Jestem - odrzekł inspicjent. - Pierwszy raz od roku dobrze się wyspałem.

– Nie martwi się pan, że tournée dobiega końca?

– Jestem podekscytowany. Dałem się namówić na nie Chłopcom wbrew sobie. Objazdy są dobre dla młodych. Na Broadwayu wszystko organizuję raz, a nie pięćdziesiąt razy. Każdy inspicjent powinien uczyć się swojego fachu w trasie. Zasłużyć na to, żeby zostać w domu. A potem zrobić to.

– Słyszałem, że jest pan dobrym szermierzem.

Young wzruszył skromnie ramionami.

– Jestem adeptem.

– Kto pana uczy?

– Pan Barrett.

– Podobno dobrze pan sobie radzi.

– Pan Barrett jest dobrym nauczycielem. Miałem przewagę, bo w dzieciństwie byłem tancerzem. Dzięki temu człowiek jest zwinny. Ale dziewięćdziesiąt procent to zasługa pana Barretta. Podstawy to

rozluźniony chwyt, żeby swobodnie operować bronią, i zwinność jak w tańcu.

– On uczył też pana Buchanana?

– Chyba tylko podszkolił go trochę. Pan Buchanan był już w tym biegły.

– Tańczył pan, tak?

– Moje ciotki i wujowie tańczyli zawodowo.

– Acha. Tańczył pan w Anglii?

– W Kanadzie.

– Wie pan, co to jest „panto”?

– Panto? Panto... A, angielska pantomima. Gwiazdkowe przedstawienie muzyczne dla dzieci.

– Macie to w Kanadzie?

– Nie. Może mają to w innych brytyjskich koloniach, ale nie tam. Ma pan dziś mnóstwo pytań, panie Bell.

– Codziennie - odparł Bell. - Każdy dzień z wami wszystkimi w tym pociągu to okazja do nauczenia się mnóstwa rzeczy naraz o teatrze.

* * *

Kiedy Joseph Van Dorn wyszedł z saloonu w dzielnicy Tenderloin, który zaspokajał potrzeby aktorów, chodnik zablokował barczysty twardziel w niebieskim garniturze i meloniku.

– Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego założyciel prywatnej agencji detektywistycznej z biurami terenowymi w każdym mieście wartym tej nazwy i placówkami w Londynie, Paryżu i Berlinie od dwóch dni osobiście węszy w moim rewirze w poszukiwaniu informacji o aktorze, który w październiku spadł ze schodów ewakuacyjnych pewnej damy?

– Żeby nie wyjść z wprawy. Jak się masz, kapitanie?

Starzy przyjaciele uścisnęli sobie dłonie.

– Jak sobie radzisz?

– Lepiej, niż twoi chłopcy w październiku.

„Nieprzekupny Mike” Coligney zjeżył się.

– Co to ma znaczyć?

– Mąż, który według wszystkich gonił pana Medicka, zaprzecza temu.

– A co ma mówić? Zginął człowiek. Gość nie chce być oskarżony o zabójstwo.

– Twierdzi też, że żona go nie zdradzała.

– W październiku zeznał inaczej.

– Wtedy myślał, że jest rogaczem, ale teraz mówi, że ktoś go podpuścił. Jakiś „przyjaciel” przysłał mu list: „Szanowny panie, uznałem, że powinien pan wiedzieć, że pańska żona nie jest panu wierna”.

– Wierzysz mu?

– Jego żona przysięgła, że nigdy go nie oszukała.

– Wierzysz jej?

– Powiedziała to na łożu śmierci.

– Na jakim łożu śmierci? Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

– Umarła w marcu na gruźlicę.

Mike Coligney przeżegnał się.

– Matko Boska... Więc co Medick robił na jej schodach ewakuacyjnych?

– On też dostał list. Podobno od niej.

– Pamiętam ten list. Było tam coś w stylu: „Wejdź po schodach ewakuacyjnych, wpuszczę cię tylnym oknem”.

– Przysięgła, że go nie napisała - odrzekł Van Dorn. - Też na łożu śmierci.

– Więc kto to zrobił?

– Ktoś, kto zrzucił pana Medicka ze schodów ewakuacyjnych.

– Ale detektywi ustalili, że tamten list został napisany na maszynie w jej gabinecie biurowym - odparł Coligney.

– Więc albo skłamała na łożu śmierci - powiedział Van Dorn - albo zabójca Medicka napisał list na jej maszynie.

Coligney to wiedział i zmienił temat.

– Medick bał się wysokości. To jakim cudem się wspiął po schodach ewakuacyjnych na czwarte piętro?

Van Dorn przygładził rude wąsy, zdjął kapelusz i przejechał wielką dłonią po łysinie. Zamrugał i w jego głęboko osadzonych oczach pojawiła się melancholia.

– Według jej nieszczęsnego męża była kobietą wartą ryzyka.

– Więc Medick ją znał.

– Miał nadzieję poznać ją bliżej, zachęcony listem napisanym przez kogoś, kto znał jego słabość do cudzych żon - odrzekł Van Dorn.

– Jak to się stało, że nikt nie widział tego „kogoś”?

– Widziano go - odpowiedział Van Dorn. - Tylko on nie wyglądał na kogoś zdolnego zrzucić ze schodów ewakuacyjnych wysportowanego młodego aktora.

– O czym ty mówisz, Joe?

– Rozmawiałem z trzema osobami, które pamiętają starszego gościa kręcącego się przy jej budynku. Jedna z tych osób myślała, że to włóczęga, druga - że to szmaciarz, a trzecia, że to po prostu pijak. Wszystkie uważały, że jest nieszkodliwy.

* * *

Bell przeczytał depeszę od Van Dorna w wieczór ostatniego spektaklu *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* w San Francisco.

Schody ewakuacyjne

Starszy gość

Aktor

Los Angeles

– Odkąd jestem na scenie - jęknęła Isabella Cook - nie przypominam sobie takiego przyjęcia dla obsady po ostatnim spektaklu jak wczoraj. Ani takiego kaca. Co myśmy sobie myśleli, Isaac?

– Jeśli cię to pocieszy, nie ty jedna w tym pociągu masz kaca.

– A ty?

– Takiego, na jaki zasługuję - odrzekł Bell.

W rzeczywistości, ze straszną świadomością, że czas ucieka, sączył ciemny cydr w kieliszkach do koktajlu Manhattan i trzeźwym okiem, ale bezowocnie, obserwował Barretta, Buchanana i Younga.

– To wina twojej żony. Perspektywa jej filmu przyćmiła smutek po ostatnim przedstawieniu. Wszyscy są podekscytowani. Wszędzie wokół siebie widziałam rodzące się romanse i pary robiące w milczeniu cielece oczy... Czy ktoś mógłby powiedzieć maszyniście, żeby uciszył stukot kół?

– Jesteśmy prawie na miejscu.

– Nigdy nie myślałam, że z takim zadowoleniem wysiądę z pociągu w Los Angeles... - Wyjrzała z powątpiewaniem przez okno. - Słoneczne Los Angeles? Widzę tylko atakowane przez burzę gaje pomarańczowe i zmokłe bydło. Sądzisz, że ten deszcz będzie nam towarzyszył aż do Hollywood?

– Marion wynajęła studio. Na wszelki wypadek.

Kiedy Bell rozmawiał z nią wieczorem przez telefon, zakończyła relację ponuro: „Ale ciągle pada”.

* * *

Nikt nie musiał popędzać Joela Wallace’a.

Czternaście emerytowanych chórzystek - odkąd Bell wyjechał z Londynu - i czternaście niepowodzeń. A potem nagle jego nowa przyjaciółka Dolly, którą poznał podczas tego szukania wiatru w polu,

powiedziała mu, że kiedy jej matka śpiewała w chórze w burlesce *Tra-la-la Tosca* w 1891 roku, znała dziewczynę, która chodziła z chłopcem nazwiskiem Spelvin.

Wallace czekał na nie w herbaciarni na Piccadilly za rogiem od biura terenowego Van Dorna. Weszły wyszykowane na wizytę w centrum Londynu. Jedno spojrzenie na matkę Dolly powiedziało Wallace'owi, że jej córka ładnie się zestarzeje. Matka się zatrzymała, żeby powspominać z kierownikiem herbaciarni, a Dolly podeszła do stolika Wallace'a.

– Przyprowadziłam mamę, jak prosiłeś. Ona myśli, że się ożenisz ze mną.

– Dolly, wiesz, że to nie dla mnie. Czy kiedyś skłamałem, że tak? Powiedziałem ci to tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

– To lepiej nie mów tego mamie, bo nie porozmawia z tobą.

* * *

Bell dostał depeszę od Wallace'a w zadeszczonym Los Angeles, gdy jego wagon wtaczał się na końcu pociągu specjalnego Jekyll & Hyde na stację Arcade Depot. Telegram był przypomnieniem, że Joseph Van Dorn wybrał właściwego człowieka na szefa londyńskiego biura terenowego.

Spelvin oszukiwał w 1891 roku

Udawał włoskiego instruktora szermierki

Jego dziewczyna zniknęła

Ostatni raz widziano go na stacji Liverpool

Jadę do Liverpoolu

Podszywać się pod Włocha, to jedno, pomyślał Bell, czego najlepszym przykładem jest fryzjer z Whitechapel, Davy Collins. Ale uczyć fechtunku, tak jak Barrett Younga, to zupełnie co innego, zwłaszcza kunsztownej sztuki szermierki włoskiej.

* * *

Detektyw Eddie Tobin czekał przy Chelsea Piers w szybkiej motorówce. Kiedy Joseph Van Dorn wgramolił się na pokład, Tobin odpalił dwa ośmiocylindrowe benzynowe silniki Wolseley-Siddeley, które Bell sprowadził z Anglii, i pomknął przez zatłoczony, zasnuty dymem port w kierunku Staten Island.

Tobin miał zniekształconą twarz po strasznym pobiciu przez gang Goferów, kiedy praktykował u Van Dorna. Rozparty za sterem jak człowiek urodzony w kokpicie, omijał nonszalancko holowniki, barki z węglem, promy kolejowe, latarniowce, żaglowe i parowe statki towarowe i liniowce z szybkością trzydziestu węzłów. Gdy Bell kazał mu spojrzeć świeżym okiem na eksplozję jachtu Oppenheima, młody detektyw znalazł świadka.

– Jak to się stało, że gliniarze z nim nie porozmawiali? - zapytał Van Dorn.

– On nie rozmawia z glinami. Z nami też nie porozmawia, przynajmniej nie bezpośrednio.

Van Dorn przypuszczał, że świadek to jeden z kuzynów Eddiego, bo do klanu nierozmownych Tobinów, Darbeech, Richardsów, Gordonów i Scottów, barkarzy ze Staten Island, należeli też poławiacze ostryg, załoganci holowników, złodzieje węgla i przemytnicy.

– Problem w tym, panie Van Dorn, że to będzie pogłoska.

– Nie przygotowuję sprawy dla sądu - warknął Van Dorn. - Isaac potrzebuje tylko argumentu.

W porcie w St. George Tobin zwolnił tylko na tyle, żeby dwóch muskularnych poławiaczy ostryg zdołało wskoczyć do łodzi z końca mola. Van Dorn skinął chłodno głową, ale uściśnął im dłonie. Jimmy Richards i Marvyn Gordon regularnie trafiali do więzienia, ale byli tylko złodziejami, nie bandytami, co mógł im odpuścić. Tobin dał pełny gaz i wpłynął do Kill Van Kuli, gdzie po kilometry zwolnił i wyłączył silniki, gdy Richards i Gordon wskazali barkę do połowu ostryg zakotwiczoną obok zdezelowanego szkunera. Ładna dziewczyna wyszła z niskiej kabiny. Van Dorn ocenił jej wiek na około czternaście lat.

– Molly, to jest pan Van Dorn, o którym ci mówiłem.

Molly wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Van Dorna, ale nie zaprosiła nikogo na pokład swojego statku.

– Ojciec Molly powiedział jej, co widział - wyjaśnił Tobin. - Ona powtórzy to panu.

– Stary włoski zieleniarz z dużym haczykowatym nosem wynajął ojca, żeby go zawiózł na jacht - zaczęła Molly.

– Na jacht Oppenheima?

– Na ten, co wyleciał w powietrze. Zawiózł tam skrzynki sałaty. Były duże fale i w drodze powrotnej dostał choroby morskiej. Pocił się i wymiotował. Kiedy ojciec pomagał mu wejść na nabrzeże, nos mu odpadł.

– Nos mu...

– I duże czarne wąsy. Takie we włoskim stylu.

* * *

Van Dorn zadepeszował do Bella w Los Angeles.

Jacht

Starszy gość

Znowu aktor

– Teraz wiemy, że on nie zabija tylko dla wynaturzonej przyjemności - powiedział Bell do Marion, którą pocieszał późną kolacją po kolejnym deszczowym dniu, kiedy musiała zabrać kamery do środka - ale również dla zysku.

– Zabił, żeby rządzić przedstawieniem.

Biuro terenowe w Cleveland nie było zachwycone, że śledztwo nadzoruje tak młody detektyw, jak James Dashwood. To, że Dashwood podlega bezpośrednio Bellowi, nie sprawiało, że chłopcy w Cleveland bardziej go lubili.

– Interesujące - zauważył uprzejmie Dashwood po starannym obejrzeniu fotografii z kostnicy.

– Tak? Co jest interesujące?

– Wasz wniosek, że morderca nie wyciął półksiężyców na ramionach ofiary.

– Do takiego doszliśmy.

– Z drugiej strony, te znaki na jej nogach można uznać za półksiężyce.

– Również za dźgnięcia podczas walki.

– Jakiej walki? Koroner stwierdził, że śmierć nastąpiła szybko, jeśli nie natychmiast, z powodu rany jej szyi lub oddzielenia kręgów C3 i C4...

Szef biura w Cleveland stłumił chęć zepchnięcia Dashwooda z mola do jeziora Erie.

– Coś jeszcze?

– Jest coś dziwnego w tym programie teatralnym z dedykacją pana Buchanana dla tej kobiety.

John Buchanan napisał nad swoim nazwiskiem w obsadzie *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* „Cała przyjemność po mojej stronie” i podpisał się pod nim. Litery były wyraźne, okrągłe z pięknymi zawijasami.

– Co takiego?

– Odwaliliście kawał roboty, dokumentując ich wzajemne „wizyty”.

– Bogacze nie zadają sobie wiele trudu, żeby to ukryć. Jeśli mąż tej kobiety niczego nie zauważył albo nie chciał zauważyć, to kto miał ich sprawdzać?

– I genialne było to odkrycie, że mąż ma dziewczynę.

– Dzięki, synu.

– Ale co jest nie tak z tym programem? On mi nie daje spokoju...
Mógłbym go zatrzymać?

– Będziesz musiał podpisać pokwitowanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Dashwood.

* * *

Nożownik czekał za długo.
Deszcz spowolnił wszystko do tempa pełzania.
Dawno nadszedł czas ataku.
Koniecznego morderstwa.
Radosnej rzezi.

46.

Joel Wallace przeszedł samego siebie w drugiej depeszy do Bella:

Puste klipry bawełniane
Liverpool - Nowy Orlean
Bez papierów

Z nikłą nadzieją na coś więcej, niż lista z jakiejś starej gazety, i z jeszcze mniejszą na szybką odpowiedź, dokąd morderca udał się dalej dwadzieścia lat temu, Bell zatelegrafował do biura terenowego w Nowym Orleanie:

Dziewczyny zamordowane sierpień-grudzień 1891

Kopertę przywieziono wagonem silnikowym. Widniało na niej napisane dużymi literami nazwisko Bella i adres stacji kolejowej Arcade Depot, gdzie stał pociąg specjalny Jekyll & Hyde.

W środku był list:

*Drogi Szefie,
548 kilometr SP o północy.
Przyjedź sam, stary.
Ostatecznie nie jest to tylko między nami?*

Nie zdziwię się, jeśli nie przyjedziesz sam.

Lub nie przyjedziesz w ogóle.

Proszę o zbyt wiele odwagi.

Jeden z nas jest nieśmiertelny i wiesz, że nie ty.

– Dwadzieścia do jednego, że to żart - powiedział do Archiego Abbotta.

– Ale i tak pojedziesz?

– Muszę.

– Sam?

– Tak jak on chce.

Bell zauważył, że charakter pisma jest podobny do tego w liście Kuby Rozpruwacza o jego zabawnych gierkach wysłanym przez niego do Centralnej Agencji Prasowej w 1888 roku, który Scotland Yard uznał za autentyczny i umieścił na plakatach w płońskiej nadziei, że ktoś, kto go zna, rozpozna odręczne pismo.

Półksiężyc pod podpisem Kuby Rozpruwacza dostrzegłby każdy czytelnik gazety. Bardziej intrygujący był zwrot „Drogi Szeffie”, bo pierwszy list do Yardu też zaczynał się od tych słów.

– Co to, do cholery, jest „548 kilometr SP”? - zapytał Archie Abbott.

Bell pokazał mu mapę.

– Kolej Southern Pacific liczy kilometry toru od San Francisco. Słupek 548 jest sto dziewięćdziesiąt dwa kilometry w górę wybrzeża od Los Angeles, między Gaviotą a El Capitan.

Tor biegł wzdłuż brzegu Kanału Santa Barbara.

– To pustkowie - stwierdził Archie.

– Sama woda.

– A jeśli on coś kombinuje?

– Jeśli nie, to będę bardzo zawiedziony.

– Może pojedę za tobą? - zaproponował Archie.

– Będzie cię wypatrywał.

Abbott znał swojego przyjaciela aż za dobrze. Wiedział, że ponieważ Bell wini się za śmierć Anny, to pojedzie sam, żeby nie ryzykować, że spłoszy tamtego, będzie walczył sam i wróci sam z trupem lub z więźniem, albo sam w trumnie, i żadna siła na Ziemi go nie zatrzyma.

– Dwadzieścia do jednego, że to żart - powtórzył Bell.

– Czyj?

– Mój stary znajomy Abbington-Westlake robi mi kawał. Jego fałszerze mogli podrobić odręczne pismo Rozpruwacza. Ale potknęli się na tym słowie.

– „Nieśmiertelny”?

– Rozpruwacz pisał slangiem: „zapudłować” zamiast „zaaresztować”, „nabijać się” zamiast „żartować”, „robota” zamiast „morderstwo”. Nazwanie mnie Szefem wyszło im, ale „nieśmiertelny” to błąd. Co więcej, on nigdy nie wysłał żadnego listu, odkąd opuścił Londyn. Scotland Yard wyświadczył mu wielką przysługę, twierdząc, że on nie żyje, i on to tak zostawił.

– Nie potrafi zrezygnować ze swoich gier, jak wycinanie półksiężyców, i teraz prowadzi grę z tobą.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz - odrzekł Bell.

– Isaac, pozwól mi pojechać z tobą.

– Chcę mieć cię tutaj z Marion.

– Okej. Jasne. Będę jej pilnował. Posłuchaj, wciąż pada. Podprowadziłem kowbojski deszczowiec z garderoby. Weź go.

Bell poszedł na stację towarową Southern Pacific. Deszcz, który prześladował Marion, odkąd przyjechali do Los Angeles, padał równo, i Bell był wdzięczny Archiemu za długi nieprzemakalny płaszcz. Przekupił ochroniarza złotą dziesięciodolarówką i facet ulokował go w pustym wagonie towarowym do północnej Kalifornii. Sześć godzin później zeskoczył na ziemię, gdy wolno jadący pociąg skręcił przy słupku 548 na bocznice po wodę.

Zmierzch zapadał i deszcz przybrał na sile. Wysokie fale zalewały piaszczysty brzeg i zimna mgła unosiła się z wody jak lodowate tchnienie Pacyfiku, z którym kanał łączył się kilka kilometrów dalej na zachód. Bell stracił z oczu czerwoną latarnię na wagonie służbowym, kiedy pociąg towarowy wrócił na główny tor i pokonał estakadę nad kanionem.

Miał cztery godziny na wywęszenie niespodzianek przed północą.

Zbiornik wodny z wielką obrotową rurą do napełniania kotłów parowozów wznosił się wysoko nad torami na palach. Pojedynczy główny tor biegł równoległe do kanału. Bocznica odchodziła od niego w głąb łądu, gdzie był piaszczysty plac dla wózków obsługowych. Tuż za zwrotnicą wyjazdową z bocznicą na główny tor grunt opadał do kanionu. Potok o płaskim dnie i urwistych brzegach, który napełniał się wodą po ulewnych deszczach, płynął teraz w kanionie dziesięć metrów pod estakadą. Bell zszedł na dół i upewnił się, że nikt się nie ukrywa pod podporami.

Zagrzmiało. Deszcz lunął mocniej.

Pusta przestrzeń pod zbiornikiem wodnym zapewniała schronienie. Bell przyjrzał się jej, wspiął po bocznej drabinie na szczyt zbiornika, żeby sprawdzić, czy jest sam, zapiął płaszcz pod szyję i wybrał kryjówkę między dźwigarami estakady. Widział stamtąd zbiornik i tor w obu kierunkach. Jeśli list nie został sfalszowany, to Nożownik przyjechałby tak jak on pociągiem, który zatrzyma się po wodę, albo wozem, albo samochodem, albo konno ścieżką dla wózków.

Kilka pociągów skręciło na bocznice, nabrało wody i odjechało. Inne mijały ją, a ekspresy osobowe z lokomotywami i tendrami do pokonywania większych odległości śmigały obok z szybkością stu dwunastu kilometrów na godzinę, ich oświetlone złościście okna rzucały ciepły blask przez deszcz i mgłę.

Pięć godzin później, o pierwszej nad ranem, Nożownik nadal się nie pojawił. Deszcz lał, błyskawice przecinały czarne niebo i Bell pomyślał, że rzeczywiście został wrobiony przez Abbingtona-Westlake'a. Jadący na południe pociąg towarowy zatrzymał się na bocznicą. Wysiadł tylko hamulcowy, i kiedy skład ruszał wolno spod zbiornika, Bell się

zastanawiał, czy pobiec za nim, wskoczyć do niego i wrócić do Los Angeles, czy nie. Postanowił zostać do świtu.

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy deszcz nagle ustał. Wiatr powiał z północy - chłodny i rześki. Przegonił chmury i Bell zobaczył gwiazdy pierwszy raz, odkąd pokonali Góry Skaliste. Miliony ich świeciły tak jasno, że oświetlały grzywy fal w Kanale Santa Barbara, półkilometrowy odcinek toru w obu kierunkach i rozpraszały ciemność pod estakadą.

Bell popędził w czarny cień pod zbiornikiem wodnym.

W świetle gwiazd dostrzegł jakiś ruch na bocznicy, około stu metrów od siebie przy zwrotnicy powrotnej. Coś zbliżało się wolno do niego. Minęły długie minuty, zanim przybrało kształt zgarbionej postaci, która kuśtykała po torze. Dopiero z odległości dwudziestu metrów Bell zobaczył, że to stary kulawy włóczęga z krzywą laską.

Bell rozpiął płaszcz i poluzował colta w kaburze pod pachą.

Włóczęga zaczął śpiewać. Miał słaby, piskliwy głos.

Bell słyszał najpierw tylko urywki tekstu:

„...radość i piękno...

...delikatne istoty znikają...”

Z odległości dwudziestu metrów rozpoznał pieśń domową Stephena Fostera:

„Wiele dni się ociągałeś pod drzwiami mej chaty,

O, ciężkie czasy, nie wracajcie już!”

Z odległości dziesięciu metrów Bell go poczuł.

Włóczęga cuchnął jak diabli, smród niemytego od miesięcy ciała bezdomnego człowieka wniknął głęboko we włókna jego mokrej od deszczu koszuli i kombinezonu. Miał długą siwą brodę weterana wojny

domowej, co wskazywało, że jest po siedemdziesiątce lub osiemdziesiątce jak ojciec Bella, który nosił równie siwą brodę starego żołnierza. Bell wyszedł z cienia pod zbiornikiem wodnym i światło gwiazd padło na jego twarz. Włóczęga nie zwrócił na niego uwagi, tylko skręcił ostrożnie, żeby go ominąć, i przeszedł z boczniczy na główny tor. Stał załśniła w świetle gwiazd; miał hak zamiast lewej dłoni. Jedno oko zasłaniała opaska. Rondo jego miękkiego kapelusza obwisło, przemoczone jak jego ubranie, swój dobytek niósł w obszarpanym plecaku na ramionach. Bell pomyślał o swoim ojcu śpiącym w swojej suchej i ciepłej miejskiej rezydencji w stylu neogreckim na Louisburg Square.

Bezpieczny na głównym torze, włóczęga śpiewał dalej:

„Zróbmy przerwę w przyjemnościach życia i policzmy jego wiele łez,
Gdy sączymy smutek wraz z biednymi...”

Tuż przed estakadą przystanął, odwrócił się twarzą do morza i popatrzył na nie, jakby zahipnotyzowany blaskiem gwiazd na wzburzonej wodzie. Spojrzał na estakadę, potem znów na morze i w dół kanionu. Podmuch wiatru przyniósł jego trupi zapach i Bell nagle uświadomił sobie, że to nie maskarada. To koniec drogi. Stary człowiek patrzył na morze, jakby żegnał się z pięknem przed skokiem z estakady.

„Jest pieśń, która na zawsze pozostanie w naszych uszach;
O, ciężkie czasy, nie wracajcie już!”

Bell usłyszał nagle pociąg. Nadjeżdżał z zachodu, i w świetle gwiazd zobaczył pokonującą zakręt lokomotywę ze sznurem niskich wagonów platformowych, kolejny powolny skład towarowy. Stary człowiek też go zobaczył i wszedł na estakadę.

Wielu pozwoliłoby mu szukać wytchnienia, którego nigdy w życiu by nie znalazł. Powodzenia! Ale Bell nie tracił nadziei w najbardziej

beznadziejnych sytuacjach. Gorąca kąpiel, czyste ubranie i porządne jedzenie mogły zmienić wszystko i jeśli list Rozpruwacza był żartem, to przynajmniej sprowadził go tutaj na tor kolejowy w momencie wymagającym działania.

– Stój!

Weteran go usłyszał. Odwrócił lekko głowę, ale zamiast się zatrzymać, pokuśtykał szybciej o lasce. Snop światła reflektora lokomotywy skierował się z łuku na prostą i oświetlił estakadę. Maszynista nie zagwizdał, nie zauważył, żeby coś było nie tak wśród ruchomych cieni. Starzec rozpostarł szeroko ramiona.

Bell pędził za nim co sił w nogach i krzyczał przez łoskot lokomotywy:

– Niech pan zaczeka! Chcę pomóc.

Zmniejszył dzielący ich dystans o połowę i znów o połowę. Uznał, że może zdążyć - maszynista jeszcze ich nie zobaczył, ale pociąg wcześniej zwolnił przed zakrętem. Bell dogonił starca i sięgał do jego ramienia, gdy usłyszał świst wyciąganej z pochwy stali.

47.

Z uniesionym wysoko ostrzem Nożownik obrócił się błyskawicznie.

Bell wyprostował prawe ramię i machnął luźną połą płaszcza. Ostrze Nożownika przecięło ceratę jak bibułkę, ale Bell na moment zaskoczył mordercę, wytrącił go z równowagi. Pierwszy cios minął ramię Bella. Nożownik zaatakował znowu i posiekał deszczowiec na strzępy.

Bell wyciągnął pistolet i odciągał suwadło, żeby oddać pierwszy strzał, gdy Nożownik natarł. Wykonał nagłe pchnięcie jak rapierem i Bell sparował je lufą broni, ale za lekko. Ostrze ledwo przebiło jego ramię, ale wydało mu się, że szpic trafił w nerw, bo poczuł gwałtowne drgawki ręki, jakby poraził go prąd. Mimowolnie wyprostował palce i wypuścił z dłoni pistolet.

Nożownik wziął zamach z góry.

Bell błyskawicznie złapał upadającą broń lewą ręką, zmusił się do zaciśnięcia prawej na suwadle i odciągnął je. Lokomotywa minęła ich w momencie, gdy strzelał. Korbowód uderzył go w bark jak stalowa pięść i odrzucił na dźwigar estakady. Belka uratowała go przed upadkiem do kanionu, ale pocisk chybił, pistolet poleciał pod przejeżdżające obok wagony i Nożownik ciął w dół.

Zabójczy cios trafił prosto w koronę kapelusza Bella.

* * *

Nożownik wykonał *coup de grace* - cięcie zdzierające skórę.

Wysoki detektyw upadł do tyłu między dwa dźwigary i uniósł posiekany płaszcz jak tarczę.

Tym razem Nożownik był gotowy. Nic nie mogło go zdekoncentrować.

Ale ku jego zaskoczeniu, kiedy Bell przewracał się do tyłu, poddany już bezlitosnemu działaniu grawitacji, zrobił zgrabny unik przed ostrzem i zamachnął się mocno lewą ręką. Pasek ceraty smagnął twarz Nożownika jak bicz.

Metalowy guzik trafił go we wrażliwe miejsce pod okiem.

Rycząc z wściekłości, że Bell go naznaczył, Nożownik obrócił się gwałtownie obok przejeżdżającego pociągu, wskoczył na wagon platformowy i przytrzymał, żeby się nie stoczyć. Zobaczył jeszcze, jak Bell spada do tyłu z estakady i ten widok podniósł go na duchu.

Nigdy się nie dowiemy, panie Bell, czy nabrałeś się na mój śpiew, czy na smród.

Jakimś cudem nie stracił plecaka. Cuchnęła w nim gnijąca ludzka noga. Dziękuję ci, Beatrice.

Teraz trup Bella płynie potokiem na dnie kanionu.

A ja mam tylko podbite oko.

48.

Jestem ci winien drinka, Archie, pomyślał Bell.

Stalowy uchwyt do derringera w jego kapeluszu uratował jego czaszkę, ale kowbojski deszczowiec od Archiego posłużył mu trzy razy - do odwrócenia uwagi Nożownika, kiedy wyciągał broń, do sparowania dźgnięcia uderzeniem w twarz mordercy i teraz jako lina ratunkowa.

Strzępy płaszcza zahaczyły o gąszcz belek pod estakadą. Zawieszony nad rwącym potokiem, Bell rozhuśtał się między wspornikami i podciągnął na tor.

Czerwone światła pociągu towarowego oddalały się w kierunku Los Angeles.

Bell popędził za nimi. Wiedział, że nie dogoni tego składu, ale szary pochmurny świt wróżył deszcz, a na torze miało się wkrótce zaroić od porannych pociągów do miasta.

* * *

Bell wyskoczył z ekspresu z Santa Barbara i zadzwonił do wagonu kolejowego Van Dorna z automatu telefonicznego. Harry Warren odebrał. Miał wesoły głos.

– Przygwoździliśmy go, Isaac. Johna Buchanana.

– Buchanana? Jak?

– Dashwood to zrobił. Znalazł program *Jekylla i Hyde'a* z dedykacją Buchanana dla jednej z jego bogatych dam, żony bankiera, którą zabił w Cincinnati.

– Ale on musi dedykować programy wszystkim swoim bogatym damom.

– Ten był na przedstawienie w Cincinnati.

– Ona została zabita przed Cincinnati.

– Właśnie to Dashwood rozwikłał! Program wydrukowano przed czasem. Tylko Buchanan mógł jej go dać. A najlepsze jest to, że Buchanan nie ma alibi. Zniknął tamtej nocy. Young go zastąpił. Buchanan twierdzi,

że zachorował i spał w pociągu. Załoga pociągu zaprzecza. Widzieli, jak wychodził. Buchanan odmawia wyjaśnienia, dokąd poszedł.

– Ma podbite oko?

– Co?

– Czy ma podbite oko?

– A kto to wie? Jest ucharakteryzowany. Zwinęliśmy go w Glendale, kiedy był w drodze na plan filmu Marion.

– Gdzie go trzymacie?

– Mamy go tutaj, w wagonie.

– Umyjcie go!

– Co?

– Usuńcie mu makijaż! Migiem!

Bell czekał. Bębnił palcami i wrzucał kolejne monety, kiedy telefonista o nie prosił. Harry Warren wrócił na linię.

– Nie ma podbitego oka. O co chodzi?

– Gdzie są Barrett i Young?

– Na zdjęciach.

– Z Marion?

Warren się roześmiał.

– Nic nie powstrzyma twojej żony. Jak tylko zgarnęliśmy Buchanana, zatelefonowała do Younga, żeby go zastąpił.

– Kto z nią jest?

– Barrett, Young, paru kamerzystów i ta kobitka od oświetlenia - Renneal.

– To wszyscy?

– Pada. Dała reszcie zespołu wolny dzień.

– Trzymajcie Buchanana. Nie przekazujcie go gliniarzom, dopóki się nie odezwę.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Glendale.

49.

Charakteryzując się tak szybko, jak mógł w pokoiku hotelowym na obrzeżach Glendale trzynastcie kilometrów od Los Angeles, Henry Young naniósł klej na nos. Kiedy wysychał, zapalił świecę, ugniół z pasty do tupecików miękką bryłkę i roztopił powierzchnię w płomieniu. Nałożył gęstą masę na nos, żeby stał się szeroki i płaski. Gęsta peruka podwyższyła już jego czoło i sprawiła, że głowa wydawała się groteskowo szeroka.

Kiedy wykańczał swój nowy nos niebieskawą szminką aktorską, żeby jego twarz była upiornie blada przed kamerą, drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że uderzyły w ścianę. Bell wkroczył do pokoju.

– Rewelacyjny efekt, panie Young. Wątpię, żeby rodzona matka pana poznała twarzą w twarz.

– Co? Co pan tu robi?

– Nadganiem. Co pan robi?

– Pańska żona poprosiła mnie, żebym zastąpił pana Buchanana. Zdaje się, że go aresztowano.

– Mam pytanie do pana. Co z pańskim okiem?

– Z moim okiem? Dobrze.

– Niech pan mi pokaże.

Henry Young oblizwał wargi i rozejrzał się nerwowo.

– Nie rozumiem, panie Bell.

Bell chwycił buteleczkę oliwy.

– Niech pan zetrze makijaż i wszystko będzie jasne.

* * *

Deszcz doprowadzał Marion Morgan Bell do szału. Wciąż padał. Jeszcze nie sfilmowała żadnej sceny w plenerze, a jej główna aktorka, jeszcze bardziej fascynująca na ekranie, niż na scenie, groziła, że wsiądzie do pociągu Golden State Limited do Chicago i wróci 20th Century do domu do „cywilizacji”.

Marion straciła już Johna Buchanana - ale dla wielkiej sprawy, zakończenia zbrodni Kuby Rozpruwacza. Nie mogła się doczekać opowieści Isaaca po jego powrocie stamtąd, gdzie zaprowadził go pościg. Został jej jeszcze gwiazdor, Jackson Barrett, i dubler, pan Young. Ale nikt nie mógł zastąpić Isabelli Cook, „wspaniałej i uwielbianej”.

Jej jedyną szansą było pokazanie Isabelli jakiejś fascynującej sceny, żeby na nowo wzbudzić jej zainteresowanie filmem i zatrzymać ją. Toteż z pomysłowością, której nauczyła się przy robieniu filmów tematycznych, postanowiła przenieść urojony pojedynek do wnętrza - głęboko do wnętrza - do zawalonego tunelu opuszczonego przez międzymiastową linię tramwajową.

Nadawał się doskonale do filmowej sceny walki na szable - rumowisko stwarzało iluzję, że to wiekowy zamek. Miał trzydzieści metrów długości od wylotu do tarasujących częściowo drugi koniec skał, trzy metry wysokości i cztery szerokości. Był tak daleko od miasta, że nie mogli ich tu znaleźć turyści gapie. Tak jak w zamku, długi, wąski i wysoki korytarz miał w nieobrobionych ścianach zakamarki, gdzie mogła ukryć kamery.

Marilyn Renneгал - równie pomysłowa jak Marion realizatorka oświetlenia w filmie *Żelazny koń* - umocowała na skalnym suficie lampy rtęciowe i powiesiła na nich setki białych jedwabnych wstążek dla efektu wizualnego. Dynamo na zewnątrz tunelu wytwarzało prąd elektryczny. Napędzał je poprzez pomysłowy układ pasów transmisyjnych ten sam ośmiocyndrowy silnik lotniczy, co robił wiatr. Urządzenie wyglądało z wewnątrz jak samolot, który zaraz wleci do tunelu kosztem swoich skrzydeł.

Widlasta „ósemka” o mocy dziewięćdziesięciu koni mechanicznych z dwupłatu Curtiss Pusher kręciła ogromnym śmigłem pchającym z szybkością tysiąca czterystu obrotów na minutę. Drewniane łopaty śmigła ukształtowano tak, żeby odpychało powietrze od siebie. Było wyższe od człowieka i kiedy wirowało z maksymalną prędkością, politurowane łopaty przestawały być widoczne.

Marion przykleiła w tunelu i na zewnątrz ostrzeżenia:

NIE ZBLIŻAĆ SIĘ



Bell ani nie wrócił do Los Angeles żywy, ani nie znaleziono jego ciała. Kolejna „zbrodnia doskonała”?

Aresztowanie Johna Buchanana przez detektywów Van Dorna zdawało się to potwierdzać. Ale na wszelki wypadek Nożownik zrobił przejście przez rumowisko na końcu tunelu, żeby móc uciec - z zakładnikiem, jeśli będzie musiał.

Nie mógł wiedzieć, że Bell też jest detektywem. Ni mniej, ni więcej, tylko ich szefem. Ale to nie miało znaczenia. Wrobienie Buchanana w morderstwo w Cleveland poszło zgodnie z planem. Buchanan nie miał alibi, bo nie podał nazwiska kobiety, z którą się wymknął tamtej nocy. Uwodziciel stracił głowę dla pięknej pilotki samolotu: kochała swoje dzieci, które z pewnością by jej zabrano w razie rozwodu. Z miłości stał się honorowy. Zamiast ją zdradzić, biedny dureń będzie gnął w więzieniu do egzekucji.

Plan. Oczekiwanie. Nadzieja.

Film *Jekyll i Hyde* sprawił, że jego zwykły optymizm osiągnął niebotyczny poziom.

Marion Morgan Bell pokazała im zdjęcia z próby urojonego pojedynku.

„Nieśmiertelny” to było mało powiedziane. Jego twarz i ciało w ruchu robiły tysiąc - dziesięć tysięcy razy - większe wrażenie niż na fotografii i teraz łatwiej niż kiedykolwiek mógł uwierzyć, że nigdy nie umrze. I na pewno nie zostanie złapany.

* * *

– Proszę zająć swoje miejsca, zanim włączymy maszyny... Panie Davidson? Panie Blitzer?

– Tutaj, pani Bell - odpowiedział Davidson.

Stał obok niej w pierwszej szczelinie sześć metrów od dmuchawy.

– Tutaj! - zawołał Blitzer ze swojej niszy po drugiej stronie tunelu pięć metrów dalej w głąb.

– Pani Rennegal, proszę zejść z drabiny i uruchomić dynamo.

Rennegal wyregulowała jeszcze jeden jupiter, zeszła niechętnie z drabiny i wyniosła ją z tunelu.

Kellan, asystent Davidsona, wybiegł na zewnątrz, żeby włączyć dmuchawę.

– Panie Barrett?

Barrett zasalutował jej szablą. Wyobrażał urojonego szermierza w muszkieterskim kapeluszu z piórem, czarnych butach z cholewami do ud i białej koszuli z bufiastymi rękawami. Nad jego głową wstążki Rennegal powiewały w strumieniu powietrza z końca tunelu.

– Gdzie jest pan Young? Charakteryzuje się w hotelu?

– Hyde tutaj! Przepraszam za spóźnienie.

Pan Hyde przecisnął się obok dmuchawy, zauważył różną broń szermierczą na stole rekwizytorskim i zobaczył, że Barrett trzyma szablę pojedynkową. Wybrał taką, która leżała w jego dłoni, jakby się z nią urodził, i stanął naprzeciwko doktora Jekylla.

Był ubrany od stóp do głów w czarny kostium, koszulę i spodnie miał obcisłe jak tancerz, kapelusz w kształcie hełmu nieozdobiony, maskę na twarzy groteskowo wydętą i pelerynę, która sięgała poniżej kolan.

Marion wzięła megafon, żeby być słyszana przez warkot dmuchawy.

– Gotowi, pani Bell!

– Światła!

– Dynamo gotowe! - zawołała Rennegal.

– Kellan, silnik!

– Kontakt!

Pani Rennegal przestawiła przełącznik elektryczny ulokowany daleko od śmigła. Jeszcze nie zaczęło wytwarzać wiatru.

Młody Kellan kilkakrotnie zakręcił śmigłem i kiedy poczuł opór na skutek kompresji silnika, pociągnął mocno. Po dwóch następnych szarpnięciach Curtiss ożył - tłoki zaczęły się poruszać, zawory klekotać, śmigło obracać.

Nawet przy prędkości biegu jałowego jedwabne paski pląsały, a peleryny Jekylla i Hyde'a trzepotały.

– Światła!

Pani Rennegal uruchomiła napęd pasowy dynama. Ostry niebieskozielony blask jupiterów zalał Jekylla i Hyde'a.

– Kamery!

Davidson i Blitzer zaczęli wolno kręcić.

– Panie Barrett - krzyknęła Marion - panie Young, dobro i zło walczą na śmierć i życie! Bądźcie zawzięci, tylko proszę, nie pozabijajcie się przypadkowo nawzajem, bo mamy jeszcze dużo filmu do zrobienia, jeśli kiedykolwiek przestanie padać.

Jekyll i Hyde przyjęli postawę do walki.

– Tempo!

Davidson i Blitzer rozkręcili kamery do dwudziestu klatek na sekundę.

Jekyll i Hyde zaszalutowali sobie wzajemnie w geście szacunku, unosząc ostrza przed twarzami. Scenariusz - luźna adaptacja sztuki - wymagał, żeby ich pierwsze starcie było agresywne. Żadnego wywołanego halucynacjami miotania się, tylko ostra próba sił. Szczęk stali zabrzmiał głośno.

Jackson Barrett wciąż się przyzwyczajał do myśli, że publiczność w kinie nie usłyszy prawdziwych odgłosów walki, tylko efekty dźwiękowe orkiestry. Z drugiej strony to, że widownia nie usłyszy żadnych słów aktorów zapowiadało dobrą zabawę.

– Chce pan dostać lekcję szermierki, panie Young?

W odpowiedzi inspicjent zaatakował bez żadnego markowania i zdumiał Barretta kontrą pod jego ostrze.

– Kamery czynią pana zuchwałym. Niech pan zwolni.

Następne błyskawiczne pchnięcie Hyde'a zmusiło Barretta do cofnięcia się.

– Przerwę to - warknął gniewnie - zanim pana zranię, i to ciężko.

Natarł na Younga.

Inspicjent zaskoczył go odparowaniem ciosu i zaatakował z doskoku.

– Pomysłowe posunięcia - stwierdził Barrett po szybkiej zasłonie. - Musiał pan ćwiczyć po naszym ostatnim występie na scenie.

Inspicjent milczał. Wydawał się zawczasu skupiać na każdym ruchu. Nagły pokaz umiejętności Younga wprowadził w osłupienie Marion i ekipę. Widzieli, że ta walka nie jest podobna do żadnego poprzedniego pojedynku filmowego. Inspicjent władał szablą jak nigdy dotąd.

– Panie Young, jeśli spróbuje pan tego jeszcze raz, to pożałuje pan. Niech pan posłucha: ja będę atakował, a pan będzie się cofał.

Barrett wystawił go na próbę paroma silnymi ciosami, uderzając stalą w stal, zamarkował mocne cięcie i zrobił wypad, żeby pokazać widowni złego pana Hyde'a jako szczura, który ucieka ciemnym zaułkiem.

Stawało się jasne, że Young jest bardziej biegły w posługiwaniu się szablą niż Buchanan. Barrett wkrótce uświadomił sobie, że ma równego mu, jeśli nie lepszego od niego przeciwnika.

Inspicjent wykonał bezpośrednią ripostę, którą zakończył pchnięciem bez markowania, lecz z pełnym obrotem wokół ostrza Barretta. Barrett pospieszył się o pół sekundy z przerwaniem walki i unikiem przed natarciem Younga.

Wszyscy na planie stali jak zahipnotyzowani, niepewni, czy to prawdziwy zawzięty pojedynek, czy tylko gra na potrzeby filmu.

Hyde zaczekał z zasłoną, aż Jekyll całkowicie wyprostuje uzbrojoną rękę i koniec jego szabli będzie centymetr od jego barku. Wtedy wykonał ripostę, przebił rękaw Barretta i zranił go głęboko w przedramię.

– Opóźniona zasłona, panie Hyde? Nie ma pan ani wycucia odległości, ani nie operuje pan swobodnie bronią, trzymając ją tak mocno. Jak pan to zrobił?

Hyde nie odpowiedział i Barrett zaczął stosować taktykę, której nie wykorzystywał od lat. Odparł następny atak Hyde'a ruchem na wprost bez zawahania, żeby nie sprowokować reakcji - szybkim, silnym, jakby nie zauważył, że jego ramię krwawi.

Hyde nie podjął ponownie walki natychmiast, tylko się cofnął, uśmiechnął groteskowo do Barretta i przemówił głośno, żeby ekipa usłyszała go przez hałas dmuchawy:

– Jacku Spelvin, nazywam się Isaac Bell i jestem śledczym z Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Aresztuję cię za zabójstwo Anny Waterbury i Bóg jeden wie, ilu jeszcze kobiet.

50.

– Oszalałeś?! - krzyknął Barrett. - Twoi detektywi aresztowali Buchanana. On jest Rozpruwaczem.

– Walczcie, walczcie! - zawołał kamerzysta Blitzer przez ryk wydechu dmuchawy. - Nadal kręcimy.

Patrząc wrogo na Barretta, Bell ignorował głosy ekipy, które mieszały się z hałasem dmuchawy i odbijały echem w tunelu.

– Daruj sobie próbę ucieczki, Barrett, czy też Spelvin, czy jak tam się nazywasz - powiedział. - Znaleźliśmy twoją drogę ucieczki na końcu tunelu i jest ona pilnowana przez dwóch uzbrojonych po zęby agentów.

– Odgrywasz rolę sprytnego detektywa? - zapytał Barrett. - To nadal jest film twojej żony. Ciekawe, który z nas zobaczy zakończenie.

– Nie ty - odparł lodowato Bell. - Zetrzyj makijaż z lewego oka. Buchanan to zrobił. Henry Young też.

– Czego do dowiodło?

– Że żaden z nich nie jest Kubą Rozpruwaczem.

– Po co pajacujesz z szablą? Jeśli naprawdę zamierzasz mnie aresztować, to gdzie masz pistolet?

– Zgubiłem w kanionie. - Bell rozpostarł ramiona. W obcisłym kostiumie nie miał miejsca na ukrycie pistoletu. - Jeśli będziesz stawiał opór przy aresztowaniu, to potnę cię gorzej niż ty kobiety w twoim szale mordowania.

Żeby spotęgować grozę chwili, Kuba Rozpruwacz alias Jackson Barrett starł peleryną makijaż, odsłaniając podbite oko, i wybuchnął głośnym przyprawiającym o mdłości śmiechem, który odbił się echem w tunelu ponad hałasem dmuchawy.

Nie było uprzejmości ani pełnych szacunku salutów. Z szybkością błyskawicy Rozpruwacz zaatakował jak prehistoryczny drapieżnik. Bell nie dał się zaskoczyć. Poznał zamiar Barretta po lekkiej zmianie pracy jego nóg. Nastąpił wypad i Bell sparował pchnięcie.

– Dzięki - powiedział. - Miałem nadzieję, że będziesz stawiał opór.

Ekipa obserwowała walkę z obawą. Pojedynek nabrał tempa. Kontakt ostrzy zdawał się następować co mikrosekundę, gdy stał błyskała w blasku jupiterów. Dla ekipy stało się jasne, że każdy z pojedyńkowiczów stara się zabić drugiego.

Bell zapędził Rozpruwacza w głąb tunelu za drugą kamerę i reflektory. Wyglądało to atrakcyjnie, bo dmuchawa podrywała tuman kurzu, który wirował w świetle.

Marion się zaniepokoiła, gdy Bell zniknął z widoku, i uniosła megafon.

– Isaac! - krzyknęła przez ryk dmuchawy. - Wracaj! Jesteś poza zasięgiem światła.

Rozpruwacz odzyskał inicjatywę. Walczył z żarciem, wykorzystując swoją szybkość, siłę i niezwykłą wprawę w operowaniu bronią, by zepchnąć wysokiego detektywa do defensywy.

Bell wykorzystał swój odwrót do zorientowania się w metodach Rozpruwacza, jego umiejętnościach i sztuczkach. Obaj walczyli jakby o swoje dusze.

Kuba Rozpruwacz miał precyzyjną rękę, z czego słynęli włoscy mistrzowie. Ale był bardziej przewidywalny niż jakikolwiek Włoch. Rozkoszujący się szlachtowaniem swoich ofiar potwór wołał przelewać krew niż zadawać wewnętrzne rany. Przegrana z nim oznaczałaby powolną bolesną śmierć. Ale jego zamaszyste cięcia umożliwiały przeciwnikowi dźgnięcie go.

Kuba Rozpruwacz poleciał do tyłu, ale wysoki jasnowłosy detektyw musiał walczyć o każdy zdobyty metr. Rozpruwacz nie zostawiał mu wolnej przestrzeni. Sparował cios Bella, wykonał pchnięcie i zranił go w biceps. Na szczęście ostrze ledwo drasnęło skórę, ale krew spływała w dół jego ramienia, co groziło tym, że rękojeść broni stanie się mokra i śliska. Bell ścisnął rękaw koszuli, żeby wchłaniał krew.

Już wiedział, jak Kuba Rozpruwacz obezwładniał mordowane kobiety i zmuszał je do takich sposobów obrony, które mógł przewidzieć.

Żeby go pokonać, musiał być nieprzewidywalny. A żaden atak nie był bardziej nieprzewidywalny, niż ten, który opracował ze swoim znajomym z marynarki wojennej.

Odbił broń Rozpruwacza w bok i zrobił wypad. Kiedy zataczał szablą łuk, przerzucił ją nagle do drugiej ręki, machnął nią przed swoim brzuchem i wokół swojego pasa i zza pleców dźgnął Rozpruwacza w lewe płuco. Ostrze zazgrzytało o żebro i nie weszło głębiej.

Teraz, trzy metry od wirującego śmigła, czując przez kostium ostrzegawczą siłę wiatru, Kuba Rozpruwacz przypuścił kontratak. Bardziej zamarkował, niż zrobił wypad, po czym wykonał pchnięcie.

Bell je sparował i cofnął się obok Marion. Stała po prawej stronie tunelu przy stercie skał. Rozpruwacz zamarkował zwrot w lewo, obrócił się i złapał Marion wolną ręką. Opasał ją ramieniem i zasłonięty nią jak tarczą, przyciągnął ją do siebie. Oczy Bella stały się dzikie.

– Nie waż się jej skrzywdzić, kanalio! - ryknął jak lew postrzelony w obronie samicy.

– Znikam - oznajmił Rozpruwacz - i porywam twoją utalentowaną żonę.

– Zabierz od niej swoje cholerne łapy!

– Może to zrobię, a może nie - odparł złośliwie Rozpruwacz.

Znów poczuł na plecach siłę wiatru i zaczął nacierać. Bell mógł się tylko cofać, żeby nie narażać Marion na większe niebezpieczeństwo. Ale kiedy obaj koncentrowali się jeden na drugim, Marion uniosła lewą stopę i z całej siły walnęła nią w palce nogi Rozpruwacza. Prawie w tym samym momencie wbiła łokcie w jego żebra i wyrwała mu się. Bell rzucił swoją szablę i chwycił Marion, obserwując miotającego się Barretta. Kamerzysta Davidson dawno przestał filmować i podbiegł do Marion, gdy znalazła się między przeciwnikami.

Zaszokowany i wytracony z równowagi Rozpruwacz się zatoczył. Stracił poczucie kierunku i cofnął się od Bella w stronę dmuchawy. Śmigło zahaczyło o jego pelerynę, poderwało mu rękę do góry i pozbawiło go szabli. Przyciągnęło go do siebie, zdarło z niego pelerynę i koszulę i odrzuciło go do przodu, pozostawiając na jego plecach mnóstwo głębokich półkolistych ran. Z oszalałym z bólu i przerażenia wzrokiem Rozpruwacz odwrócił się i pobiegł obok dmuchawy do wylotu tunelu.

Davidson wziął Marion za rękę, Bell puścił się w pogoń za Rozpruwaczem. Okrążył śmigło, dopadł go i powalił na ziemię. Rozpruwacz wydostał się spod niego i kopnął go. Bell złapał za jego but i obrócił go. Podniósł się szybko i stanął do walki z Barrettem. Siła wciąganego przez dmuchawę powietrza utrudniała utrzymanie równowagi, ale Bell zadał Barrettowi trzy ciosy w zranioną pierś, a potem walnął go hakiem tak, że Rozpruwacz poleciał do tyłu. Zasysany do tunelu strumień zaśmigłowy porwał Barretta. Rozpruwacz złapał się silnika i wrzasnął z bólu, kiedy rozgrzany do czerwoności aluminiowy kolektor wydechowy oparzył mu rękę.

Nie mając się czego przytrzymać, krzyknął z rozpacz.

W niecałe dwie sekundy Kuba Rozpruwacz zniknął na oczach Bella. Kawalki ciała i kości poszybowały w głąb tunelu, mgielka krwi opryskała ściany.

Marion nie widziała, kto został posiekany na kawałki, wpadła w panikę i pobięła do wylotu tunelu. Davidson ją dogonił i zatrzymał.

– Isaac! - zaszlochała, zrozpaczona.

Pozostawiony sam z rykiem silnika i grozą chwili, Bell przestawił przełącznik. Kiedy śmigło zaczęło zwalniać, okrążył dmuchawę i zobaczył biegnącą ku niemu zapłakaną Marion. Wyciągnął ręce i objął ją mocno. Drżała, trzęsła się, jakby zmarzła na zimowym wietrze.

– Myślałam, że nie żyjesz!

Bell pocałował ją lekko w czoło.

– Będę żył jeszcze pięćdziesiąt lat - powiedział cicho.

EPILOG

Nowy Jork, 1955

– Babciu! Twoje nazwisko jest w telewizji!

Krzyk dobiegł z sąsiedniego pokoju przestronnego apartamentu na Central Park West.

– Za chwilę, kochanie. Dziadek mnie trzyma.

– To delikatnie powiedziane - zauważył Isaac Bell i objął mocniej Marion, kiedy spróbowała bez zapału zsunąć się z jego kolan.

– Babciu!

Odwiedzali nowojorską filię tego, co stało się wielką rodziną prywatnych detektywów. To grono składało się z ciemnookiego potomstwa Harry'ego Warrena i gromadki Millsów, Dashwoodów i Abbottów.

– Lepiej zobaczę, co się dzieje.

– Wesprę cię - odrzekł Bell.

W bibliotece pełnej dzieci i zabawek telewizor był nastawiony na kanał 9, lokalną nowojorską stację, która pokazywała stare filmy. Zatrzymane na ekranie napisy drgały dziwnie.

– Zobacz, babciu.

Dla Bella wyglądało to tak, jakby operator projektora miał przerwę na kawę. Marion powiedziała, że chwytak mechanizmu przesuwu taśmy rozerwał jej perforację. Przezroczyste „drzwiczki przeciwpożarowe” chroniły unieruchomiony film przed stopieniem go przez gorącą lampę projektora, i czyż nie było wspaniale, że dołączyli łatwopalną kliszę nitrocelulozową do zapasu bezpieczeństwa?

– Babciu!

– Marion, mówiłaś, że o której Abbottowie przyjdą po tych wszystkich małych urwisów? - zapytał Bell. - Zabierają ich do parku na łyżwy, tak?

– Będą tu o trzeciej.

– Babciu, zobacz!

Marion znalazła okulary i popatrzyła na wciąż drgające w miejscu napisy końcowe.

– O, to *Jekyll i Hyde*. Podobał się wam, dzieci?

– No, fajny.

– Tak, zabawnie było go obejrzyć?

– Tylko nie zabawnie zrobić - wtrącił się Bell.

– Isaac!

– Widzisz, babciu? Jest napisane „Marion Morgan Bell”. To ty.

– Dlaczego twoje nazwisko jest w filmie, babciu?

– Bo ja go nakręciłam.

– Ty? On był straszny, babciu.

– Horror - dodał mały chłopiec, który wdrapał się wcześniej na oparcie fotela i siedział teraz na ramieniu Bella. Drugi zaczął się wspinać po nodze wysokiego detektywa.

– Babciu, znałaś dziadka, kiedy robiłaś ten film?

– Spójrz na dół ekranu. Możesz to przeczytać?

Obraz podskakiwał i napis był niewyraźny.

– Pierwsze słowo to „specjalne” - odpowiedziała.

– „Specjalne... podziękowania... dla Isaaca Bella”. To dziadek!

– Jedyne w swoim rodzaju - odrzekła Marion Morgan Bell.

– Z bliźniami na dowód tego.

– Isaac, nie mów takich strasznych rzeczy.

– Ale to prawda.

Pokręciła głową.

– Oj, Isaac...

– Kuba Rozpruwacz naprawdę żył? - spytał chłopiec, który trzymał się kurczowo oparcia fotela.

– Owszem - przytaknął Bell. - Był bardzo złym człowiekiem, o wiele gorszym, niż babcia mogła pokazać w filmie.

– Ale załatwiłeś go na dobre, prawda, dziadku?

– Rozprawił się z nim i z wieloma innymi.

– Marion, jest po prostu... - Bell urwał i wstał z fotela. - Jest po prostu tak, jak powiedziałem tamte wszystkie lata temu.

Marion popatrzyła na niego pytająco.

– Żyjemy. Otwórzmy butelkę Billecart-Salmon Brut Rose. Tylko we dwoje, jak Archie i Lillian zabiorą dzieci.

Marion uśmiechnęła się do swojego srebrzysto-włosego bohatera.

– Obiecałem ci następne pięćdziesiąt lat. Uczcijmy je i wypijmy za dużo więcej.

Wziął ją w ramiona i pocałował.